Gwałty pod Monte Cassino
Szokujące zbrodnie marokańskich najemników

Czesi pod okupacją
Mroczne tajemnice Protektoratu Czech i Moraw

Pancerny pojedynek
Niesamowita historia walki czołgów na gruzach Kolonii

NR 5(99)/2021 MAJ 2021

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA DO RZECZY

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031

Sowieckie obozy śmierci

PIEKŁO GUŁAGU

eprasa.pl 0813957412

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
IX EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2021

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl 0d139574de

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: PIOTR WŁOCZYK

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Marcin Bugaj**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express"), **Paweł Zdziarski**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
Monika Doroś, tel. kontaktowy: 508 040 664
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), tel. kontaktowy: 539 953 631
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.
Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Istebna, czerwiec 1932 r.

Członkinie Przysposobienia Wojskowego Kobiet podczas ćwiczeń z łącznicą polową

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Zychowicz

Z dedykacją dla Ofiar

Obóz koncentracyjny. To jedna z immanentnych cech komunizmu. Wszędzie, gdzie wyznawcy tej zbrodniczej ideologii przechwytywali władzę, zakładali „ośrodki reedukacyjne" dla „wrogów ludu". Czyli jednostek, które nie potrafiły dostosować się do realiów „nowego wspaniałego świata".

Pierwszy sowiecki obóz na Wyspach Sołowieckich powstał już w 1918 r., a więc zaraz po triumfie bolszewickiego puczu. Później komuniści budowali obozy również w innych – opanowanych przez siebie – krajach Europy i Azji. Do dzisiaj tysiące ludzi cierpią straszliwe katusze za drutami w Korei Północnej.

W teorii komunistyczny obóz miał być miejscem oczyszczenia. Więzień – dzięki zbawiennemu wpływowi ciężkiej pracy – miał zostać uzdrowiony fizycznie i psychicznie. Wyleczony z niesłusznych, kontrrewolucyjnych poglądów i postaw. Po zakończeniu „kuracji" miał wrócić na łono socjalistycznego społeczeństwa jako jego pełnowartościowy członek. Odmieniony człowiek.

Tyle teoria. Praktyka różniła się od niej tak, jak różni się noc od dnia. Mało kto miał szansę wrócić na „łono społeczeństwa", bo śmiertelność w sowieckich obozach była zatrważająca. Straszliwy głód, ekstremalny mróz, choroby, katorżnicza praca, bestialstwo strażników i więźniów kryminalnych. Warunki urągające wszelkim cywilizowanym standardom.

System GUŁagu był prawdziwym piekłem na ziemi. Pochłonął miliony niewinnych istnień ludzkich, kolejnym milionom zniszczył życie. Nowy numer „Historii Do Rzeczy" poświęcamy Ofiarom. Jednostkom ludzkim, które zostały zmiażdżone przez wielki bezduszny system. W imię realizacji utopijnego eksperymentu inżynierii społecznej na kolosalną skalę. Cześć ich pamięci! ©℗

eprasa.pl 0d139574de

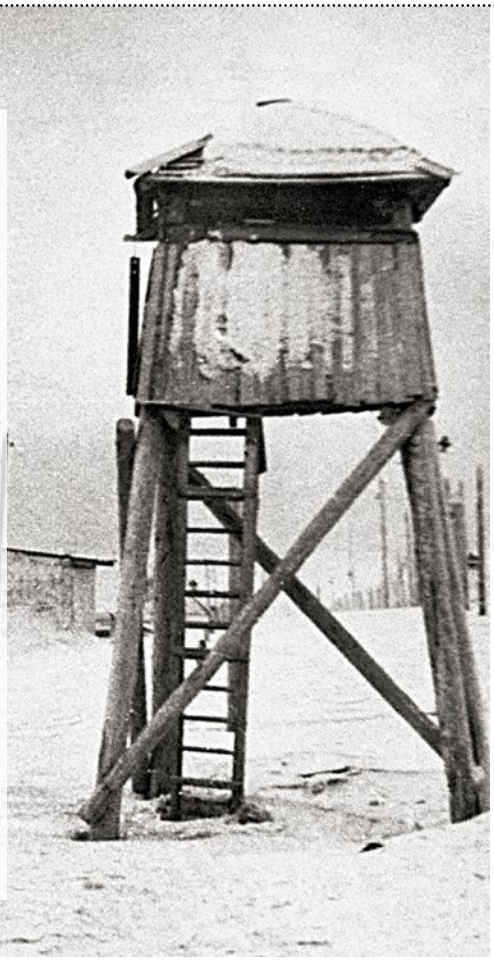

/ TEMAT NUMERU

.06 PROF. STEVE BARNES
Archipelag zbrodni

.10 PIOTR ZYCHOWICZ
Psia służba

.14 PIOTR ZYCHOWICZ
Dzień z życia zeka

.18 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Opowieści z ziemi przeklętej

.22 STEFANIA SZANTYR-POWOLNA
Byłam na Workucie

.26 TOMASZ STAŃCZYK
Niewolnicy z AK

.30 JAKUB OSTROMĘCKI
Bunty w łagrach

/ CZASY I LUDZIE

.34 PIOTR ZYCHOWICZ
Marokańskie gwałty na Włoszkach

.38 ADAM MAKOS
Pojedynek bestii pod katedrą

.42 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Użyteczna kolaboracja Czechów

.46 MAREK GAŁĘZOWSKI
Oficerowie Beliny

.49 SŁAWOMIR KOPER
Wielki Misza

.52 MACIEJ ROSALAK
Tułacze bez powrotu

.56 MIKOŁAJ IWANOW
Misja Karola Radka w Polsce

.59 PIOTR SEMKA
Krucjata von der Goltza

.80 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Żelazne płuca

/ FELIETONY

.66 JACEK BARTOSIAK
Do Anglii znowu daleko

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Polacy to ludzie łagodni

.69 PIOTR SEMKA
Głupi malarz i uszanki

.83 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Alianci

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Kobiety w obronie Lwowa

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 MACIEJ ROSALAK
1831 r. Klęska na własne życzenie

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Polka z obrazka

eprasa.pl 0d139574de

Historia

w naszym wydaniu -

PORUSZAJĄCA

I AUTENTYCZNA

HORYZONT znak

eprasa.pl 0d139574de

Wywiad / Z prof. Steve'em Barnesem, amerykańskim badaczem zbrodni GUŁagu

rozmawia Piotr Włoczyk

Baraki łagru na Workucie
FOT. RIA NOVOSTI/EAST NEWS

Archipelag zbrodni

PIOTR WŁOCZYK: Co było wzorem dla twórców GUŁagu?

PROF. STEVE BARNES: Lenin i Trocki tuż po wybuchu rewolucji zaczęli mówić o konieczności stworzenia „obozów koncentracyjnych" do walki z wrogami nowych porządków. Czołowi bolszewicy nieprzypadkowo używali pojęcia „obóz koncentracyjny". Interesowali się tym, jak Anglicy traktowali ludność cywilną kilkanaście lat wcześniej w trakcie drugiej wojny burskiej. Zresztą sami Anglicy nazywali wówczas zbudowane przez siebie miejsca „obozami koncentracyjnymi". To była głośna sprawa i szczególnie Trocki interesował się tym tematem. Nie był to jednak jedyny wzorzec. Pamiętajmy bowiem, że Rosja carska również stworzyła system pracy przymusowej. Oczywiście nigdy nie był on tak drakoński, jak to, co stworzyli Sowieci. Z czasem obozy GUŁagu stały się czymś więcej niż tylko miejscami, w których więziło się przeciwników – GUŁag stał się systemem karnym państwa sowieckiego.

GUŁag, rozumiany jako zarząd obozów pracy przymusowej, oficjalnie powstał w 1930 r., ale przecież historia obozów jest dłuższa.

Tak, bolszewicy od początku wykorzystywali więźniów do niewolniczej pracy, ale w pierwszych latach ten system różnił się jednak od molocha, który stworzył Stalin na przełomie lat 20. i 30. Początkowo na Wyspy Sołowieckie, gdzie powstały pierwsze łagry, bolszewicy wysyłali swoich wrogów – m.in. eserowców i mienszewików. Warunki były tam bardzo ciężkie, jak to bywa na dalekiej północy, ale jednak na samym początku bolszewickiej Rosji istniało jeszcze przeświadczenie, że więzień polityczny był kimś innym niż reszta więźniów, kimś lepszym.

Trudno w to uwierzyć...

A jednak. W Rosji bolszewickiej działał początkowo Polityczny Czerwony Krzyż, organizacja humanitarna, której członkowie w latach 20. wysyłali uwięzionym eserowcom i mienszewikom paczki. Wtedy jeszcze Moskwa do pewnego stopnia przejmowała się opinią międzynarodową, która monitorowała sytuację znanych więźniów. Dlatego początkowo nie zmuszano ich do pracy.

Jednak szybko łagry stały się piekłem na ziemi dla wszystkich uwięzionych.

Od początku to były przerażające miejsca, ale potem zrobiło się jeszcze straszniej. To, co przeszło do historii jako „GUŁag", powstało na przełomie lat 20. i 30. To Stalin stworzył tego potwora.

W 1928 r. Sowieci rozpoczynają kolektywizację. Miliony chłopów, którzy sprzeciwiają się temu, stają się wrogami państwa. To pierwsza z wielkich fal więźniów GUŁagu.

Musimy jednak pamiętać, że ci ludzie trafiali nie tylko do obozów. W czasie kolektywizacji ok. 1,5 mln chłopów skazano na deportację wewnętrzną. GUŁag to nie tylko obozy. W ZSRS istniało kilka form uwięzienia. Deportacja oznaczała zesłanie grupy ludzi na kompletne

eprasa.pl 0d139574de

SOWIECKIE OBOZY

RYS. JACEK GRAMBURG

odludzie, zazwyczaj na Syberię. Skazańcy musieli żyć na danym obszarze i zgłaszać się co jakiś czas na milicję. Państwo, w przeciwieństwie do więźniów obozów, nie musiało karmić tych ludzi i ubierać ich. Musieli oni radzić sobie sami. Byli wyrywani całymi rodzinami ze swoich wiosek, rzucani tysiące kilometrów dalej pośrodku niczego. Nicolas Werth napisał słynną książkę „Wyspa kanibali", która pokazuje okrutny los, jaki spotkał jedną z grup zesłańców.

Nasz miesięcznik opublikował kilka lat temu wywiad z Werthem na temat tego horroru 6 tys. ludzi, którzy z powodu braku pożywienia zaczęli się nawzajem zjadać.

To potworna historia, ale niestety dosyć często zdarzało się, że sowieckie władze wysyłały ludzi na kompletne pustkowie, wyposażając ich jedynie w minimalne zapasy.

Wracając do pierwszej wielkiej fali więźniów GUŁagu – do obozów wysyłano wówczas głównie głowy rodzin, ludzi najbardziej aktywnych w oporze przeciw kolektywizacji. Ale nie tylko. 7 sierpnia 1932 r., w środku wielkiego głodu, w życie weszło drakońskie prawo, które karało za „kradzież własności społecznej". Potocznie nazywano je „prawem pięciu kłosów". Każdy, kto zebrał z kołchozowego pola nawet minimalną ilość żywności dla swojej głodującej rodziny, mógł trafić na wiele lat do łagru.

Na początku lat 30. w tej fali do obozów trafią setki tysięcy więźniów, potem ta liczba przekroczy milion. Jednak poza ofiarami kolektywizacji do łagrów wysyłani są też inni skazańcy, m.in. zwykli kryminaliści, np. mordercy, którzy w każdym państwie trafiliby za kratki. Na początku lat 30. GUŁag staje się miejscem, do którego trafiają wszyscy, których sowieckie państwo uzna za przestępców.

Jakie były proporcje wśród więźniów?

W obozach GUŁagu większość skazańców to nie byli więźniowie polityczni, czyli aktywni dysydenci. Wiele osób aresztowanych za „przestępstwa kontrrewolucyjne" nie było więźniami sumienia. Artykuł 58 Kodeksu karnego to słynny przepis, który pozwalał bardzo szeroko interpretować działalność kontrrewolucyjną. W gospodarce, gdzie wszystko należy do państwa, wszystko może być przestępstwem politycznym.

Z drugiej strony wiele osób aresztowano za przestępstwa w teorii kryminalne, które jednak trudno nam zakwalifikować jako takie. Przykładowo: Jak można nazywać kryminalistą kogoś, kto ukradł jedzenie, bo umierał z głodu? Zwykli przestępcy stanowili niewielką mniejszość. Tak samo jak więźniowie polityczni. Ogromna większość ofiar GUŁagu to ludzie, którzy znaleźli się w złym czasie w złym miejscu i wpadli w tryby sowieckiego systemu niewolenia.

W drugiej połowie lat 30. Stalin rozkręca terror. To druga wielka fala skazańców, którzy trafiają pod bat GUŁagu.

Szczególnie w latach 1937–1938 łagry zaczynają pękać w szwach. Absolutnie każdy mógł się w nich znaleźć. Zwykły wypadek w pracy mógł być bardzo łatwo zakwalifikowany w tamtym okresie jako sabotaż. Jeden donos zranionej kochanki wystarczył, by zamienić człowieka na 10 lat w niewolnika. W latach 1937–1938 spośród aresztowanych połowa ginie w egzekucjach, a druga połowa – czyli ok. miliona osób – trafia do obozów.

Należy jednak pamiętać, że z GUŁagu ludzie też wychodzili. Mimo całego horroru widać różnicę pomiędzy łagrami a niemieckimi obozami koncentracyjnymi. W latach 1934–1953 co najmniej 20 proc. populacji obozów było każdego roku zwalnianych. W niektórych latach ten odsetek był jeszcze wyższy.

eprasa.pl 0d139574de

Relikty łagru Perm-36

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GERALD PRASHL

Tylko w latach 1941–1942 zwolniono z łagrów ponad milion więźniów, by dołączyli do Armii Czerwonej. Jednak przez większość historii GUŁagu liczba osób, które były wtrącane do łagrów, jest większa od liczby osób, które były z nich zwalniane. Z kilkoma wyjątkami, populacja GUŁagu cały czas rosła. Szczyt osiągnęła w latach 1950–1951.

O jakiej skali tu mówimy?

W obozach przetrzymywano 2,5–3 mln ludzi. Mniej więcej drugie tyle było na zesłaniu. Oboma kategoriami skazańców zajmował się GUŁag.

Ile obozów liczył „Archipelag GUŁag"? Mapy ZSRS przedstawiające rozmieszczenie obozów są mało czytelne – niemal całe terytorium kraju pokryte jest kropkami.

Wiele obozów to całe kompleksy. Moja pierwsza książka dotyczyła obozów w Kazachstanie. Zajmowałem się głównie Karłagiem (nazwanym tak od Kargandy – miasta w Kazachstanie). To jeden obóz, ale w rzeczywistości to sieć podobozów rozrzuconych po stepie, niektóre z nich oddalone były od siebie nawet o 500 km. Karłag liczył 20–25 punktów. System GUŁagu był bardzo skomplikowany. W sumie ludzie więzieni byli w kilku tysiącach miejsc.

Przejdźmy do trzeciej wielkiej fali więźniów łagrów, która pojawiła się po wybuchu drugiej wojny światowej.

Wielka grupa więźniów dociera do łagrów między rokiem 1939 a 1941. W 1940 r. większość aresztowanych przez NKWD w ZSRS pochodziła z terytoriów zagarniętych na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow. Ta fala zmieniła charakter populacji GUŁagu. Ci więźniowie nigdy nie byli sowietyzowani, była to mieszanka bardzo wielu nacji, m.in. Ukraińców, Polaków, Bałtów etc. Ta grupa była inna od poprzednich fal. Sowieci mieli z tymi ludźmi dużo problemów.

Mamy też jednak wielką grupę więźniów niezwiązaną bezpośrednio z wojną. W 1940 r. ZSRS wprowadza bardzo surowe prawo o dyscyplinie w pracy. Z czego to wynikało? W latach 30. utrzymanie pracowników w zakładzie było wielkim problemem. Industrializacja wymagała rzeszy robotników i każdy wiedział, że można spokojnie odejść z pracy i szybko znaleźć zatrudnienie gdzie indziej. Podczas pierwszej pięciolatki zbudowano m.in. Magnitogorsk – największą hutę na świecie. Robotnicy pracowali tam średnio rok. Warunki były tak ciężkie, że mało kto chciał tam pracować dłużej. To było narastający problemem. Początkowo władze starały się skusić robotników zachętami. Gdy to nie przyniosło efektu, sięgnięto po kij. Prawo zabraniało porzucania miejsca pracy, ale karano bezlitośnie także za zwykłe spóźnienia.

W czasie wojny obserwujemy też jednak duży spadek populacji GUŁagu. Z jednej strony to efekt masowych zwolnień więźniów, których wcielano od razu do Armii Czerwonej. Ale to też efekt olbrzymiej śmiertelności w latach 1942 i 1943. To najbardziej zabójcze lata w historii GUŁagu, nawet według oficjalnych statystyk. W 1942 r. zmarło 25 proc. populacji więziennej!

Co było powodem tak olbrzymiej śmiertelności?

Jeszcze przed wojną zaopatrzenie społeczeństwa sowieckiego w żywność było problemem. Po ataku Niemiec na ZSRS sytuacja stała się dramatyczna, a więźniowie łagrów byli na samym końcu kolejki po chleb.

A do tego musieli jeszcze ciężej pracować...

Dokładnie. Głodzeni ludzie byli zaharowywani na śmierć. Nawiasem mówiąc, po śmiertelności w łagrach widać, kiedy Armia Czerwona zaczęła wygrywać. W 1945 r. statystyki wróciły do wartości przedwojennych.

Ile osób w sumie przeszło przez piekło GUŁagu? Aleksander Sołżenicyn napisał w „Archipelagu Gułag", że od 1928 do 1953 r. 40–50 mln ludzi odbyło wyroki w łagrach.

Nie możemy winić Sołżenicyna, który w bardzo trudnych warunkach starał się jakoś oszacować skalę dramatu. Jestem pełen uznania dla niego. Ja pisałem swoją książkę w cieplarnianych warunkach uniwersytetu w USA, a on tworzył swoje dzieło ze świadomością, że w każdej chwili może zostać aresztowany.

Liczba więźniów GUŁagu jest niższa, niż przypuszczaliśmy. Jeżeli mówimy tylko o obozach, to w czasach stalinowskich przeszło przez nie ok. 18 mln ludzi. Dodatkowo ok. 6 mln ludzi deportowano. W sumie mówimy więc o niemal 25 mln więźniów GUŁagu. Jest to liczba porażająca, nawet w warunkach tamtego olbrzymiego, 200-milionowego kraju.

Ile ofiar pochłonął GUŁag?

To bardzo trudne pytanie. Oficjalne statystyki na temat śmierci w obozach mówią o 1,8 mln ofiar, ale w tej liczbie nie zawierają się m.in. ludzie rozstrzelani w łagrach. Rzeczywista liczba jest na pewno wyższa, ale niestety nie jesteśmy w stanie stwierdzić, o ile dokładnie.

1,8 mln ofiar nie uwzględnia też zapewne ludzi, którzy zginęli w drodze do miejsc uwięzienia lub zesłania?

Tak. I nie uwzględnia również ofiar wśród osób deportowanych. Tymczasem szacunki odnośnie do deportowanych mówią, że co czwarty/co trzeci deportowany zmarł w ciągu pierwszy trzech lat zesłania. Państwo nie liczyło tych ludzi tak jak więźniów obozów, gdzie każdy miał swoją teczkę.

Oficjalna liczba ofiar jest z pewnością zbyt niska, bo wiemy przecież również o przypadkach wypuszczania więźniów, by umarli poza obozem.

Dlaczego którykolwiek z obozowych komendantów miałby się przejmować statystykami śmiertelności?

Sam zadawałem sobie to pytanie. Być może chodziło o jakieś rozgrywki biurokratyczne. Niewykluczone, że niektórzy komendanci mogli się obawiać,

eprasa.pl 0d139574de

że ktoś mógłby potraktować wysoką śmiertelność w ich obozie jako pretekst do pozbycia się ich.

Jak dużo świat zewnętrzny wiedział na ten temat?

Początkowo istnienie sieci obozów nie było żadną tajemnicą. Maksym Gorki opiewał Kanał Białomorski budowany rękoma więźniów. Ta książka została od razu opublikowana w Związku Sowieckim i poza jego granicami. Angielskie tłumaczenie ukazało się rok później. Ludzie na terenie całego ZSRS mogli prenumerować gazetkę z Sołówek! Jednak pod koniec lat 30. ten temat znika z debaty.

Chociaż wcześniej Moskwa organizowała wycieczki zachodnich intelektualistów, którzy mogli zajrzeć do pokazowych obozów i stwierdzić na własne oczy, jak wspaniale Związek Sowiecki resocjalizuje więźniów poprzez pracę.

Nie tylko przed intelektualistami robili takie szopki. W czasie drugiej wojny światowej amerykański wiceprezydent Henry A. Wallace pojechał na Kołymę. Sowieci zrobili dla niego przedstawienie, próbując przekonać go, że złoto, którym Moskwa płaciła za dostawy z Lend-Lease, nie pochodziło z pracy niewolniczej. Powodem tej wizyty były wątpliwości, jakie wyrażali przedstawiciele amerykańskich związków zawodowych.

Czy ktokolwiek z amerykańskiej delegacji uwierzył w ten cyrk?

Najważniejsze, że główny gość wydawał się przekonany. W rzeczywistości w kombinezony górników przebrano strażników z NKWD. W ten sposób Wallace zobaczył atletycznie zbudowanych „robotników" zamiast zabiedzonych więźniów. Ponieważ ZSRS był sojusznikiem USA, na pewno istniała szczególna skłonność do dawania wiary w takie szopki...

Czy obozy GUŁagu były w ogóle opłacalne dla Moskwy?

Dziś już nie ma żadnych wątpliwości – summa summarum GUŁag był dla Sowietów bardzo kosztowny w utrzymaniu. Kopalnie złota na Kołymie były czymś absolutnie wyjątkowym. Utrzymanie armii strażników i płacenie im ekstra premii za służbę w ekstremalnie trudnych warunkach było tylko jednym

Gienrich Jagoda, szef NKWD (w środku na pierwszym planie), na budowie kanału Moskwa-Wołga FOT. DOMENA PUBLICZNA

z kłopotów Moskwy. Głównym problemem był fakt, że niewolnicza praca jest po prostu bardzo nieefektywna.

Czy sowieckie władze zdawały sobie z tego sprawę?

Wydaje się, że przez dłuży czas na szczytach władzy wierzono, iż GUŁag przynosi zysk. Jednak pod koniec rządów Stalina Kreml doszedł do wniosku, że ten system się nie opłaca. Jeszcze w trakcie wojny szef GUŁagu raportował, że przeciętny więzień łagrów jest dwa razy mniej produktywny niż robotnik!

Trzy tygodnie po śmierci Stalina ogłoszono amnestię, która oznaczała zwolnienie połowy populacji GUŁagu. Co ciekawe, sam Ławrientij Beria napisał do Komitetu Centralnego, że nie ma konieczności więzienia tylu ludzi, bo zdecydowana większość z nich jest nieszkodliwa dla państwa. Beria apelował też o liberalizację prawa, bez czego amnestia nic by nie dała i w krótkim czasie w łagrach znalazłyby się kolejne miliony ludzi. Chodziło o drakońskie prawo z 1947 r. mówiące o kradzieży własności państwowej. Fala ludzi aresztowanych na mocy tego przepisu stanowiła na początku lat 50. ogromną część więźniów GUŁagu.

Beria liberał...

Wydaje się to niepojęte, ale Beria po prostu rozumiał, jak wielkim obciążeniem był dla państwa GUŁag. Musimy jednak dobrze zrozumieć jedną rzecz: to, że system był kosztowny, nie oznacza, że nie był dla Moskwy użyteczny przez długie lata.

Po co więc było to wszystko?

Powodem utworzenia GUŁagu nie było zapotrzebowanie na pracę niewolniczą. Kiedy jednak już ci ludzie znaleźli się w obozach, to zaprzęgnięto ich do pracy. Poszczególne łagry nie apelowały do Moskwy o większą liczbę więźniów. Było raczej odwrotnie.

Z ekonomicznego punktu widzenia byłoby lepiej, gdyby uwięzieni ludzie pracowali na wolności, ale to oczywiście nie wchodziło w rachubę, bo nie tak działał Związek Sowiecki. System komunistyczny napędzał się represjami, szukał wrogów i po prostu nie potrafił funkcjonować inaczej.

W 1960 r. Chruszczow zamyka GUŁag, ale to oczywiście nie oznacza, że komunistyczne obozy znikają.

Oczywiście. Więźniów politycznych było coraz mniej, ale obozy wciąż istniały, choć oczywiście wiele z nich zamknięto. Ostatni obóz dla więźniów politycznych zostaje zamknięty w ZSRS dopiero w 1987 r.!

Przy okazji uwięzienia Aleksieja Nawalnego cały świat usłyszał, że w Rosji wciąż działa system „kolonii karnych", który w zaskakująco wielu punktach podobny jest do swojego poprzednika...

To „hołd" oddany przez Putinowską Rosję GUŁagowi. Obozy wciąż istnieją w tych samych miejscach i niestety wciąż dochodzi tam do przerażających praktyk.

Nadieżda Tołokonnikowa, członkini zespołu Pussy Riot, została zamknięta kilka lat temu w kolonii karnej. Jej wspomnienia z tamtego miejsca brzmią jak łagrowa opowieść Jewgienii Ginzburg (1904–1977).

Trudno, żeby było inaczej, skoro rosyjska służba więzienna dumnie nawiązuje do lat stalinowskich. Nazwy się zmieniają, ale mentalność pozostaje podobna. Dlatego bardzo martwię się o Nawalnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Prof. Steve Barnes jest amerykańskim historykiem z George Mason University, badaczem zbrodni GUŁagu. Jedną z jego najważniejszych książek jest „Death and Redemption: The Gulag and the Shaping of Soviet Society".

eprasa.pl 0d139574de

Piotr Zychowicz

Łagier widziany oczami psa wartowniczego. „Wierny Rusłan" to jedna z najbardziej wstrząsających książek o GUŁagu i bolszewizmie

Opowieść naszą wypada zacząć od przedstawienia jej głównego bohatera. Nazywa się Rusłan. Jest owczarkiem. Ma dziewięć lat i waży ok. 40 kg.

Jest funkcjonariuszem oddziałów wartowniczych Głównego Zarządu Poprawczych Obozów Pracy (w skrócie – GUŁag).

Rusłan wierzy w Sprawę i wierzy w Służbę.

Rusłan nie ma żadnych wątpliwości i nie ma żadnych wahań. Wykonuje bez szemrania każde polecenie.

Służba jest jedynym sensem i treścią jego życia. Odkąd przestał być szczenięciem, nigdy nie robił niczego innego. Nie potrafi robić niczego innego. Tylko do tego został wytresowany.

Świat Rusłana jest prosty i poukładany. Otaczające go dwunożne istoty dzielą się na dwie grupy. Panów i zeków.

Panowie są równi Bogom. Chodzą w długich, pachnących czarną pastą butach. Mają pasy, smycze i mundury. Budzą powszechną grozę i szacu-

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

GUŁag i literatura / Legendarna powieść Gieorgija Władimowa

Psia służba

eprasa.pl 0d139574de

FOT. DOMENA PUBLICZNA

nek. Na ramionach noszą długie, czarne rury, które plują śmiercionośnym ogniem. Ciskają gromy i błyskawice. Nikt nie ośmieli się stawić czoła Panom.

Największym szczęściem w życiu Rusłana jest dotknięcie ręki Pana na łbie. Pochwała wypowiedziana z jego ust. Rusłan jest wtedy szczęśliwy, spełniony. Wie, że służy dobrze. Że służy Sprawie.

Druga grupa dwunożnych istot jest znacznie liczniejsza. Ale zeki wzbudzają w Rusłanie jedynie pogardę. Cóż za kontrast z Panami! Obdarci, słabi, bojący się własnego cienia. Jakże żałosny widok przedstawiają gdy – ciągnąc noga za nogą – człapią do pracy w kolumnach marszowych.

Zadaniem Rusłana jest utrzymać te kolumny

GIEORGIJ WŁADIMOW
„WIERNY RUSŁAN"
REBIS

w porządku. Doprowadzić je spod bramy do celu.

Jeden krok w bok – zek słyszy ostrzegawcze warknięcie.

Dwa kroki w bok – zek czuje na ręce uścisk potężnej szczęki.

Trzy kroki w bok – zek czuje, jak w żywe mięso wgryzają mu się kły Rusłana.

Reszta należy już do Panów, którzy w takich sytuacjach natychmiast przybiegają na miejsce ze swoimi czarnymi rurami. Praca psa jest skończona. Zadanie wykonane. Kontrola utrzymana. Kolumna może maszerować dalej.

Rusłan nie czuje do zeków nienawiści. To nic osobistego. Stosunek Rusłana do tych istot jest mniej więcej taki sam jak stosunek innych owczarków do owiec. Widzi w nich po prostu istoty niższego gatunku. „Śmierdzące, wrzaskliwe, ogłupiałe stado", którego należy strzec i pilnować. Głównie przed nim samym.

Ku nieuchronnemu

Rusłan potrafi świetnie tropić. Wyłapywać zeków, którzy w swojej zdumiewającej głupocie i szaleństwie decydują się na ucieczkę. Doprawdy, zdumiewające istoty! Przecież sztuka ta jeszcze nikomu się nie udała. Z obozu, w którym służy Rusłan, jeszcze nikomu nie udało się uciec. Bo i niby gdzie miał się taki zek schronić?

Uciekinier może być więc pewny, że Rusłan prędzej czy później go dopadnie. Powali na ziemię, zaciśnie zębiska na jego karku, przytrzyma do nadejścia Panów.

„Dawno już minęły czasy, kiedy dawano mu za coś takiego kawałek mięsa albo suchar; zresztą i wtedy brał to raczej przez uprzejmość niż jako nagrodę bo jeść i tak w takich momentach nie mógł. Nie było również nagrodą i to, że później, w obozie, przed posępnie znieruchomiałym szykiem zachęcano go, żeby jeszcze trochę pogryzł jeńca; ten się już przecież nie opierał, tylko pokrzykiwał żałośnie, i Rusłan szarpał mu raczej ubranie niż ciało. Największą nagrodą za Służbę była sama Służba. Aż dziw, że panowie przy całej swej mądrości nie rozumieli tego i uważali za właściwe stosować jeszcze jakieś zachęty".

Rusłan jest również mistrzem „wyłuskiwania". Oznacza to, że na placu apelowym – kierując się swoim fenomenalnym węchem – potrafi bezbłędnie wytypować zeka winnego jakiegoś przewinienia. Raz takie „wyłuskanie" skończyło się drastycznie. Bo i wina więźnia była olbrzymia. Pan – z Rusłanem na smyczy – musieli odprowadzić go poza obóz.

„Milcząc, skręcili z przesieki i poszli ścieżką ku sczerniałej, wypalonej przez ognisko polanie. W jej środku rozdziawiała paszczę płytka jama, której rude ściany zachowały obłe, gładkie ślady łomów i ostre trójkąty kilofów.

I właśnie wtedy ów człowiek przypadł panu do butów. Dopełznął do nich na czworakach i przylgnął twarzą tak silnie, że kiedy oderwał ją od cholew, miał czarne plamy na czole i wargach. Uśmiechał się blado i prosząco. Mówił, że pan może go puścić, a on popełznie do lasu i będzie tam żyć jak wąż albo szczur do końca swoich dni.

– Coś ty, dziecko? Sam nie wiesz, co gadasz – przekonywał go pan. – Koniec, szlus. Lepiej wstawaj i nie zawracaj sobie głowy. Nic się nie bój, nie będzie bolało. Może u kogo innego, ale nie u mnie. No już, wstawaj, przecież powiedziałem – nie będzie bolało.

Człowiek wstał i mocno wytarł twarz rękawem.

eprasa.pl 0d139574de

– Rób, co masz robić. Pożałowałeś mi szakalego życia, to rób. Jeszcze ci się przypomni...

– Wiem – powiedział pan. – Wiem wszystko, co powiesz. Jeszcześ się nie nagadał?

Rzeczywiście zrobili to tak, że tego człowieka nie bolało, ale przez całą powrotną drogę Rusłan dygotał, skomlał i się wyrywał, chcąc koniecznie wrócić i rozgrzebać łapami zmarzłe grudy przywalające białą, uspokojoną twarz tamtego. Nigdy jeszcze tak źle się nie zachowywał i pan musiał ostro schlastać go smyczą".

A jednak! Nawet wierny Rusłan miewał chwile słabości! Do porządku przywoływały go zawsze razy. Bo Rusłan z przemocą, bólem obcował przez całe życie. Już w trakcie treningu bito go bezlitośnie po grzbiecie bambusowymi kijami, strzelano mu prosto w pysk hukowymi pociskami.

Pies wartowniczy musi być bowiem odporny na ból, a jednocześnie utrzymywany w bezwzględnej karności. Musi wiedzieć, że Panowie mają niezawodne sposoby, by zapewnić sobie jego bezwzględną wierność i dyscyplinę.

Rusłan, wiedział również doskonale, jak skończy się jego życie. Bo życie psów wartowniczych zawsze kończyło się tak samo. Gdy przyjdzie ten nieuchronny moment – biologii nie oszukasz! – dadzą mu ostatnią zupę ze szpikowymi kośćmi. Potem Pan podniesie się ciężko z krzesła i zarzuci na ramię karabin:

– Choć Rusłan, idziemy...

Stary, niedołężny pies wywlecze się z kojca i powlecze się za Panem za druty. Tak było zawsze i tak być musi. Tak został stworzony świat funkcjonariuszy organów Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Funkcjonariuszy takich jak Rusłan.

Dziś służysz wiernie i poświęcasz się Sprawie, ale gdy już wypełnisz swe zadanie i staniesz się niepotrzebny – giniesz z ręki Pana. Tak to już jest, tak to działa. Rusłan nawet się na to nie oburzał. Był pogodzony z tym, co nieuniknione.

Ale po co zaprzątać sobie teraz głowę mglistą, odległą przyszłością! Rusłan jest jeszcze w pełni sił. Ma na głowie sprawy ważniejsze.

„Zawsze zostawała Służba! Panowie przychodzili i odchodzili, a ona trwała, jak długo istniał ten świat otoczony dwoma rzędami kolczastego drutu z wieżami wartowniczymi na rogach, wypełniony światłem lamp, a także głosami i muzyką z czarnych gardzieli, które zdawały się zwisać z samego nieba na niewidzialnych sznurach. Rusłan nie znał początku tego świata i nie mógł sobie wyobrazić jego końca".

A jednak, ku zdumieniu Rusłana, stało się coś, co przekraczało zdolności pojmowania owczarka i funkcjonariusza organów. Koniec świata jednak nastąpił. I to za życia Rusłana...

Mały fajrant

Pewnego dnia pies wyszedł z Panem na zewnątrz i od razu zrozumiał, że stało się coś straszliwego.

„Baraki wydawały się dziwnie płaskie, jakby namalowane na bieli, i nie wydawały dźwięków. Zupełnie jakby ci wszyscy, którzy w nich mieszkali, hałasowali i śmierdzieli, wymarli w ciągu jednej nocy.

Raptem zobaczył coś takiego, że sierść na karku mu się zjeżyła, a z gardła wydobył się głuchy warkot. Nie miał zbyt dobrego wzroku i wiedząc o tym, nadrabiał brak gorliwością i węchem. Toteż główną obozową bramę zobaczył dopiero wtedy, kiedy obaj z panem wyszli przez furtkę przed obóz. Brama wyglądała tak dziwnie, że trudno sobie to było wyobrazić. Była po prostu otwarta na oścież i poskrzypywała na wietrze pętlami z zardzewiałego drutu. I nikt nie biegł do niej, krzycząc i strzelając, żeby ją natychmiast zamknąć.

Te baraki i zniszczenia zupełnie Rusłana oszołomiły".

Mało tego, na tym nie koniec. Najgorsze miało dopiero nadejść. Otóż Rusłan – podobnie jak inne obozowe psy – został po prostu przepędzony! Panowie zebrali manatki i wyjechali w ślad za więźniami. Druty zwinięto, a psy wypuszczono samopas. Poszły won, niczego tu po was, czego tak stoicie!!!

Biedne, skołowane psisko popędziło na złamanie karku przed siebie. W Rusłanowym łbie kotłowały się niezborne myśli. Co to wszystko ma znaczyć!? Co się dzieje!? Rusłan zawsze był zbyt zajęty Służbą, by nadmiernie interesować się wielką polityką. Tym, co dzieje się na górze, wśród Najważniejszych Panów.

Pies przeoczył więc śmierć Stalina. Przeoczył śmierć Berii i przeoczył triumf Chruszczowa. Nikt mu nie powiedział o XX Zjeździe Partii i wygłoszonym przez nowego przywódcę „referacie o kulcie jednostki", w którym potępione zostały uroczyście „błędy i wypaczenia" poprzedniej epoki.

Nie mógł więc wiedzieć wierny Rusłan, że jego łagier znalazł się na liście obozów przeznaczonych do likwidacji w ramach zadekretowanej w odległej Moskwie „odwilży".

„Rusłan poczuł nagle, że ani automat, ani on nie są już Panu potrzebni. Z rozpaczy i wstydu chciało mu się usiąść na śniegu, zadrzeć głowę ku szarożółtemu słońcu i wypłakać swój ogromny ból. Koniec służby okazał się gorszy niż najgorsze Rusłanowe strachy: wyprowadzono go za druty po to, by wyrzucić i skazać na żebraninę z parszywymi kundlami, którymi Rusłan gardził całą duszą, nie uważając ich w ogóle za psy. Ale dlaczego? Za co? Przecież nie zrobił nic takiego, za co należałaby się taka okrutna, niesłychana kara!".

Rusłan szybko jednak otrząsnął się po pierwszym szoku. Wszystko poukładał sobie w głowie. Zniknęli Panowie, zniknął obóz i zniknęły druty. Ale jego, Rusłana, nikt przecież nie zwalniał ze

eprasa.pl 0d139574de

Sowiecki patrol na granicy, 1941 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Służby! Dlatego nie było wyjścia – pies postanowił sam sobie tę Służbę zorganizować. Był przecież starym rutyniarzem. W gruncie rzeczy, choć głupio to przyznać, nie potrzebował Panów, żeby wiedzieć, co robić.

Do podobnych wniosków musiały dojść i inne psy wartownicze, bo wszystkie udały się w to samo miejsce – do najbliższej ludzkiej osady. I nagle w osadzie tej zaczęły się dziać rzeczy niesamowite. Psy codziennie rano udawały się na peron kolejowy, gdzie ustawione karnie w szyku oczekiwały na nadejście pociągu.

Przybywających pasażerów ustawiały w równe kolumny i odprowadzały do osady. Zaczęły również konwojować mieszkańców miasteczka. Chodziły obok nich, odprowadzając ich z punktu do punktu. Był to widok wywołujący gęsią skórkę u wrażliwych obywateli. W ślad za każdym mężczyzną idącym ulicą człapał groźny, ponury owczarek z wystającymi żebrami.

Przypadek Rusłana był wyjątkowy. Otóż gdy pies, cierpiący, skrzywdzony przez Pana, leżał w śmierdzącym rynsztoku, znalazł się człowiek, który się nad nim zlitował. Był to były zek! Więzień, który jeszcze niedawno siedział w Rusłanowym obozie. Pies w myślach nazywał go „Wycieruchem".

Otóż ów Wycieruch, choć miał skłonność do topienia łez w mętnym bimbrze, tak naprawdę był wielkim poczciwcem. Postanowił nie chować urazy wobec swojego niedawnego ciemiężcy. Żal mu się zrobiło skrzywdzonego, podrzuconego psa. Postanowił go przygarnąć, zaprowadzić do domu.

Rusłan poszedł w ślad za Wycieruchem. Ale cóż to było za fatalne, doprawdy śmieszne nieporozumienie! Były więzień był święcie przekonany, że okiełznał, uratował, przywiązał do siebie byłego oprawcę i może liczyć na wdzięczność Rusłana. Że Rusłan z psa wartowniczego przemieni się teraz w jego wiernego obrońcę i przyjaciela. Trudno o większą pomyłkę.

„Co do Rusłana, to nowa znajomość miała dla niego całkiem inny sens. Zdarzył się wypadek nieprzewidziany w regulaminie Służby, ale i niesprzeczny z jej podstawowymi zasadami: mieszkaniec baraków sam poprosił, by go konwojowano. Znalazłszy się na wolności, zapragnął wrócić do ulubionego obozowego schronienia.

Wycieruch był już niedaleki od powrotu i Rusłan doszedł do wniosku, że winien pilnować byłego więźnia, póki nie wrócą Panowie. A kiedy wrócą i postawią na miejscu zwalone słupy, kiedy znów oplecie je drut kolczasty, kiedy na wieżach zaczernieją lufy automatów, a nad bramą w świetle reflektorów rozpostrze się na całą szerokość czerwone płótno z tajemniczymi białymi znakami – wówczas Wycieruch pójdzie tam, gdzie Rusłan zechce".

Miejsce pracy Wycierucha, do którego pies codziennie go odprowadzał, w umyśle Rusłana było „strefą roboczą". Dom Wycierucha był dla Rusłana „zoną mieszkalną". A miejsce na podwórku, w którym znajdowało się legowisko Rusłana – „służbowym posterunkiem". Owczarek zajmował ów posterunek i uważnie obserwował każdy ruch Wycierucha. Czekał cierpliwie. Aż wróci stare.

Ów obozowy pies o wypaczonej psychice jest tytułowym bohaterem książki „Wierny Rusłan" Gieorgija Władimowa. Z książki tej pochodzą wszystkie cytaty, które znalazły się w tym artykule. „Wierny Rusłan" to bez wątpienia jedno z największych arcydzieł literatury łagrowej. Zaczytywałem się w jej starym wydaniu, które ukazało się dobre 20 lat temu. Teraz książka – w pięknej szacie graficznej – została wznowiona przez Dom Wydawniczy REBIS.

Kto raz przeczyta „Wiernego Rusłana", ten nigdy nie zapomni wstrząsających scen z tej książki. Choćby strajku zeków, którzy przy temperaturze poniżej 44 st. C, odmówili wyjścia do pracy. Strajk ten został stłumiony za pomocą węża z lodowatą wodą, która potężnym strumieniem została wpompowana do baraku. Jeszcze większe wrażenie robi doprawdy niesamowita scena finałowa.

„Wierny Rusłan" to oczywiście wielka metafora. Obóz to Związek Sowiecki. Panowie to komuniści – partyjni aparatczycy i oficerowie NKWD wyższego stopnia. Więźniowie łagru symbolizują całe społeczeństwo sowieckiego „raju". A psy wartownicze – funkcjonariuszy policji politycznej. Bezpieczniaków. Tych, którzy pilnują całą resztę.

Książka Władimowa – pisana na początku lat 60. – ma swój wymiar proroczy. Otóż w pewnym momencie Wycieruch, wznosząc w górę szklankę wypełnioną po brzegi wódką, wygłasza następującą kwestię:

„Najpierw trzeba wypić za Wielki Fajrant. Ja się już swojego, małego, doczekałem, a Wielki dopiero przyjdzie. To będzie wtedy, jak otworzą wszystkie bramy i powiedzą »Wychodźcie ludzie. Można iść bez konwoju«".

Mały Fajrant to oczywiście odwilż roku 1956. Ale Wielki Fajrant miał dopiero nadejść. Nastąpił trzy dekady po napisaniu powieści. Mowa oczywiście o roku 1991. O upadku Związku Sowieckiego i komunizmu w Europie Wschodniej. Wówczas nagle zamknięto wszystkie łagry i wszystkim KGB-istom z dnia na dzień świat zawalił się na głowę. Tak jak wcześniej zawalił się świat Rusłana.

Cóż ci ludzie zrobili w tej sytuacji? Przecież nie potrafili robić niczego innego... No cóż, zrobili dokładnie to samo co powieściowy Rusłan i jego łagrowa sfora. Nie ma już dzisiaj w Rosji partii komunistycznej i nie ma Panów. Ale psy wartownicze świetnie sobie poradziły same. Bo Służba jest przecież wieczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

Nędzne posiłki były uzależnione od wykonania norm FOT. KAUNO IX FORTO MUZIEJUS/ EUROPEANA/CC BY 4.0

GUŁag / Straszliwa codzienność obozu

Dzień z życia zeka

Piotr Zychowicz

Katorżnicza praca, głód, mróz, przemoc. Życie człowieka zamkniętego w łagrze było piekłem na ziemi

1) ETAP Droga do łagru prowadziła przez etap. Więźniów do sowieckich obozów koncentracyjnych przewożono najczęściej koleją. W wagonach stołypinowskich lub wagonach bydlęcych. Ponieważ transport miał często do pokonania kolosalny dystans – z europejskiej części Rosji na jej najdalsze syberyjskie krańce – etap mógł trwać kilka tygodni. Był to jeden wielki koszmar.

Wojska konwojowe NKWD teoretycznie powinny zapewnić więźniom wyżywienie w trakcie transportu. W praktyce – wychodziło po sowiecku. Czyli jedzenia i wody nie było. Jak mawiali ludzie sowieccy – nie dowieźli albo rozkradli. W efekcie nieszczęśni więźniowie cierpieli katusze głodu i pragnienia.

Te ostatnie pogłębiało to, że konwojenci wydawali więźniom przesolone, suszone śledzie. Po ich zjedzeniu człowieka ogarniało straszliwe pragnienie, ale wody nie było. Albo była w niewystarczającej ilości. Jedno brudne wiadro na wagon pełen szalejących z pragnienia ludzi.

Zimą był problem z opałem, którego w Związku Sowieckim chronicznie brakowało. Wagony były nieopalane i przewożeni nimi ludzie zamarzali żywcem. Latem odwrotnie – gotowali się jak w piekarniku, bo konwojenci zabraniali otwierania drzwi i okien.

W efekcie, gdy więźniowie docierali wreszcie do łagru, słaniali się z wycieńczenia.

Podobnie było w przypadku transportów drogą morską. Mowa o tzw. piekielnych statkach, które przewoziły więźniów na Kołymę. Ludzie byli zamykani na głucho w śmierdzących, dusznych ładowniach statków i nie wypuszczani na pokład przez całą długą podróż.

W pogrążonych w ciemnościach ładowniach rozgrywały się dantejskie sceny. Ludzie brodzili po kostki w ekskrementach, dostawali obłędu, popełniali samobójstwa. Umierali z gorąca i głodu. Żywienie więźniów polegało bowiem na wyrzucaniu im z góry na głowę kilku kubłów odpadków. Kto pierwszy – ten lepszy.

2) PRZYBYCIE DO ŁAGRU Przybycie do łagru miało swój określony rytuał. Ludzie byli wyrzucani na peron – a czasami wprost na śnieg – z wagonów. Następnie rewidowano ich i formowano w kolumny marszowe. Wszystko odbywało się w asyście wrzasków strażników i ujadania psów.

Potem rozpoczynał się marsz – łagier znajdował się bowiem często w odległo-

eprasa.pl 0d139574de

ści wielu kilometrów od bocznicy kolejowej lub portu. W efekcie wycieńczeni, chorzy, ubrani lekko więźniowie brnęli w śniegu wiele godzin. Ci, którzy szli zbyt wolno lub łamali szeregi, byli gryzieni przez psy, w skrajnych przypadkach – rozstrzeliwani przez strażników.

Gdy kolumna dowlekała się wreszcie do łagru – następowało „powitanie". Ludzi trzymano wiele godzin na placu apelowym, zanim naczelnik łagru raczył do nich przemówić. Potem następowało odwszenie i odparzanie ubrań. Golenie głów. Prysznic w lodowatej wodzie. Dopiero po tej męczącej, długotrwałej procedurze zek był wypuszczany na zonę.

3) BARAKI Baraki łagrowe były zrobione z drewna. Oczywiście – jak wszystko w Związku Sowieckim – niechlujnie. Z reguły były to nieocieplone rudery, ściany miały pełno szpar i dziur, przez które do środka dostawały się wiatr, lodowate powietrze i śnieg.

Zimą w środku panowały ekstremalne temperatury. Woda zamarzała w miskach. Niewielkie blaszane piecyki nie były w stanie ogrzać dużych powierzchni. W efekcie ludzie gromadzący się wokół tych nędznych źródeł ciepła mogli ogrzać dłonie, ale w tym samym czasie plecy im kostniały z lodowatego zimna.

Baraki wypełniały rzędy nar, czyli kilkupiętrowych, zbitych z desek barłogów. Więźniowie spali na starych, zgniłych siennikach i przykrywali się podziurawionymi jak sito kocami. Zimą, aby chronić się przed mrozem, spali w czapkach naciągniętych na uszy i ubraniach.

Zmorą baraków było robactwo. Wszy i pluskwy, które żerowały na wycieńczonych ciałach więźniów. Przenosiły tyfus. Walka z nimi była skazana na porażkę. Brudne, zapuszczone baraki dosłownie bowiem roiły się od pasożytów.

4) ROBOTY OGÓLNE Zgodnie z sowiecką teorią łagry miały być obozami wychowawczymi. Po owym „wychowaniu" zek jako odmieniony, „naprawiony" człowiek miał wrócić na łono socjalistycznego społeczeństwa. To „wychowywanie" miało się odbywać przez pracę.

Większość zeków harowała przy wyrębie tajgi, duża część w kopalniach. W ten sposób za pomocą niewolniczej siły roboczej Związek Sowiecki pozyskiwał surowce, które mógł sprzedawać na Zachód i zdobywać w ten sposób bezcenne maszyny i dewizy.

W praktyce praca zeków nie była oczywiście żadnym „wychowaniem", ale mordęgą, która na ogół prowadziła do śmierci. Słabi, głodni i chorzy ludzie musieli wykonywać straszliwie ciężką pracę w temperaturach sięgających –45 st. C. Często kilkanaście godzin dziennie.

W efekcie przeciętny zek po kilku miesiącach padał z wycieńczenia. Ze względu na prymitywne metody pracy plagą robót ogólnych były straszliwe wypadki przy pracy. Kończyły się one śmiercią lub kalectwem, co w realiach sowieckiego łagru oznaczało to samo.

5) JEDZENIE Wszyscy ocaleli z GUŁagu byli w tej sprawie zgodni. Największym przekleństwem zeków, największą łagrową torturą był głód. Przez 99 proc. czasu spędzonego w obozach więźniowie myśleli o jedzeniu. Straszliwy, skręcający wnętrzności, wycieńczający organizm głód stawał się ich obsesją, główną treścią ich życia. Permanentną męką.

Racja żywnościowa składała się z kilkuset gramów czarnego, ciężkiego chleba, pełnego trocin i innego paskudztwa. Do tego bałanda, czyli mętna, cienka zupa zrobiona z odpadków. Jeżeli w brei tej więzień znajdował głowę śledzia, to mógł uważać się za szczęściarza.

„Dieta" więźniów była uboga w witaminy – o świeżych owocach i warzywach można było pomarzyć. W efekcie cierpieli oni na szkorbut – szybko wypadały im wszystkie zęby – kurzą ślepotę i będącą prawdziwym przekleństwem zeków krwawą biegunkę.

Łagry cierpiały na chroniczny niedobór zaopatrzenia. Dziadowska sowiecka gospodarka centralnie planowana nie była w stanie dostarczyć wystarczającej ilości produktów. A to, co przychodziło, było rozkradane przez komendanta łagru, strażników i więźniów funkcyjnych.

6) WYRABIANIE NORMY To był najbardziej piekielny aspekt funkcjonowania systemu. Każdy z więźniów musiał wyrobić normę. Norma ta była na ogół niebywale wyśrubowana. Nawet zdrowy, odżywiony robotnik miałby duży problem z jej wyrobieniem. A co dopiero zek. Często człowiek w podeszłym wieku, inteligent nigdy w życiu nietrzymający w rękach łopaty.

W łagrze obowiązywał tymczasem system „kotłów", który – w teorii – miał zachęcić do wytężonej pracy. Ten, kto wyrabiał 100 proc. normy, dostawał najlepszą i największą rację żywnościową. Ten, kto wyrabiał 80 proc. normy, dostawał porcję nieco pomniejszoną… I tak dalej, aż do… końca.

Było to błędne koło, spirala śmierci. Jeżeli człowiek stawał się coraz słabszy i pracował coraz gorzej – karmiono go coraz gorzej. Efekt mógł być tylko jeden – jeszcze mniej wydajna praca. I jeszcze mniejsza racja żywnościowa. Skończyć się to musiało oczywiście tylko w jeden sposób.

Człowiek stawał się „muzułmaninem", „dochodiagą". Tak w łagrowym żargonie określano wychudzonych, przypominających zombi, zeków, którzy grzebali

Kurtka łagiernika FOT. ALAMY/BE&W

w śmietnikach i żebrali o okruchy chleba. Życie takich nieszczęśników kończyło się szybko.

„Kto nie pracuje, ten nie je" – głosiło słynne sowieckie hasło.

5) UBRANIE (MRÓZ) Więźniowie otrzymywali nędzne ubrania. Czapki, wyświechtane fufajki, połatane portki i rozklekotane buty. Dziurawe rękawice. Często te „robocze ubrania" były ściągane z trupów ich poprzedników.

Taki strój nie zapewniał ochrony przez mrozem. Skutkiem była plaga odmrożeń – wielu więźniów nie miało nosów, palców, a często rąk i nóg. Ludzie chronicznie chorowali na zapalenia płuc.

Obozowa służba zdrowia była pozbawiona najbardziej podstawowych lekarstw i materiałów medycznych. Mimo heroicznych wysiłków lekarzy zeków: walka o życie chorych na ogół kończyła się klęską.

6) KARY I REPRESJE. Przez cały pobyt w łagrach zekowie byli narażeni na przemoc ze strony strażników. W obozie panowała żelazna dyscyplina, rządy strachu i terroru. Za najmniejsze wykroczenie na więźniów spadały straszliwe kary – pobicia, wielogodzinne apele polegające na staniu na baczność na mrozie z gołą głową. W każdym łagrze znajdował się karcer – lodowata piwnica lub dziura w ziemi.

W przypadku najpoważniejszych przekroczeń przepisów – na przykład ucieczek – więźniowie byli rozstrzeliwani. Ich zakrwawione, zamarznięte ciała porzucano przy bramie łagru. Na postrach dla innych zeków, którzy ośmieliliby się iść w ich ślady.

Strażnicy dysponowali w obozie siatką konfidentów. Część więźniów dała się bowiem skusić dodatkową racją żywnościową i donosiła na kolegów. Wystarczyło jedno nierozważne słowo – narzekanie na warunki panujące w obozie, żart z towarzysza Stalina – aby ponieść surowe konsekwencje. W łagrowych barakach „ściany miały uszy".

Więzień, na którego złożono donos, był stawiany przed sądem i do dotychczasowego wyroku dokładano mu następny. Kolejne 5, 10, 15 lat w piekle na ziemi…

7) WIĘŹNIOWIE KRYMINALNI Nie mniejsze – a czasem znacznie większe – zagrożenie dla więźniów stanowili więźniowie kryminalni. W żargonie łagrowym – „urki" lub „błatni". Ci zdemoralizowani ludzie przyjęli prostą strategię przetrwania – kosztem innych zeków.

Urkowie terroryzowali więźniów politycznych. Niezwykle agresywni, wulgarni, pewni siebie, uzbrojeni w noże i wytatuowani. Skupiali się gangi, które rządziły barakami. Każdy, kto im się sprzeciwił, był bestialsko katowany i mordowany.

Urkowie okradali więźniów z najlepszych rzeczy i produktów żywnościowych. Pastwili się nad nimi i upokarzali dla czystej, sadystycznej przyjemności. Człowiek, który im się naraził, był zgubiony. Na celowniku urków często znajdowali się inteligenci, którymi pogardzali i których nienawidzili.

Władze obozowe przymykały oczy na rozgrywający się w barakach horror. Zgodnie z komunistyczną ideologią przestępca kryminalny był bowiem elementem „społecznie bliskim". Kradzież, rabunek, mord – to można było wybaczyć. Co innego więzień polityczny. On był „zdrajcą", „wrogiem ludu" i „faszystą". A więc w oczach komunistów – kimś wielokrotnie gorszym niż pospolity zbrodniarz.

Wszelkie skargi na postępowanie urków kończyły się więc w najlepszym wypadku wzruszeniem ramion.

8) LOS KOBIET W ŁAGRACH Kobiety, które trafiły do obozów, znajdowały się w dramatycznej sytuacji. Narażone były na przemoc seksualną.

Przede wszystkim ze strony strażników, którzy upatrywali sobie co ładniejsze więźniarki i zamieniali je w nałożnice. Zmuszali je do tego groźbą wysłania na najcięższe roboty lub kusili dodatkową kromką chleba. W warunkach straszliwego głodu panującego w obozie kromka ta mogła uratować życie…

Drugą grupą, która nastawała na cześć kobiet, byli kryminalni. Zwyrodnialcy ci dopuszczali się często niezwykle bestialskich, wynaturzonych i zbiorowych gwałtów na więźniarkach. Gwałcili je również analnie, często powodując potworne obrażenia. Blatni często grali w karty o kobiety – oczywiście bez ich wiedzy i zgody.

Kiedy kobieta zachodziła w ciąże, władze obozowe pozwalały jej urodzić, ale dziecko – po krótkim okresie karmienia piersią – było odbierane. Umieszczano je w sierocińcu. Te matki, które przetrwały łagry, szukały później swoich dzieci po całym Związku Sowieckim. Poszukiwania te trwały często wiele lat i kończyły się fiaskiem.

9) LOS MŁODOCIANYCH W ŁAGRACH Zgodnie z nieludzkim sowieckim kodeksem karnym do łagru mogły trafić również nastolatki. Dzieci te były zamykane w obozach dla młodocianych, w których deprawowały się w błyskawicznym tempie. Według Aleksandra Sołżenicyna i innych byłych więźniów młodociany zek należał do najbardziej bezwzględnych i okrutnych pensjonariuszy archipelagu GUŁag. Sowiecki system penitencjarny w szybkim tempie zamieniał dzieci w potwory.

10) WOLNOŚĆ Ci więźniowie, którzy mieli szczęście i przetrwali cały wyrok, byli wypuszczani. Na ogół jednak zabraniano im osiedlania się w dużych miastach i powrotu w strony rodzinne. Wegetowali więc na zapadłej, sowieckiej prowincji. Z piętnem „wroga ludu", pod ustawicznym nadzorem miejscowego NKWD. Wykonywali najgorzej płatne prace. Każdy fałszywy ruch mógł skończyć się kolejnym aresztowaniem. Kolejnym procesem i powrotem…

Życie na wolności często nie trwało zresztą długo. Człowiek, który przeszedł przez sowiecki łagier, był bowiem na ogół ruiną. Wkrótce po wyjściu na „wolność" umierał.

Tak w praktyce wyglądało „wychowywanie przez pracę" w systemie GUŁagu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

67 lat
historii filmu
2536 wydań

Filmopedia
FILM
od 1946 roku

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 0d139574de

Aleksander Sołżenicyn po deportacji ze Związku Sowieckiego, 1974 r.

FOT. © VERHOEFF, BERT / ANEFO / WIKIMEDIA COMMONS

Literatura / Dziesięć książek o GUŁagu, które trzeba przeczytać

Opowieści z ziemi przeklętej

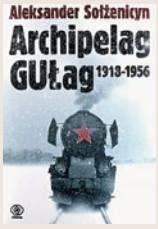

1. ALEKSANDER SOŁŻENICYN „ARCHIPELAG GUŁAG”

Wielka, trzytomowa książka Aleksandra Sołżenicyna (1918–2008), laureata Nagrody Nobla z 1970 r., istna encyklopedia wiedzy o systemie łagrów, w których autor dzieła spędził osiem lat, zanim został zwolniony na „wieczne osiedlenie” w Kazachstanie, skąd trzy lata później po ciężkiej chorobie zezwolono mu wreszcie na powrót do europejskiej części ZSRS. Nie na długo jednak. W 1974 r. został aresztowany, pozbawiony sowieckiego obywatelstwa i wywieziony samolotem do Niemiec Zachodnich. Przymusową emigrację spędził głównie w Stanach Zjednoczonych. Do kraju powrócił w 1994 r.

Krzysztof Masłoń

Wielu wybitnych pisarzy przeszło przez piekło GUŁagu i opisało swoje dramatyczne przeżycia. Oto autorski ranking Krzysztofa Masłonia – 10 najważniejszych książek o łagrach

„Archipelag GUŁag” zaczął pisać w roku 1958, a skończył 10 lat później, w roku – jak zauważył – „podwójnego jubileuszu (a nadto – oba jubileusze coś łączy): 50-lecia rewolucji, której dziełem jest Archipelag – i 100-lecia wynalazku drutu kolczastego. Druga z tych rocznic nie doczeka się obchodów, ani chybi…” – wieszczył.

Z dzieła Aleksandra Sołżenicyna zacytujmy takie oto rady dla więźnia po raz pierwszy przekraczającego obozową bramę. Zacznijmy od spraw podstawowych: Gdzie się, człowieku, znalazłeś?

eprasa.pl 0d139574de

„Zona. Dwieście kroków od jednych drutów do drugich, ale też nie wolno się do nich zbliżać. A tak, będą sobie naokół zielenieć i lśnić zwienigrodzkie pagórki, ale tu masz tylko głodowe porcje, kamienny loch SZIZO [izolatki – przyp. K.M.], nędzny daszek nad kuchnią do »indywidualnego gotowania«, lada jaką budę łaźni, szarą komórkę latryny z przegniłymi deskami – i nigdzie stąd się nie ruszysz, to już koniec. Ta wysepka jest może ostatnim kawałkiem ziemi, po którym dane ci jest jeszcze stąpać.

W izbach stoją gołe wagonetki. Wagonetka – to wynalazek Archipelagu, tubylczy mebel, przeznaczony do spania, nigdzie na świecie nie uświadczysz niczego podobnego: są to cztery drewniane płyty ułożone w dwa piętra na dwóch krzyżakach; jeden krzyżak z przodu, drugi z tyłu. Jeśli jeden ze śpiących się poruszy – to pozostali kołyszą się, jak na pokładzie.

Materaców w tym obozie nie wydają, sienników – też nie ma. Pojęcie »bielizny« nie znane jest wyspiarzom z Nowej Jerozolimy [pierwszy łagier Sołżenicyna znajdował się w monastyrze Nowe Jeruzalem koło Moskwy – przyp. K.M.]; nie zaopatrują tu w pościelową, nie przydzielają i nie piorą bielizny osobistej, [...]. Wieczorem, kładąc się na gołej desce, może człowiek zzuć buty, ale musi liczyć się z tym, że mu je ukradną. Lepiej więc spać w obuwiu. Odzieży także lepiej nie rozwieszać, bo też skradną. Wychodząc rano do pracy, człowiek nie powinien niczego zostawiać w baraku: jeśli złodzieje wzgardzą, to skonfiskują strażnicy: regulamin nie przewiduje! [...] A twoja decha nie różni się niczym od desek, na których śpią sąsiedzi. Jest tak samo goła, pokryta skorupą brudu, polerowanego więźniarskimi bokami.

I tak ma być dziesięć lat. Głowa do góry!".

2. WARŁAM SZAŁAMOW „OPOWIADANIA KOŁYMSKIE"

„Słynny »Archipelag GUŁag« wniósł wiele w poznanie świata łagrów, zwłaszcza w zakresie materiału faktograficznego – pisał Juliusz Baczyński. – Natomiast w sferze przeżyć, emocji, uczuć, myśli i refleksji nad ludzką nędzą to Warłam Szałamow (1907–1982) jest tym, który beznamiętnie prowadzi nas przez piekło zgotowane przez człowieka drugiemu człowiekowi w naszych czasach".

Otwórzmy więc „Opowiadania kołymskie": „Termometru robotnikom nie pokazywano, nie było zresztą takiej potrzeby – do pracy należało wychodzić obojętnie przy ilu stopniach. Starzy mieszkańcy łagru prawie dokładnie określali, jak wielki jest mróz, bez użycia termometru: jeśli utrzymuje się mroźna mgła, znaczy to, że na zewnątrz jest 40 stopni poniżej zera; jeśli w trakcie oddychania powietrze wydobywa się ze świstem, ale jeszcze bez trudu – to jest 45 stopni; jeśli zaś pojawia się przy tym zadyszka – to na pewno jest 50 stopni. Powyżej 55 stopni ślina zamarza w locie. Już od dwu tygodni tak zamarzała.

Każdego dnia Potasznikow budził się z nadzieją – czy nie zelżał może mróz: z doświadczeń minionej zimy wiedział, że dla poczucia ciepła, nie zważając na to, jak niska jest temperatura, istotna jest wyraźna jej zmiana, kontrast. Jeśli mróz opadnie nawet tylko do 40–45 stopni, to przez dwa dni będzie ciepło, a dalej, ponad te dwa dni, nie ma sensu czegokolwiek planować.

Mróz jednak nie opadał i Potasznikow rozumiał, że dłużej już nie wytrzyma. [...] Trzeba było na coś się zdecydować, coś wymyślić osłabionym mózgiem. Albo – umrzeć".

3. GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI „INNY ŚWIAT"

Ta autobiograficzna książka polskiego pisarza ukazała się najpierw po angielsku (1951), a dopiero dwa lata później po polsku, w języku, w którym była napisana. Na przekład francuski musiał Gustaw Herling-Grudziński (1919–2000) czekać aż do połowy lat 80. zeszłego wieku. Paradoksalnie swoje najważniejsze dzieło napisał... za wcześnie. Gdy „Inny świat" został wydany, mocno wtedy lewicująca, a – jak zwykle – bardzo wpływowa część światowej opinii publicznej w ogóle nie przyjmowała wiadomości o łagrach w budującym świetlaną przyszłość Kraju Rad. Dopiero po edycji „Jednego dnia Iwana Denisowicza" Aleksandra Sołżenicy w 1962 r. zmieniono zdanie w tej materii, a i tak zwalono całą odpowiedzialność na Stalina, podkreślając „liberalny" kurs polityki Chruszczowa, który – proszę bardzo! – zezwala na publikację tak krytycznych książek. Druga sprawa to wysuwany przez przeciwników Herlinga zarzut odwiecznej rzekomo polskiej antyrosyjskości, a na dodatek jeszcze doczepiono mu antysemityzm, choć pisarz sam był pochodzenia żydowskiego.

W wolnej Polsce „Inny świat" stał się obowiązkową lekturą w liceach ogólnokształcących. Jak najsłuszniej. Herling pisał między innymi:

„[...] w ciągu półtorarocznego pobytu w obozie słyszałem zaledwie parę razy więźniów obliczających na głos ilość lat, miesięcy, tygodni, dni i godzin, które pozostały im jeszcze do ukończenia wyroku. Była to jak gdyby cicha umowa, zmierzająca do nieprowokowania losu. Im mniej mówiło się o wyrokach, im mniej pokładało się nadziei w odzyskaniu wolności, tym prawdopodobniejsze wydawało się, że »tym razem« wszystko pójdzie dobrze. Rozdmuchiwanie nadziei miało w sobie straszliwe niebezpieczeństwo zawodu. W owym milczeniu [...] pokora sąsiadowała z cichym i wytrwałym przygotowaniem na najgorsze. Więzień nieuzbrojony w nie przeciwko losowi przyjmował zaskoczenie jak śmiertelny cios. W lipcu 1941 roku, dwa tygodnie po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej [...], stary kolejarz z Kijowa, Ponomarienko, który przesiedział okrągłe dziesięć lat we wszystkich możliwych obozach sowieckich i jedyny wśród nas mówił o nadchodzącym zwolnieniu z pewnością siebie wykluczającą jakiekolwiek obawy, został w dniu ukończenia wyroku wezwany za zonę, aby usłyszeć, że przedłużono mu go »biezsroczno«. Kiedyśmy wrócili z pracy, już nie żył, umarł w baraku na atak serca".

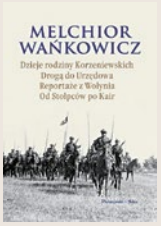

4. MELCHIOR WAŃKOWICZ „DZIEJE RODZINY KORZENIEWSKICH"

Ten niewielki rozmiarami utwór napisał autor „Bitwy o Monte Cassino" w 1943 r. Jest to dokument o umierających z głodu polskich zesłańcach. Czy jest to w pełnym tego słowa znaczeniu „literatura łagrowa"? Odpowiem słowami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który po przeczytaniu wstrząsających „Dziejów rodziny

eprasa.pl 0d139574de

Korzeniewskich" stwierdzał: „Wiem teraz na pewno, że życie tych biednych istot było nierzadko po stokroć cięższe od zorganizowanego procesu powolnego umierania w obozach i więzieniach".

Melchior Wańkowicz (1892–1974) wysłuchał opowieści Hanki Korzeniewskiej o jej rodzinie i jej bytowaniu w miejscu swego nowego osiedlenia, 16 km od stacji Afanasiewskij Razjezd Swierdłowskoj Obłasti, Aczyckiego Rejonu: „Polują na psy i koty – zwierzęta nieczyste w pojęciu Uzbeków. Lepieniec stojący za wsią otacza powszechna pogarda. Spluwają, przechodząc koło miejsca, w którym siedmiu pariasów czepia się życia. [...] Dziesiątego lutego ojciec traci przytomność. Kona dziewięć dni. Po nim przychodzi kolej na jego żonę i dzieci. Przeżyła jedynie Hanka, która pokazuje pisarzowi metrykę śmierci ojca z rozpoznaniem gminnego lekarza, który chorego nawet na oczy nie widział. W rubryce: »Przyczyna śmierci« wpisał: »Głód«".

„Każdy naród – komentował Wańkowicz – ma swoje ulubione wyrażenie. Amerykanie mówią »Okey«, Anglicy »All right«. Te wyrażenia w uproszczonym skrócie oddają ducha narodu. Naród rosyjski ma takie swoje słowo: »Oczeń prosto« (co dosłownie znaczy: »całkiem prosto« i ma sens: »zupełnie zrozumiałe, nie ma się czemu dziwić«). Dlatego lekarz gminny w metryce wystawionej siłą wywiezionemu i bez sądu pozbawionemu życia obywatelowi »sojuszniczego państwa«, mającego już wówczas swoje poselstwo w Rosji, wypisał jako przyczynę śmierci – głód. Oczeń prosto...".

5. BEATA OBERTYŃSKA „W DOMU NIEWOLI"

To wyjątkowa książka w literaturze polskiej, zawierająca opisy pobytu autorki w Workucie, gdzie ta córka młodopolskiej poetki Maryli Wolskiej, sama też poetka, została zesłana po aresztowaniu w roku 1940 przez NKWD. Beata Obertyńska (1898–1980) przeszła potem szlak bojowy z armią Andersa, w której służyła w stopniu porucznika, a „W domu niewoli" wydała w 1946 r. w Rzymie. W książce relacjonuje m.in., jakie powitanie po – zda się – niemającym końca transporcie na usiany łagrami cypel Komi, „gdzie – czytamy – diabeł mówi nareszcie Rosji dobranoc, gdzie mapa zaczyna powoli tracić pigment na rzecz polarnych bezbrzeży", zgotował przybyłym naczelnik łagru:

„Nareszcie jesteśmy u celu! Po długiej podróży przybyłyśmy na miejsce przeznaczenia. Tu będziemy mogły wykazać się naszą dobrą wolą i lojalnością w stosunku do Sojuzu. Bo chleb jest tylko dla lojalnych, oddanych i szczerych. Inni prędzej czy później zdechną z głodu. Należy się też wyzbyć mniemania, że pobyt w łagrze jest tylko – karą. Nie! To uniwersytet! Tu ludzie wyrabiają się prędzej i lepiej niż w niejednej uczelni. Pobyt w łagrze jest wstydem tylko dla takiego, który tego nie chce zrozumieć i który nie ma zamiaru się poprawić. On sam przez 10 lat był zakluczonym i wcale tego nie żałuje. Przeciwnie! Zrozumiał, ile się tu można nauczyć, ile zdobyć, jak się wyrobić, jak zmężnieć. Zaś sposobność odpokutowania swoich win, umożliwiająca potem każdemu powrót do normalnego życia i wszystkich praw – jest jednym z największych dobrodziejstw reżymu. Stąd albo się wychodzi człowiekiem – albo nie wychodzi się wcale. Reżym sowiecki jest najdoskonalszym ustrojem, jaki zna historia. I nie spoczną, póki się jego dobrodziejstwami nie podzielą z całym światem – z jego wolą czy bez niej! Potrafią zmiażdżyć kapitalistyczne ustroje, pokonać bandytę Gitlera, a wtedy – wyzwolone spod ucisku burżuazji – czarne robocze masy proletariatu całego świata... itd.

Do kraju nie wrócimy już nigdy! Tu jest teraz nasza ojczyzna. Od nas więc samych zależy, czy po odbyciu słusznej, sprawiedliwej kary za zbrodnie i pomyłki staniemy się kiedyś wolnymi grażdankami Sojuzu, czy też przyjdzie nam zdechnąć jak bydłu w karnych punktach łagrów. [...] Reżym się wcale nie mści na zasądzonych. Reżym ich wychowuje...".

6. ALEKSANDER SOŁŻENICYN „DZIEŃ Z ŻYCIA IWANA DENISOWICZA"

Już na początku tej niewielkiej, 100-stronicowej powieści, dowiadujemy się, że tytułowy bohater „dobrze sobie zapamiętał słowa pierwszego swego brygadzisty, Kuziemina – starego wygi łagrowego, w czterdziestym trzecim siedział już dwunasty rok, i kiedyś przy ognisku na pustym wyrębie powiedział do swoich przywiezionych z frontu uzupełnień.

– Tutaj, chłopcy, jest tylko jedno prawo – tajga. Ale ludzie i tutaj żyją. Wiecie, kto w łagrze zdycha? Ten, co miski wylizuje, ten, co liczy, że się w szpitalu zadekuje, a także kapuś.

Co do kapusiów, to oczywiście zasunął. Ci to się uchowają. Ale zachowają się za cenę ludzkiej krwi".

Odnośnie zaś do szpitala, to miewał on jednak swoje dobre strony i Iwanowi Denisowiczowi Szuchowowi niekiedy marzyło się, żeby tak zachorować na dwa, trzy tygodnie – nie na śmierć i bez operacji, ale żeby wzięli do szpitala. „Trzy tygodnie mógłby chyba leżeć i nie ruszyć się, a że karmią postnym rosołem – niech tam. Ale przypomniał sobie Szuchow, że teraz i w szpitalu nie można się wyleżeć. Którymś transportem przyjechał nowy doktor, Stiepan Grygorycz [...]. Na chorobę najlepszym lekarstwem – powiada – jest praca. Jakby nie wiedział, że od roboty i koń zdycha. A to się rozumie samo przez się i to w łagrze trzeba rozumieć. W przeciwnym razie nie jest się tylko skazanym na śmierć – już się umiera".

7. WŁADIMIR BUKOWSKI „I POWRACA WIATR"

Spotkać się można z mylną opinią, jakoby łagry związane były z jedną, stalinowską, epoką dziejów ZSRS. Nic podobnego. Fundamenty pod „Archipelag GUŁag" stawiał Włodzimierz Lenin, a cały obozowy system świetnie funkcjonował i po rzekomej, chruszczowowskiej „odwilży", a i wiele lat później, o czym przekonuje książka Władimira Bukowskiego (1942–2019), dysydenta zamykanego w więzieniach, „psychuszkach" i łagrach, który opowiedział o tym w znakomitych wspomnieniach „I powraca wiatr".

Czytamy w nich: „Turkoczą koła, rzuca wagonem na zwrotnicach, smętnie śpiewają baby i strażnik chodzi tam i nazad po korytarzu, spogląda przez kraty na zeków.

– Na wschóóóód! – wyje parowóz.

Dokąd nas ciągną? Do Komi, Tiumenia, Kirowa czy Permu? Co zresztą za różnica?

Mój adres – nie dom, nie ulica. Mój adres – to Związek Sowiecki.

eprasa.pl 0d139574de

Na zachód natomiast jadą wagony zupełnie puste – nie ma po co wieźć nas na zachód".

8. GIEORGIJ WŁADIMOW „WIERNY RUSŁAN"

O tym wyjątkowym opowiadaniu Grigorija Władimowa (1931–2003) tak pisał René Śliwowski: „»Wierny Rusłan« spośród całej olbrzymiej literatury z psim światem związanej wyłamuje się w sposób absolutny. [...] Władimow rejestruje w sposób bezprzykładny, wstrząsający, jaką rolę człowiek wyznaczył zwierzęciu w zniewalaniu tego, który mógłby być jego panem i przyjacielem, towarzyszem doli i niedoli, żywicielem wreszcie i opiekunem. Ale człowiek nauczył go nienawidzić tego innego człowieka, posadzonego za drutami, zaszczutego podobnie jak on sam. [...] Ale oto nastanie dzień, kiedy okaże się raptem, że ze zniewoleniem było lepiej i prościej, a gdy znikną łagry i kolczaste druty, nie będzie miejsca i dla wykoślawionego zwierzęcia.

Nikt przed Władimowem nie odtworzył tak skomplikowanych zawiłości łączących i dzielących człowieka i zwierzę, uczucia uległości i nienawiści, podporządkowania i buntu, dominacji strachu, odwetu i znowu tłumionej uległości, upiornej zależności i okrucieństwa. Chyba w żadnym utworze literatury światowej nie opisano z taką drobiazgową dokładnością potwornych warunków psychofizycznych, w jakich za sprawą zdemoralizowanego przez system człowieka znalazł się nieszczęsny wierny Rusłan, kiedy zabrakło mu władzy zniewolonych panów. Kto został bardziej zdeprawowany – człowiek czy zwierzę?".

9. SIERGIEJ DOWŁATOW „JAK PRAGNĘ WOLNOŚCI"

Siergiej Dowłatow (1941–1990) odwoływał się do własnych doświadczeń, służbę wojskową odbył bowiem w jednym z obozów. W opowiadaniu „Marsz samotnych" opowiada historię niejakiego Kupcowa. Jego dossier jest porażające, „kilkadziesiąt słów niby wystrzały. BOMŻ (bez określonego miejsca zamieszkania). BOZ (bez zawodu). Rubryka OR (niebezpieczny recydywista). Trzydzieści dwa lata w łagrach. Najstarszy pensjonariusz Ust-Wymskiego Łag-punktu. Cztery wyroki. Dziesięć ucieczek. Nie pracuje z zasady…". Między nim a strażnikiem toczy się zacięta walka właśnie o to ostatnie. Dozorca niewolnika chce go do pracy przymusić, niewolnik odpowiada, że nie pozwala mu na to jego złodziejskie prawo, a on jest „z dziada pradziada rosyjski złodziej".

Taką opowieść serwuje Borys Kupcow swemu nadzorcy, gdy ten nachodzi go przy ognisku, czytającego książkę, prawdopodobnie „Zbrodnię i karę" Dostojewskiego:

„– Tutaj piszą – powiada Kupcow – że gość zabił staruchę dla forsy. I tak się męczył, że z własnej woli poszedł na katorgę. A ja, wyobraź sobie, znałem jednego faceta w Turkiestanie. Miał facet na koncie ze trzydzieści mokrych robótek i ani jednego wyroku. Dożył do siedemdziesiątki. Dzieci, wnuki, muzyki uczył na starość… Mało tego, historia dowodzi, że można jeszcze bardziej zaszaleć. Na przykład wykończyć dziesięć milionów czy ileś tam, a potem zapalić sobie papieroska »Hercegowina Flor« [ulubione papierosy Stalina – przyp. K.M.]".

Strażnik nie jest komunistą, ale zna swoje obowiązki, poza tym wyraźnie zawziął się na Kupcowa, z tym że ta niezłomność zeka zaczęła mu imponować, odczuwał bliskość z tym człowiekiem nienawidzącym go tak, jak i on jego nienawidził. W końcu Kupcow nieoczekiwanie dla swojego antagonisty zgodził się pracować w lesie, dostał topór i… „Powoli ukląkł przy pniu. Położył lewą rękę na żółtym, szerokim migocącym rzazie. Potem wzniósł topór i opuścił go z całej siły.

– Nareszcie – powiedział, brocząc krwią. – Teraz już wszystko w porządku…".

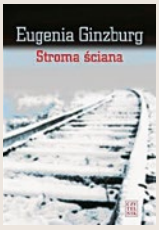

10. EUGENIA GINZBURG „STROMA ŚCIANA"

Wspomnienia Eugenii Ginzburg (1904 lub 1906–1977) z 18-letniej tułaczki po więzieniach i obozach, odkąd w 1937 r. została aresztowana i skazana za „działalność kontrrewolucyjną", zawierają – jak zapewniała autorka „Stromej ściany" – „prawdę i tylko prawdę". Pamiętajmy o tym, czytając np. opis takiej oto szpitalnej historii łagrowej:

„– On się nazywa Kulesz – mówi naczelnik reżymu. – Kulesz. A to jest jego kolacja.

Podaje mi czarny zakopcony rondelek, wypełniony po brzegi jakąś potrawą.
– Proszę o orzeczenie, co to za mięso!

Zaglądam do rondla i robi mi się niedobrze. Włókna tego mięsa są drobniutkie i nie przypominają mi niczego, co bym mogła rozpoznać. Czarne włoski sterczą ze skóry, pozostawionej na paru kęsach".

Kulesz przed osadzeniem był kowalem z Połtawszczyzny. W łagrze pracował razem z byłym sekretarzem partyjnym jednego z rolniczych powiatów Gruzji, Centuraszwilim, któremu do zwolnienia pozostał jedynie miesiąc. I oto któregoś dnia zniknął. Szukano go trochę, a potem uznano za zbiega, choć powszechnie dziwiono się, po co uciekł, skoro lada dzień miał zostać wypuszczony. „Przyłapuję się na tym, że po raz pierwszy od lat staję jakby po stronie władz, nie więźnia. Coś mnie łączy w tej chwili z naczelnikiem reżymu. Łączy wspólne obrzydzenie do wilkołaka, do zeka, który przekroczył granicę człowieczeństwa".

A jak odkryto, co się stało z Centuraszwiim? Sąsiedzi Kulesza z baraku podpatrzyli, jak nocą gotuje w piecu mięso. Jakie i skąd? Powiedział, że zdobył skądś kawałek zabitego jelenia, nie podzielił się nim jednak z nikim, nie poczęstował, nic dziwnego więc, że ktoś doniósł o tym naczalstwu, a ci już doszli prawdy.

„Kulesz zabił grzejącego się przy ognisku Centuraszwilego uderzeniem siekiery w szyję. Potem ściągnął z zabitego ubranie i spalił w ognisku. Następnie metodycznie porąbał zwłoki na kawałki i zakopał w śniegu, oznaczając swoje spiżarnie na różne sposoby. Wczoraj dopiero odnalezione zostało biodro zamordowanego w jakiejś zaspie pod dwoma złożonymi na krzyż palikami. […]

Późnym wieczorem, gdy zostaliśmy sami w pokoju zabiegowym, [doktor – przyp. K.M.] spojrzał na mnie i położył swoją rękę na mojej. – Straszny to był dzień, dziewczyno. Ale nie będziemy rozpaczać. Owszem, bestia żyje w człowieku. Ale nie pokona go".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

Stefania Szantyr-Powolna

FOT. RAFAŁ GUZ, WYDAWNICTWO ZNAK

Kobieta za drutami / Fragment książki „Dziewczyny z Syberii"

Byłam na Workucie

W 1945 r. Sowieci skazali ją na 10 lat łagru za służbę w AK. Stefania Szantyr-Powolna opowiada o swojej gehennie

Wreszcie podróż dobiegła końca. Dowieziono nas do Uchty w republice Komi. Był już czerwiec, pełnia lata, ale gdzieniegdzie leżały jeszcze płaty topniejącego śniegu. Gdy otwarto wagony, natychmiast zaczęliśmy jeść ten śnieg, aby ugasić pragnienie.

W Uchcie trafiliśmy do obozu „pieresilnego", czyli rozdzielczego. Przypominał targ w starożytnych Atenach, na którym handlowano niewolnikami. Stamtąd naczelnicy obozów brali nas jako darmową siłę roboczą do swoich łagrów.

Trafiłyśmy do obozu w Sediu, większość jego więźniów to byli pospolici kryminaliści. Naczelnik przestrzegł nas, żebyśmy pilnowały rzeczy, bo nas okradną. Radził też, żebyśmy nie pożyczały od innych kobiet menażek, bo możemy się zarazić. W łagrze szalał bowiem syfilis.

Kładąc się spać w zapluskwionych barakach, przypięłyśmy agrafkami ubrania do koca. Chodziło o to, aby czuć, gdy ktoś pociągnie. Dla sowieckich złodziei była to jednak śmieszna przeszkoda. Już pierwszej nocy zostałyśmy doszczętnie ograbione z ubrań i butów. Musiałyśmy chodzić w wydanych nam przez administrację obozu łapciach z łyka i onucach.

Rano wszystkie brygady zbierały się na apel przed obozową bramą. Następowało odliczanie. Wypuszczano nas za druty tylko w towarzystwie konwojentów, którzy uprzedzali nas surowo:

– Krok do przodu, krok w bok, a będę strzelał bez uprzedzenia.

Tak, jakby tam było dokąd uciekać...

Pewnego dnia na poranną zbiórkę poszłam boso. Ktoś ukradł mi nocą nawet nędzne obozowe onuce.

Na początku nasza praca polegała na koszeniu trawy „Iwan Czaj". Był to rodzaj pędu, który przypominał kukurydzę i sięgał mi powyżej ramion. Robiono z niego paszę dla bydła i zupę dla więźniów. Praca była straszna.

Do ścinania pędów używałyśmy tępych tasaków, dzień roboczy trwał 12 godzin lub dłużej. Wszystko zależało od tempa pracy. Nie puszczali nas z powrotem do obozu dopóty, dopóki nie wykonałyśmy jak największej części normy. Na polu stała waga i skrupulatnie sprawdzano, kto ile ściął. Norma dzienna wynosiła... 200 kg na głowę. Była to ilość olbrzymia.

Nigdy nie udało mi się wyrobić normy i za karę nie dostawałam pełnej racji chleba.

Nawet pełna porcja była zresztą wręcz śmiesznie mała. Chleb był mokry, ciężki. Wyglądał i smakował jak kawałek gliny. Rano do tej gliny dostawałyśmy rzadką zupę robioną na zielsku dla bydła. Po pracy dawali nam łyżkę kaszy z naparstkiem oleju i zupę. Od święta była śmierdząca, słona ryba.

Głód był straszliwy. Bardzo szybko zaczęłyśmy chorować na szkorbut. Zęby ruszały się w dziąsłach, robiły nam się obrzęki głodowe. Rano wstawałyśmy z nogami wielkimi jak u słonia albo

eprasa.pl 0d139574de

z twarzami tak opuchniętymi, że nie mogłyśmy otworzyć oczu. Wyglądałyśmy jak zdeformowane potwory.

Śmierć w obozie

Kiedy przyszła zima, zaczęła się katorga. Wyręb lasu. Najpierw należało odkopać śnieg wokół drzewa, żeby starczyło miejsca do swobodnego manewrowania piłą lub siekierą. Rąbać i piłować należało pod odpowiednim kątem, żeby drzewo nie zwaliło się nam na głowy.

Nie byłyśmy przyzwyczajone do tak ciężkiej fizycznej pracy. Szczególnie w tak ekstremalnych warunkach pogodowych. Śnieg sięgał po pas, było tak zimno, że zamarzały nam oddechy.

Ubrane byłyśmy w walonki i w ciełogrejki, czyli watowane kurtki, a na to zakładałyśmy jeszcze buszłaty, czyli grube płaszcze. Narzędzia wyślizgiwały się nam z rąk, palce grabiały. Cały czas zdarzały się wypadki. Drzewa przygniatały ludzi, miażdżyły nogi, ręce, czaszki.

Pewnego dnia przerwałam na chwilę pracę, żeby rozprostować nogi i plecy. Wszystko straszliwie mnie bolało. Obok, w odległości kilku kroków, stała kryminalistka. Co ciekawe, podobno była arystokratycznego pochodzenia. Była bardzo piękną dziewczyną.

Nagle podbiegła do nas inna Rosjanka z siekierą uniesioną ponad głową i z całej siły uderzyła moją sąsiadkę w głowę. Cios był zadany znienacka, ofiara nawet nie zdążyła się zasłonić. Głowa pękła na pół, na biały śnieg chlusnęła gęsta purpurowa krew.

Stałam jak oniemiała. W trakcie służby w Armii Krajowej widziałam różne rzeczy, rozmaite paskudne rany, ale nigdy czegoś takiego. Przypuszczałam, że obie te kobiety podzielił jakiś zażarty spór, że byłam świadkiem bestialskiego aktu wendety.

Potem dowiedziałam się, że chodziło o coś zupełnie innego. Otóż morderczyni po prostu chciała wyrwać się z obozu koncentracyjnego. Miała już dosyć straszliwej harówki, mrozu i głodu.

Wiedziała, że jeżeli zabije człowieka, to zostanie wysłana do więzienia, będzie toczyło się przeciwko niej długie śledztwo. Przez cały ten czas nie będzie wychodzić na roboty, odpocznie sobie w celi. W ten sposób uratuje życie.

ANNA HERBICH
„DZIEWCZYNY Z SYBERII"
ZNAK

Najgorsze w tej historii było to, że swoją ofiarę wybrała całkowicie przypadkowo. Owa kryminalistka nawinęła jej się akurat pod rękę. A przecież parę kroków dalej stałam ja...

Śmierć groziła nam nie tylko z rąk kryminalistek. Pewnego dnia podczas wyrębu lasu byłyśmy już krańcowo wycieńczone. Usiadłyśmy z koleżankami pod drzewem, żeby choć chwilę odsapnąć. Wyciągnęłyśmy po kawałeczku chleba, któraś powiedziała coś zabawnego.

Zaczęłyśmy się śmiać, byłyśmy przecież takie młode. Starałyśmy się nie tracić ducha, nawet w najbardziej beznadziejnej sytuacji. Podbiegł do nas konwojent i zaczął na nas wrzeszczeć. Miałyśmy natychmiast przestać się śmiać.

– A co, będziesz strzelać? – powiedziała jedna z koleżanek.

– Będę.

– To, strzelaj.

Do dzisiaj nie wiem, dlaczego tak powiedziała. Może miała dość i te słowa miały być przepustką do nowego, lepszego świata. A może myślała, że to żart. Konwojent jednak był innego zdania. Spokojnie zdjął karabin z ramienia, zarepetował, wycelował i z bliskiej odległości wystrzelił.

Rozległ się potworny huk, koleżanka padła martwa. Bolszewik zaś wpadł w amok i strzelał dalej. Jeszcze kilka więźniarek zostało tego dnia rannych, ja całe szczęście wyszłam bez szwanku. Strażnik dostał potem nagrodę za udaremnienie próby ucieczki groźnych „wrogów ludu"...

Wigilijny szczur

Wkrótce wydarzył mi się wypadek. Podczas pracy w lesie uderzył mnie ciężki pień drzewa. Musiałam doznać obrażeń wewnętrznych, bo dostałam krwotoku z ust. Trafiłam do obozowego szpitala. Paradoksalnie całe to wydarzenie być może uratowało mi życie.

Zaprzyjaźniłam się bowiem ze szpitalnym personelem. I gdy już się wykurowałam, lekarz naczelny zatrudnił mnie w przyszpitalnym laboratorium. Zostałam zwolniona ze straszliwych robót leśnych. Kierownikiem w tym laboratorium była polska Żydówka, bardzo sympatyczna i życzliwa kobieta.

Pielęgniarki były więźniarkami. Podobnie lekarze. Część jeszcze odbywała wyroki, a część je zakończyła, ale mimo to nie dostała pozwolenia na opuszczenie obozu. Trzeba przyznać, że byli to dużej klasy specjaliści. Byli wśród nich nawet profesorowie, którzy w latach 30. padli ofiarą czystek.

Praca była oczywiście znacznie lżejsza niż w lesie. Przeżywałam tam jednak bardzo trudne chwile. Na moich rękach umierali ludzie, w tym wielu Polaków. Wielu z nich wcale nie musiało umrzeć, obozowy szpital nie miał jednak lekarstw, a nieraz nawet najbardziej potrzebnych narzędzi medycznych. Właśnie wówczas postanowiłam, że jeżeli to wszystko przeżyję, to zostanę lekarką. Że poświęcę się ratowaniu ludzkiego życia.

Tam również miało miejsce jedno z najstraszniejszych zdarzeń w moim życiu. Zostałam przegrana w karty.

Urkowie – zdeprawowani, pozbawieni skrupułów przestępcy, którzy terroryzowali współwięźniów – całymi dniami grali w karty, ale nie o pieniądze – których nie mieli – ale o ludzi. Wybierali sobie jakiegoś przypadkowego więźnia i zakładali się o jego życie. Pech chciał, że podczas jednej z rozgrywek zobaczyli, jak przechodzę pod oknem ich baraku.

Wygrał mnie w karty jakiś morderca. Zgodnie z przestępczym „prawem" mógł zrobić ze mną, co chciał. Zabić, zgwałcić, poćwiartować, udusić. Wszystko. Władze obozu nie były w stanie mnie obronić, były bezradne. Wolały nie mieszać się do takich spraw.

Pracując w obozowym szpitalu, zaprzyjaźniłam się z jedną z pielęgniarek. Była Estonką, nazywała się Made Tikerpour. Urocza, przepiękna dziewczyna. Wyglądała jak gwiazda filmowa. Wszyscy – lekarze, pacjenci i kryminaliści – kochali się w niej na zabój.

Kiedy dowiedziała się, co mi się przytrafiło, chodziła po szpitalu i gorzko płakała. Spotkał ją akurat jeden z hersztów urków, oczywiście jej wielki wielbiciel. Kiedy opowiedziała mu o swoim zmartwieniu, bandzior nagle zniknął. Wrócił po kilku dniach, odszukał Made i oświadczył jej:

– W dowód mojej miłości chcę ci ofiarować prezent. Tym prezentem będzie twoja przyjaciółka Stefania. Grałem

eprasa.pl 0d139574de

w karty kilka dni, ale ją odegrałem. Dla ciebie. Teraz jest twoja.

To była historia bez precedensu w całych dziejach archipelagu GUŁag. Jeszcze przez wiele lat opowiadano o niej legendy w sowieckich łagrach!

Na śniegowej pustyni

Niestety długo w tym szpitalu nie pracowałam. Na początku roku 1947 zostałam dołączona do transportu więźniów odchodzącego do Workuty za kręgiem polarnym. Ta nazwa wzbudzała wśród więźniów przerażenie. Ludzie robili wszystko, żeby tylko tam się nie dostać. Podobno tam było najgorzej.

Łagry Workuty FOT. © NATIONAAL MONUMENT KAMP VUGHT

Kiedy przybyłam na Workutę, trwała zima. Najsroższa, jaką w życiu widziałam. Rozciągała się przede mną jedna wielka śniegowa pustynia, nad którą szalał porywisty wiatr. Musiałam mrużyć oczy, bo wpadały do nich ostre drobinki lodu.

Z trudem dostrzegłam budki strażnicze wystające nieco ponad olbrzymie zaspy. Dopiero potem zobaczyłam kominy. Okazało się, że śnieg całkowicie zasypał baraki.

Zimą w ogóle nie wschodziło słońce, noc trwała całą dobę. Nienawidziłyśmy polarnego zjawiska atmosferycznego – tzw. purgi. To była straszliwa burza śnieżna, która chłostała ziemię biczem zlodowaciałego śniegu. Jeżeli ludzie znajdowali się akurat na zewnątrz, to biada im.

Natychmiast byli cali oblepieni śniegiem i zamarzali. Zdarzały się przypadki zamarznięcia całych brygad, które purga zaskoczyła w trakcie pracy z dala od obozu. Zamarzniętych, zesztywniałych ludzi znajdowano dopiero późną wiosną, gdy tajały śniegi.

Zdarzało się jednak, że wyprowadzano nas w trakcie purgi, aby odkopać ze śniegu tory kolejowe. Śnieg był tak zbity i zamarznięty, że trzeba było rozbijać go kilofami. Jak skałę. Kopałyśmy wzdłuż torów specjalny śniegowy tunel, żeby pociąg mógł swobodne przejechać.

To była straszliwa walka z żywiołem. Purga wiała, przyciskając nas do ziemi. Huk był tak potworny, że nie słyszałyśmy siebie ani pędzącego pociągu. Dopiero gdy pojawiały się światła reflektorów, odskakiwałyśmy do tyłu i przytulałyśmy się do ścian tunelu, żeby przepuścić pociąg.

Raz zdarzył się straszny wypadek. Lokomotywa zahaczyła o furkoczącą na wietrze spódnicę brygadierki. Pociąg pociągnął ją ze sobą aż do zwrotnicy. Odnalazłyśmy ją martwą, zmasakrowaną, na wpół zasypaną śniegiem.

Największy mróz, jaki przeżyłam na Workucie, to –70 st. C. Nosy miałyśmy odmrożone, policzki zakrywałyśmy wszystkim, czym się dało. Twarze smarowałyśmy jakąś tłustą mazią.

Droga donikąd

Latem oczywiście również pracowaliśmy. I była to praca niewiele lżejsza niż zimą. Choćby budowa drogi przez Ural. Sowieccy inżynierowie – z charakterystyczną dla nich pogardą dla zdrowego rozsądku – wymyślili sobie, że pociągną ją przez mokradła.

To była jakaś upiorna kraina. Mętna, błotnista i bulgocząca woda sięgała po horyzont, tylko co pewien czas wystawały z niej kępy traw. Aby nie zatonąć w mule, należało przemieszczać się po niewielkich suchych wysepkach.

Nasza praca polegała na tym, żeby zasypywać tę wodę żwirem i kamieniami. Było tam tak głęboko i grząsko, że na każdy metr kwadratowy trzeba było zwalić całe tony budulca. Oczywiście ręcznie, jak za czasów starożytnego Egiptu. Żadnego nowoczesnego sprzętu nie mieliśmy. Tylko łopaty, kilofy i taczki.

Na taki zasypany kawałek gruntu kładło się cienkie szyny i po nich jechały wagoniki z kamieniami i żwirem, żeby zasypać dalsze odcinki mokradła. Kiedy teren robił się już twardszy, w miejsce cienkich torów kładło się normalne, solidne szyny.

Jechały po nich olbrzymie platformy wyładowane dużymi głazami. Więźniowie gułagu, a wśród nich ja, musieli zwalać te głazy na ziemię. Dzienna norma – jedna platforma. Wszystko w upale, bez wody, z chmarami komarów gryzących wściekle wszystkie wystające miejsca ciała. Najgorsze były jednak muszki. Rozgryzały nam spojówki i strużki krwi płynęły powoli po policzkach.

Gdy skończyliśmy budować drogę, Sowieci otworzyli ją z wielką pompą. Jako dowód na to, jak nowoczesna i wspaniała jest „ojczyzna światowego proletariatu", która potrafi okiełznać przyrodę, dokonać niemożliwego. Według oficjalnej wersji drogę zbudowali niesieni komunistycznym zapałem komsomolcy.

Co ciekawe droga ostatecznie okazała się niezdatna do użytku. Nikomu nie była potrzebna, porzucono ją, mimo że w trakcie budowy z wycieńczenia zginęły tysiące łagierników. Miejscowi nazwali ją później „drogą donikąd".

W ten sposób wyglądały wszystkie lata spędzone w łagrze. Dekada wypełniona bezmiarem cierpienia. W końcu zaczął zbliżać się rok 1955, a wraz z nim koniec mojego 10-letniego wyroku. Było to już po śmierci Stalina.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment opowieści pani Stefanii Szantyr-Powolnej pochodzi z książki Anny Herbich „Dziewczyny z Syberii" (Znak).

eprasa.pl 0d139574de

NAJWIĘKSZE LEGENDY SPISANE SĄ KRWIĄ

JACEK KOMUDA

ZAWISZA

CZARNE KRZYŻE

NAJSŁYNNIEJSZY POLSKI RYCERZ,
KTÓREGO IMIĘ ŻYJE DO DZIŚ:
ZAWISZA CZARNY.

CZŁOWIEK, KTÓREGO SŁOWO
ZNACZYŁO WIĘCEJ NIŻ PRAWO.

TEN, KTÓRY ZA NAJWIERNIEJSZEGO
GIERMKA WZIĄŁ SYNA POKONANEGO
WROGA. STAWAŁ DO WALKI TAM,
GDZIE NIKT JUŻ NIE MIAŁ ODWAGI.
A LUDZIE SZLI ZA NIM, W OGIEŃ.
PO ŚMIERĆ ALBO PO ZWYCIĘSTWO,
ALE ZAWSZE ZA NIM.

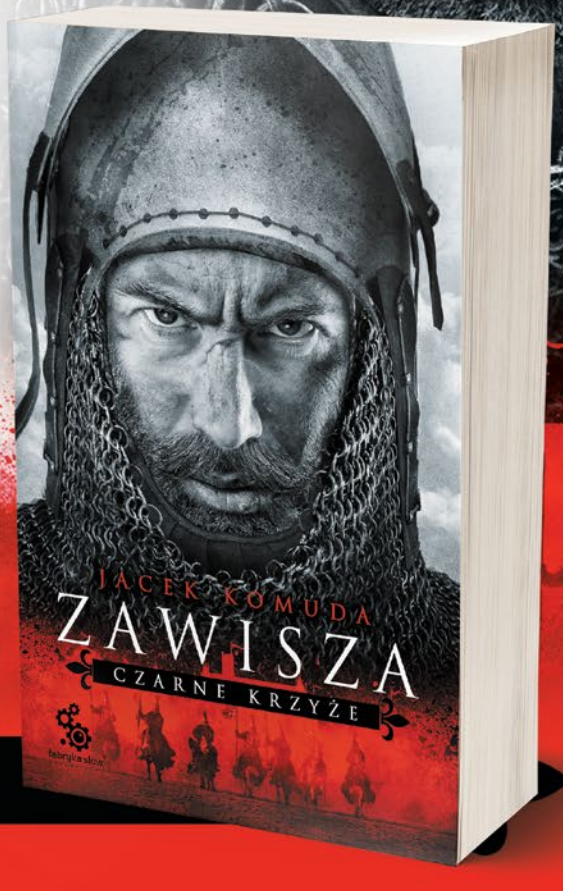

PREMIERA KSIĄŻKI 14.04.2021

Patroni medialni

DO RZECZY · HISTORIA · HISTMAG.ORG · HISTORIA.ORG.PL · granice.pl · LUBIĘ CZYTAĆ · opętani czytaniem · HISTORYKON.PL · FANBOOK

eprasa.pl 0d139574de

1944–1956 / Łagry w Jełszance, Kutaisi, Borowiczach, Diagilewie

Oficerowie Armii Krajowej w łagrze w Diagilewie

FOT. MUZEUM AK OKRĘGU WILNO „WIANO"

Niewolnicy z Armii Krajowej

Tomasz Stańczyk

Od lata 1944 r. NKWD wyłapywało żołnierzy AK na Kresach Wschodnich i w tzw. Polsce Lubelskiej. Trafiali do obozów, by „odpracować" swoje „winy"

Jedno z najbardziej znanych zdjęć z operacji „Ostra Brama" przedstawia partyzantów Armii Krajowej i żołnierzy Armii Czerwonej podczas wspólnego patrolu po zdobyciu Wilna w lipcu 1944 r. Pułkownikowi Aleksandrowi Krzyżanowskiemu „Wilkowi", dowódcy oddziałów wileńskiego i nowogródzkiego okręgu AK biorących udział w operacji „Ostra Brama", wydawało się, że braterstwo broni, zawarte podczas walk o Wilno, będzie kontynuowane, a czasy, gdy Sowieci zwalczali oddziały Armii Krajowej na Kresach Wschodnich, należą już do przeszłości.

Walki o Wilno były jednak chwilową przerwą w akcji likwidacji partyzantki AK, rozpoczętej w 1943 r. wymordowaniem kadry oddziału „Kmicica" i kontynuowanej atakami sowieckich partyzantów na inne polskie oddziały. Po zdobyciu Wilna Sowieci łudzili „Wilka", że pozwolą na stworzenie z żołnierzy AK regularnych oddziałów wojskowych. Gdy jednak płk Krzyżanowski przybył do sztabu gen. Iwana Czerniachowskiego, na jego zaproszenie, i chciał przestawić przebieg przygotowań do formowania polskiej dywizji, został aresztowany. Tymczasem w Boguszach oficerowie, którzy zebrali się na odprawę i czekali na przyjazd „Wilka" i Czerniachowskiego, zostali otoczeni i rozbrojeni. Trafili do obozu w Riazaniu oraz Diagilewie.

Rozbrojeni żołnierze AK, ok. 4 tys., zostali skoncentrowani w obozie przejściowym w Miednikach Królewskich, skąd przewieziono ich do obozu w Kałudze. Ponieważ Sowieci traktowali Polaków zamieszkałych na Kresach Wschodnich, anektowanych w 1939 r. do Związku Sowieckiego, jako obywateli swojego państwa, bez ceremonii wcielili akowców do Armii Czerwonej, tworząc z nich rezerwowy pułk piechoty. Żołnierze AK zbuntowali się jednak i odmówili złożenia przysięgi. Jednostkę rozwiązano, a AK-owców wysłano do wyrębu lasów. „Wyżywienie było zgodnie z obwiązującymi normami wojskowymi, ale – jak wynika z relacji – niewspółmierne do wykonywanej pracy" (I. Caban, „Polacy internowani w ZSRR w latach 1944–1947"). Co więcej, posiłek wydawano po powrocie z pracy, trwającej wskutek podwyższenia norm 10 godzin. Większość akowców została zwolniona w 1946 r., jednak część, uznanych za wrogów Związku Sowieckiego, zatrzymano i wysłano do innych w obozów.

Akcja wyłapywania przez NKWD żołnierzy AK, jej sympatyków i innych osób zaangażowanych w niepodległościową konspirację na kresach północno-wschodnich oraz terenach tzw. Polski

eprasa.pl 0d139574de

Lubelskiej, opanowanych przez Armię Czerwoną, trwała od lata 1944 r. Byli więzieni m.in. w Wilnie, Białymstoku oraz Lublinie i wywożeni do obozów w Związku Sowieckim. Na terenach na zachód od linii, od której miała się teraz zaczynać Polska, czyli na Podlasiu i Lubelszczyźnie, NKWD działało na podstawie porozumienia zawartego przez władze sowieckie z marionetkowym Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, w myśl którego NKWD-ziści mogli aresztować Polaków w „pasie przyfrontowym".

Kasetka wykonana w łagrze w Borowiczach przez Karola Langego (Władysława Sikorę)

FOT. ZBIORY MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

„Katusznicy" w Jełszance

Żołnierze AK oraz inni Polacy z Wileńszczyzny, oskarżani o działalność „kontrrewolucyjną", trafili najpierw do obozu w Jełszance koło Saratowa. Wyżywienie było fatalne, osadzeni głodowali, radzili sobie, żywiąc się nawet odpadkami. Byli to tzw. katusznicy. Jeden z więźniów wspominał: „Katusznik (kotuch po wileńsku znaczy śmietnik) wybierał ze śmietników i latryn (!) obrzydliwe odpadki, gnijące liście kapuściane, obierki, niestrawione ziarna grochu, które po obmyciu zjadał" (za: D. Rogut, „Obozy sowieckie dla internowanych Polaków z Wileńszczyzny").

Nic dziwnego, że w takich warunkach szerzyła się krwawa biegunka, czyli dyzenteria. Z braku lekarstw radzono sobie, upalając skromne racje chleba na węgiel, i jedząc tak przygotowany specyfik. Fatalnie żywieni więźniowie musieli ciężko pracować, ponad siły, nawet po 10–12 godzin, przy kopaniu rowów pod gazociąg w ciężkiej, gliniastej glebie i przy wyrębie lasu. Ci, którzy trafili do lasu, mieli szansę pożywić się nieco runem leśnym lub złowionymi w strumieniach rybami.

Obóz w Jełszance miał także charakter obozu filtracyjnego. Więźniowie byli przesłuchiwani na okoliczność członkostwa w Armii Krajowej i udziału konspiracji podczas okupacji niemieckiej. Od lata 1945 r. zwalniano osoby chore, a także te, którym nie udowodniono działalności „kontrrewolucyjnej". Jak ocenia historyk Dariusz Rogut, do obozu wywieziono z Wilna ponad 7,4 tys. obywateli polskich, ok. 100–200 zmarło.

Strajk w Kutaisi

Jesienią 1945 r. wywieziono Polaków z Jełszanki do obozu pracy w Kutaisi w Gruzji. Był to obóz wielonarodowy, Polacy stanowili ok. 20 proc. osadzonych. Celem sowieckiej polityki wobec więźniów było nie tylko represjonowanie za rzeczywistą lub rzekomą działalność, ocenianą jako skierowaną przeciw państwu sowieckiemu, lecz także wykorzystanie niewolniczej, darmowej pracy. Polacy w Kutaisi pracowali m.in. przy budowie fabryki samochodów, której wyposażenie przewieziono z Niemiec, z zakładów Opla, w kamieniołomach i cegielniach.

Także i w Kutaisi wyżywienie było fatalne. W efekcie część więźniów wyzbywała się hamulców moralnych. Jeden z Polaków wspominał, że niektórzy „przekształcali się w hieny ludzkie", kradną współtowarzyszom chleb. Inni starali się zdobywać żywność na własną rękę, łapiąc m.in. żaby. „Po ugotowaniu ich udek otrzymywano ponoć całkiem dobry rosół i również smaczne mięso". Polowano na szczury, a jeden z polskich więźniów uczynił z tego zarobek, łowił zwierzęta, zabijał, gotował. „Sam nie jadł, sprzedawał. Jeden szczur – jedna pajdka chleba lub pieniądze" (D. Rogut, dz. cyt.).

Niektórzy więźniowie podejmowali bardzo ryzykowną strategię głodzenia się, sprzedawali przydziałową żywność, by się doprowadzić do stanu dystrofii i trafić do szpitala, uzyskać zwolnienie z pracy albo z obozu. Strategia ta prowadziła jednak nierzadko do śmierci. Sanitariuszka V Brygady Wileńskiej AK Ryta Terlecka-Celeszczyn wspominała, że jedzono także mydło, by zachorować na dyzenterię.

Grupą szczególnie wrażliwą na warunki obozowe byli Polacy ze wsi na Wileńszczyźnie. Jak stwierdzał Dariusz Rogut, szybko się załamywali i w związku z tym częściej umierali. Umierali jednak także dlatego, że starali się przekraczać normy i zapewnić sobie dodatkową żywność. I ta strategia była zawodna, gdyż prowadziła mimo dodatkowych kalorii do wycieńczenia organizmu, a to powodowało większe ryzyko śmierci. Ryszard Gulbinowicz, żołnierz VI Brygady „Narocz", wybrał inny sposób postępowania. Stwierdził, że praca dla dodatkowego chleba jest zbyt wyczerpująca i w efekcie wyniszcza, więc nigdy nie starał się przekroczyć normy.

Zmarłych chowano poza terenem obozu. Ryta Terlecka-Celeszczyn wspominała: „Wiadomo było od Gruzinów, że te ich ciała szakale zjadały. I po nocach te szakale wyły, a to słychać tak, jak płacz dziecka. »O, to już będą miały co jeść« – mówiono" („Przeżyliśmy łagry. Wspomnienia żołnierzy okręgu wileńskiego AK 1945–1949").

Tragiczne warunki, ale może przede wszystkim zwodzenie Polaków, że lada chwila będą zwolnieni – a mijał już drugi rok ich uwięzienia w obozach – spowodowały wybuch strajku. Na spotkaniu z politrukiem spytano, czy są zatrzymywani ze względu na pracę, jaką wykonują. Odpowiedział, że nie. Wtedy usłyszał: „To my na robotę więcej nie pójdziemy!". Oświadczono mu, że skończyła się praca za darmo, że Polacy chcą wrócić do domów. Były „rozmaite obietnice podwyżki, ograniczenia czasu pracy. Namawiano nas przez cały czas do podjęcia pracy, nie było żadnych represji. Sami Rosjanie byli zdziwieni tym, co się stało. Oni normalnie wychodzili do pracy, my nie" („Przeżyliśmy łagry...", dz. cyt.).

Polacy bowiem walczyli nie o lepsze warunki, lecz o zwolnienie, trwało to sześć tygodni. Zamiast zwolnienia wysłano ich do obozów w Astrachaniu, Stalingradzie i Borowiczach.

eprasa.pl 0d139574de

Na początku 1948 r. rozpoczęto zwalnianie Polaków, ale dość opieszale. Nic w tym dziwnego, komendantura obozu niechętnie wyzbywała się darmowych pracowników.

Z „Polski Lubelskiej" do łagrów

Latem 1944 r. rozpoczęły się aresztowania żołnierzy AK na Lubelszczyźnie. Do stycznia 1945 r. uwięzionych zostało ok. 4 tys. AK-owców i żołnierzy Batalionów Chłopskich, będących w strukturach AK. Oficerowie zostali wysłani do obozu w Riazaniu, szeregowcy m.in. do zespołu obozów na wschód od Nowogrodu Wielkiego – w Borowiczach i okolicy. W kilku transportach trafiło tam przeszło 5,7 tys. Polaków, zmarło ok. 650, choć są też szacunki ponad dwukrotnie większe (I. Caban, dz. cyt.).

O stosunku władz obozowych w Borowiczach do Polaków świadczył fakt, że wyznaczyły więźniów – Niemców – na stanowiska funkcyjnych. Mieli nadzorować pracę Polaków. Józef Kucharski, żołnierz AK, wspominał: „Tylko na skutek naszego jednoznacznego oporu (odmowa pójścia do pracy) czy starć z Niemcami zamiarów tych zaniechano ze strony władz obozowych" („Losy »Borowiczan«"). Ostatecznie Niemców wywieziono z obozu. Polacy protestowali także przeciwko temu, że wydawano im obozowe ubrania z literami WP (wojennoplennyj – jeniec); zmieniono je na literę I (internowany).

W kompleksie obozów w Borowiczach więźniowie pracowali m.in. przy budowie kopalni, drążyli chodniki i podstemplowywali je. „To była prawdziwa katorga – wspominał Bogusław Kić, podchorąży AK. – Wysokość chodnika ok. półtora metra, a więc nie można było się wyprostować. Kilofy, łopaty bardzo ciężkie jak dla wynędzniałych, osłabionych ludzi. Do tego wszystkiego woda, która się na grzbiet lała, nie mówiąc już o nogach pogrążonych w błocie. Można sobie wyobrazić uciążliwość tej pracy oraz męki wychodzenia z kopalni na zewnątrz po ośmiogodzinnej pracy. Pojedynczo po szczeblach, z największym wysiłkiem pięliśmy się ku górze" („Losy »Borowiczan«"). Na wiosnę w obozie, którego więźniowie pracowali w kopalniach, wybuchła epidemia czerwonki i biegunki, w kwietniu i marcu umierało dziennie od kilku do kilkudziesięciu osób.

Pułkownik Kazimierz Tumidajski, zmarły w łagrze

FOT. WIKIPEDIA

Transporty z Białegostoku kierowane były do obozu w Ostaszkowie, tej samej miejscowości, w której od jesieni 1939 r. do wiosny 1940 r. NKWD więziło polskich policjantów, żandarmów, żołnierzy KOP, pracowników służby więziennej. 6,3 tys. zostało rozstrzelanych. Jesienią 1944 r. do obozu trafiło ok. 3 tys. Polaków, w większości żołnierzy AK, lecz „duży procent stanowili ludzie internowani niemający nic wspólnego z działalnością konspiracyjną, aresztowani przypadkowo" (I. Caban, dz. cyt.).

Głodówka w Diagilewie

Do obozu w Diagilewie pod Riazaniem trafili oficerowie AK z Wileńszczyzny, Lubelszczyzny, Lwowszczyzny, było ich ok. 500 na 1,5 tys. osadzonych. Więziono tam m.in. płk. Aleksandra Krzyżanowskiego, komendanta okręgu wileńskiego; płk. Kazimierza Tumidajskiego, komendanta okręgu lubelskiego; płk. Władysława Filipkowskiego, komendanta okręgu lwowskiego. Oficerowie w Diagilewie nie pracowali fizycznie i mieli lepsze warunki niż w innych obozach. Komendantura obozu pozwoliła na prowadzenie kursów samokształceniowych, chóru, zespołu teatralnego, odczytów, turniejów szachowych i brydżowych.

Odbywały się nawet msze święte odprawiane przez więzionych kapelanów wojskowych (I. Caban, dz. cyt.). W trzecim roku uwięzienia, w czerwcu 1947 r., osadzeni w Diagilewie rozpoczęli głodówkę, domagając się zwolnienia, i niemal wszyscy do niej przystąpili. „Kuchnie obozowe celowo przygotowały lepsze wyżywienie, ale pokusie uległo zaledwie 60 więźniów. Zachorowali jednak z przejedzenia i w parę godzin później odwieziono ich do szpitala, w którym kilku umarło (T. Żenczykowski, „Polska Lubelska 1944").

Specjalna ekipa z Moskwy przyjechała do obozu, aby na siłę sztucznie odżywiać głodujących, którzy stawiali przy tej czynności opór. Kilku wyższych oficerów wywiezionych zostało do szpitala więziennego w Skopine i tam zaczęto ich przymusowo odżywiać. Zmarł wówczas podczas takiego zabiegu płk. Kazimierz Tumidajski. Oficjalnie z powodu paraliżu serca, faktycznie najpewniej podczas nieudanego wprowadzenia sondy, którą podawano płynne jedzenia. Trafiła do tchawicy, a płyn zalał płuca, powodując śmierć.

Żołnierze AK trafiali także do obozów za Uralem i pracowali tam przy wyrębie lasów oraz w kopalniach węgla, m.in. w Ałtynuju, Nagornej i Połowince. W ostatnim z tych obozów dzienne wyżywienie składało się z 600 g chleba i wydawanej trzy razy dziennie zupy, a więźniowie przekraczający normę mogli liczyć na dodatkowe 400 g chleba i 100 g kaszy. Normę trzeba było wykonać i „na początku osoby niewykonujące normy pozostawiano na kolejną zmianę. Po zdecydowanym proteście internowanych odstąpiono od tego, karząc je jedynie zmniejszonym przydziałem chleba" (I. Caban, dz. cyt.).

Zwolnienia z obozów odbywały się zasadniczo od stycznia 1946 r. do jesieni 1947 r., choć byli i tacy więźniowie łagrów, którzy przyjechali do Polski kilka lat później. Roman Bar był w grupie zwolnionych z Borowicz w lutym 1946 r. Uraczono ich na odjezdnym przemową, że po odpracowaniu (właśnie tak, nie po odpokutowaniu) swoich win mogą wrócić do kraju, do swoich domów. Padło pytanie: „Jak wam było w Związku Sowieckim?". Wszyscy zgodnie wrzasnęli: „Dobrze!". Bar wspominał: „Byliśmy gotowi na wszystkie łgarstwa, by wydostać się z tego zakłamanego raju, z tego dławiącego systemu, tej nędzy, poniewierki i dna ludzkiej egzystencji" („Losy »Borowiczan«").

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACEK KOMUDA „ZAWISZA. CZARNE KRZYŻE"

NAJWIĘKSZE LEGENDY SPISANE SĄ KRWIĄ.

Najsłynniejszy polski rycerz, którego imię żyje do dziś: Zawisza Czarny. Człowiek, którego słowo znaczyło więcej niż prawo. Ten, który za najwierniejszego giermka wziął syna pokonanego wroga. Stawał do walki tam, gdzie nikt już nie miał odwagi walczyć. A ludzie szli za nim, w ogień, pod deszcz strzał i bezlitosne ostrza. Po śmierć albopo zwycięstwo, ale zawsze za nim.

Dla sługi, któremu dał słowo, sam zdobył oblężony zamek. Dla brata, wziętego do krzyżackiej niewoli, spali świat.

Historia wyjątkowego człowieka spisana ze swadą właściwą prozie Jacka Komudy, dbałość o szczegóły i realia historyczne, która zapewni rozrywkę na najwyższym poziomie i wielbicielom średniowiecznej historii i czytelnikom ceniącym przede wszystkim żywą, trafiającą w serce opowieść.

93 zł
oszczędność 59 zł

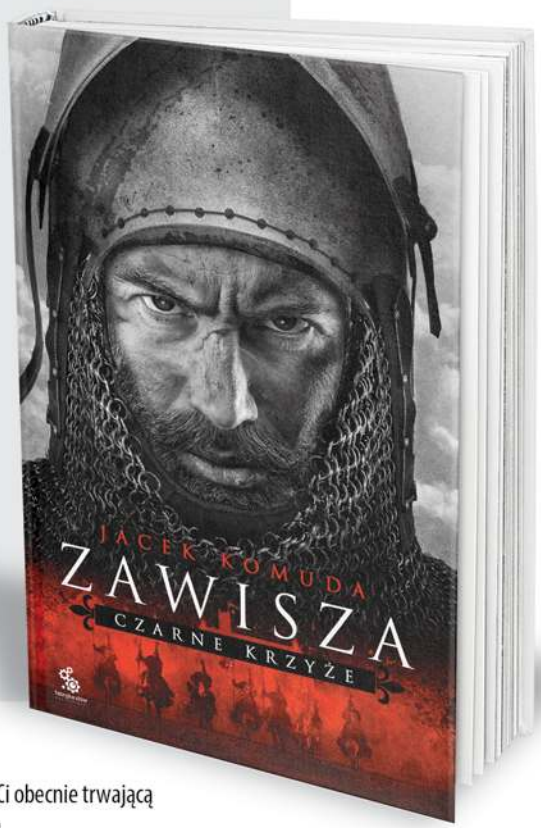

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0d139574de

Jakub Ostromęcki

Czołgi miażdżyły wszystkich, na gankach baraków gniotły stojących tam ludzi, na ścianach baraków rozgniatały szukających ratunku przed gąsienicami...

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1942 i 1954 / W Komi i Kazachstanie przed śmiercią Stalina i po niej

Bunty w łagrach

Niemcy, faszyści atakują Ust-Usę!" – ryknął komendant Poliakow. Żołnierze wojsk NKWD z łagru Pola-Kuria stali jak wryci, słysząc rozkaz swojego dowódcy. W ciągu kilku chwil wyruszyli pieszo ku nieodległej wsi wzorem wojów Aleksandra Newskiego, by odpierać atak zakutych w stal germańskich watah.

Był 24 stycznia 1942 r. Sam środek lasotundry w sowieckiej republice Komi. Najbliższy Niemiec znajdował się wówczas prawie 2000 km na południowy zachód. Za daleko nawet na dokonanie desantu powietrznego. Tego jednak obróceni w sołdaty ledwo piśmienni mużycy nie mogli wiedzieć. Mały oddział nie szedł na Niemców, ale na łagierników, którzy doprowadzeni do rozpaczy wszczęli powstanie przeciwko swoim oprawcom.

Powstanie w Ust-Usie

W pierwszych 20 latach istnienia łagrów zdarzały się ucieczki. Nigdy jednak do tej pory więźniowie nie zdecydowali się na zbrojne powstanie czy masową ucieczkę. Jego przywódcą został Mark Rietiunin. Postać barwna. Niegdyś więzień odsiadujący wyrok za napad na bank, potem pracownik wolnonajemny i w końcu, co w historii GUŁagu zdarzało się kilka razy – komendant obozu o nazwie Lesoried. Odważny, ale i nieco arogancki sybaryta.

Na przełomie lat 1941 i 1942 Rietiunin zaczął konkludować: jeśli Niemcy parliby dalej na wschód, to NKWD zacznie mordować wszystkich więźniów łagrów. Mógł wszak opierać się na rozmowach z Polakami więzionymi w Workucie, którzy przetrwali „czyszczenie" więzień w lecie 1941 r., gdy Niemcy zajmowali okupowane przez Sowiety kresy Rzeczpospolitej. Rietiunin stwierdził zatem, że ubiegnie oprawców, zorganizuje bunt, który rozszerzy się na cały rejon Workuty i wyzwoli więźniów, którzy poukrywają się potem wśród głuszy. Nadzorca zaplanował powstanie na styczeń 1942 r. Był to środek srogiej jak zwykle zimy, ale łatwiej było się wówczas przemieszczać, ponieważ od czerwca okoliczna lasotundra stawała się nieprzebytym bagnem.

24 stycznia, w sobotę, jeden z zaufanych Rietiunina, Chińczyk Lu Fa, zatrzasnął strażników w łaźni. Reszta NKWD-zistów, kompletnie zaskoczona i otoczona nagle przez tłum więźniów, została rozbrojona w ciągu kilku sekund. Łagiernicy zdobyli 12 karabinów. Zrzucili swoje szmaty, przebrali w porządne, zdobyczne płaszcze i walonki i tak wyekwipowani ruszyli w ponad setkę do pobliskiej wsi Ust-Usa.

Tamtejsi milicjanci myśleli początkowo, że do wsi zbliża się grupa robotników ze skończonej zmiany. Gdy z bliska

eprasa.pl 0d139574de

zobaczyli ku swojemu przerażeniu, z kim mają do czynienia, było już za późno. Ludzie Rietunina zdobyli pocztę, więzienie i natychmiast przerwali łączność z resztą kraju. W tym ataku zginęło sporo powstańców, jednak ich szeregi zasilili uwolnieni więźniowie. Reszta milicjantów zdążyła jednak zabarykadować się w komendzie i w budynkach lotniska. Kilku zdołało się wyrwać konno do Pola-Kurii i stamtąd ruszyły właśnie posiłki przekonane o tym, iż żołnierze germańscy są tuż-tuż. Najgorsze jednak, że milicjanci w Ust-Usie mieli jeszcze jedną ukrytą radiostację i tak zawiadomili cały region o powstaniu.

Nieświadomi łagiernicy ruszyli tymczasem na południe wzdłuż rzeki Peczora, chcąc wyzwolić więźniów z oddalonego o ok. 150 km miasta Kożwa. Nigdy tam nie dotarli. 25 stycznia zdobyli jeszcze wieś Akis, zaś następnego dnia Ust-Łyża. Powstańcy zachowali się tutaj z prawdziwą klasą. W sklepie, w którym dokonano rekwizycji, jeden z dowódców oddziału, niejaki Makiejew, zostawił specjalne pokwitowanie, mówiące, iż zabór miał miejsce na potrzeby „Oddziału specjalnego przeznaczenia nr 41". 28 stycznia powstańczy oddział – wiedząc, iż z południa zdąża już NKWD – odbił daleko na zachód wzdłuż rzeki Łyża. Gdzieś w tajdze, w pobliżu farmy reniferów doszło do potyczki z NKWD-zistami. Resortowi bili się nadzwyczaj słabo, plutony ostrzeliwały się nawzajem, żołnierze nie mieli odpowiednich butów, toteż wielu z nich odmroziło sobie stopy po długim marszu. Tylko dzięki temu kilku powstańcom udało się wyrwać jeszcze do samotnego szałasu, gdzie ostatecznie zostali otoczeni 29 stycznia.

Rietunin popełnił samobójstwo. Ci, którzy przeżyli, zostali skazani na śmierć lub też przedłużono im wyroki.

40 dni Kengiru

Minęło 12 lat od powstania w Ust-Usie. Po śmierci Stalina więźniowie zaczęli coraz głośniej domagać się polepszenia warunków życia. Po drugiej wojnie światowej za drutami zaroiło się od Bałtów, Polaków i Ukraińców skazanych za „działalność antyradziecką". Nie byli to już przerażeni kołchoźnicy czy zwykli obywatele, którzy opowiedzieli w pracy jeden dowcip za dużo, ale zaprawieni w walkach i konspiracji żołnierze oraz partyzanci. Nie bali się urków. Nowi więźniowie łączyli się w „klany" narodowościowe, których członkowie wspierali się nawzajem. Rosyjscy „polityczni" nigdy nie osiągnęli takiego stopnia współdziałania – czy chodziło o zwykłe przetrwanie, wyłapywanie konfidentów, czy też planowanie strajku czy buntu.

Podobóz nr 3, położony w pobliżu kazachskiej wsi Kengir, był filią obozu specjalnego nr 4, który w sowieckiej terminologii ochrzczono mianem „Stiepłagu" – obozu stepowego. Siedzieli tu w zdecydowanej większości polityczni, i to bardzo zatwardziali. Pod koniec 1952 r. na ok. 20 tys. więźniów połowę stanowili Ukraińcy, wielu było też Litwinów i Łotyszy. Rosjanie stanowili jedynie jedną ósmą osadzonych. Jak podaje Dariusz Rogut, więziono tu też 421 Polaków, członków „polskiej nacjonalistycznej organizacji kontrrewolucyjnej".

Komendanci owego obozu nie radzili sobie z buntowniczymi nastrojami. Co gorsza, politbiuro zdecydowało wówczas o poważnym obcięciu pensji funkcjonariuszom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MWD). W dół poleciały przeróżne dodatki za pracę w ciężkich warunkach. Według Sołżenicyna przestraszeni tą perspektywą funkcjonariusze zapragnęli wykazać, iż są niezbędni i powinni być jednak dobrze opłacani. Chcieli zatem sprowokować bunt w kilku łagrach i zaraz potem przykładnie go stłumić.

W Kengirze komendant Bielajew, z powodu niezbyt przystojnej fizys zwany przez więźniów Brodawką, zaczął poczynać sobie wyjątkowo wrednie. Zastrzelono więźniarkę, która wywieszała pranie zbyt blisko drutu kolczastego. Wartownicy rzucali z wież cenne przedmioty – amunicję czy machorkę. Gdy więźniowie schylali się po nie, byli natychmiast zabijani. Największą wściekłość zeków wywołało jednak zamordowanie więźnia, który miał raptem kilka miesięcy odsiadki. Wartownik zastrzelił go, gdyż ten oddalił się za potrzebą zbyt daleko (czyli kilka metrów) od swojego miejsca pracy. Brodawka kazał potem tak układać ciała, aby wykazać „komisji śledczej", iż więźniowie zastrzeleni zostali podczas próby ucieczki.

Więźniowie zastrajkowali. Tym razem jednak, o dziwo, MWD nie strzelało – po prostu wyrzucano siłą ludzi pojedynczo z baraków do pracy. Ową zmianę zachowania siepaczy celnie i z dozą czarnego humoru skwitował Sołżenicyn: „Kto przesadził w gorliwości i kazał strzelać do tłumu, ten mógł łatwo być uznany za pachołka Berii. Kto jednak za mało się starał i z całą energią nie zmusił ludzi do pracy, ten również mógł okazać się jego pachołkiem". Komendanci doszli zatem do wniosku, że przyda się chwila odprężenia. W obozowym magazynie polepszono zaopatrzenie w żywność, a tymczasem skrycie planowano ostateczne rozprawienie się ze krnąbrnym elementem.

Do Kengiru zaczęto zwozić kryminalistów, którzy sami mieli zaprowadzić porządek wśród politycznych, wzorem starych dobrych lat 30. i 40. Ku wściekłości funkcjonariuszy nic z tego nie wyszło. Był to pewien fenomen na skalę całego systemu, ale w Kengirze kryminalni bądź to ulegli banderowcom, bądź też zaimponowała im ich nieprzejednana postawa. Sołżenicyn beletryzuje wypowiedź jed-

Litewscy więźniowie polityczni w Kengirze FOT. THEREADERWIKI.COM

eprasa.pl 0d139574de

Relikty magistrali transpolarnej FOT. COMINTERN/WIKIPEDIA

nego z Ukraińców z głęboko zakonspirowanego „centrum" skierowaną do urków podczas swoistych negocjacji: „Potrafimy już teraz robić noże nie gorzej niż wy. Jest was 600, a nas 2600. Możecie pomyśleć chwilę i wybierać. Jeśli będziecie przypierać, to was wyrżniemy". Urkowie nie mieli wyboru. Poszli więc na układ z politycznymi, z „faszystami".

Sołżenicyn konkludował: „A ponieważ inspiratorów i podżegaczy – jeśli są z pięćdziesiątki ósemki [numer artykułu z sowieckiego kodeksu karnego inkryminujący działalność kontrrewolucyjną – przyp. J.O.], wiesza się potem na konopnym stryku, jeśli zaś są złodziejami, tylko beszta trochę przy szkoleniu ideologicznym, więc złodzieje zaproponowali: my zrobimy początek, a wy nas poprzecie". Tak się stało. W niedzielę 16 maja 1954 r. kryminalni, gwiżdżąc przeraźliwie, wywalili za pomocą szyny kolejowej wrota do strefy kobiecej. Intencje mieli jednak całkowicie czyste. Chodziło wszak o połączenie wszystkich stref podobozu w jedną silniejszą i zgraną całość. Jak zaznacza Sołżenicyn: „Z pożądliwych zdobywców przekształcili się od razu w towarzyszy niedoli. Kobiety ich poukrywały".

Tym razem MWD użyło broni, strzelając z tzw. zony gospodarczej. Byli zabici i ranni. Po kilku godzinach oprawcy wycofali się jednak z obozu, co łagiernikom dało powód do nieuzasadnianego, jak się zaraz okaże, optymizmu. Na razie jednak wybrano komitet strajkowy, nad którym kontrolę sprawowało wciąż głęboko zakonspirowane „centrum" złożone głównie z byłych banderowców. Więźniowie wiedzieli dokładnie, że swój radykalny antykomunizm muszą schować głęboko na dnie duszy i w rozmowach z władzą żądać głównie polepszenia warunków bytowania tudzież ukarania sprawców mordów z ostatnich kilku miesięcy. Nie powinny nas zatem zdziwić hasła strajkujących powołujące się na komunistyczną konstytucję, wzywające do lojalności wobec partii czy potępiające przyczajonych tu i ówdzie „pachołków" skończonego już przecież Berii.

17 maja w Kengirze pojawiła się „góra": Wiktor Boczkow z MWD i prokurator Wawiłow. Po kilku tygodniach przylecieli jeszcze ważniejsi oficjele: szef całego GUŁagu Iwan Dołgich i wiceminister MWD Siergiej Jegorow. Sprawa była poważna. Oficjele zgodzili się na większość postulatów. Udobruchani tym strajkujący 18 maja wrócili do pracy. Pod ich nieobecność żołnierze odbudowali jednak zniszczone mury rozdzielające strefy obozu, poustawiali jeszcze solidniejsze zasieki i rozstawili dodatkowe gniazda ckm. Wracający z pracy więźniowie uznali to za złamanie warunków porozumienia z poprzedniego dnia i bunt wybuchł na nowo.

MWD nie doceniło pomysłowości i determinacji zeków, którzy w jedną noc pod murami i wieżami strzelniczymi wykopali korytarze, używając do tego jedynie sprzętów kuchennych. Robotę ułatwił im pochwycony oficer zaopatrzenia, który przywiązany do blatu stołu służył zekom za żywą tarczę. Do 24 maja więźniowie wypędzili z obozu wszystkich strażników. Owo zwycięstwo było spowodowane trzema czynnikami: MWD było zaskoczone tym, że kryminalista podał sobie rękę z politycznym, straży było zbyt mało, aby utrzymać w ryzach tyle tysięcy zbuntowanych więźniów, zaś dowódcy wciąż się zastanawiali, za co mogą być zdegradowani – za utopienie buntu we krwi czy też za okazanie łagodności wobec „faszystów".

Przez następne 40 dni obóz stał się państwem w państwie. Komitet dbał o sprawiedliwy podział racji żywnościowych. W warsztatach powstawały prowizoryczne piki, kiścienie, szable i berdysze. Dwa dni udawało się kraść prąd z sieci zewnętrznej, po czym inżynierowi łagiernicy zbudowali generator napędzany… wodą z kranu oraz radio. Balony i latawce z przyczepionymi krótkimi transparentami informowały okolicznych chłopów i pastuchów o tym, co naprawdę stało się w Kengirze. Przez kilka tygodni wokół łagru trwała zatem groteskowa wojna między „operatorami" owych statków powietrznych, a rozmieszczonym już na stepie wojskiem, które próbowało je zestrzeliwać. Odbywały się śluby i nabożeństwa przeróżnych wyznań, nie było grabieży, gwałtów, pijaństwa, na co tak liczyli prowokatorzy z MWD. Sołżenicyn pisał: „Wszyscy świadczą zgodnie, że złodzieje zachowywali się jak ludzie, ale nie w tradycyjnym używanym przez nich znaczeniu tego słowa, tylko tak, jak my to rozumiemy. Z kolei także polityczni – a także same kobiety – odnosili się do nich z wyraźną życzliwością i okazywali im zaufanie. Jeśli kengirskie powstanie miało w sobie jakąś siłę, była to siła jedności".

W połowie czerwca MWD zdecydowało się w końcu na atak. Przez kilka dni wokół obozu w nocy hałasowały traktory, maskując ruch czołgów oraz rozlokowanie 410. Samodzielnego Pułku Wojsk Konwojowych. O świcie 25 czerwca nad obozem na bardzo niskim pułapie przeleciały odrzutowce, swoim hałasem paraliżując na chwilę obrońców. Snajperzy zabili zeków-obserwatorów na wieżyczkach. Do ataku ruszyły czołgi. Z nimi upojeni wódką piechociarze. Obrońcy próbowali lać wrzątek do luków czołgów, bronić się pikami, miotać opiłki szkła. Był to opór heroiczny, aczkolwiek beznadziejny.

„Czołgi miażdżyły wszystkich, którzy się napatoczyli (kijowiance Alle Presman czołg przejechał gąsienicą po brzuchu). Czołgi wjeżdżały na ganki baraków i gniotły stojących tam ludzi (tak zginęły Estonki – Ingrid Kiwi i Machlapa). Czołgi najeżdżały na ściany baraków, starając się rozgnieść tych, którzy czepiali się belek w poszukiwaniu ratunku przed gąsienicami. Siemion Rak w uścisku ze swoją dziewczyną rzucił się pod czołg – oboje zginęli [...]. Z armat strzelano ślepymi nabojami, ale z pepesz ostrymi, i bagnety też były ostre. Kobiety własnymi ciałami osłaniały mężczyzn – otóż również kobiety dźgano bagnetami" – pisał Suworow. Zginęło w ten sposób kilkudziesięciu zeków, a ponad 100 zostało rannych.

Po pacyfikacji więźniów podzielono na kilka grup. Członków komitetu stracono, za wyjątkiem Kuzniecowa, który poszedł na współpracę ze śledczymi i został ułaskawiony. Resztę rozwieziono po innych jeszcze surowszych obozach, gdzie mimo przedłużonych wyroków wielu z nich dożyło amnestii. Sowieci nigdy nie poznali jednak dokładnych personaliów zakonspirowanego ukraińskiego „centrum".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

eprasa.pl 0d13957ade

Druga wojna / Czarne karty obozu Sprzymierzonych

Marokańskie gwałty

Piotr Zychowicz

Po zdobyciu Monte Cassino doszło do erupcji przemocy seksualnej wobec kobiet. Sprawcami byli kolorowi żołnierze francuskiej armii

Jest maj 1944 r. Bitwa o Monte Cassino dobiegła końca. Wojska alianckie przebiły się przez linię Gustawa i maszerują na Rzym przez malownicze wsie i winnice Lacjum. W radosnym tłumie cywilów witających amerykańskich czołgistów znajdują się piękna Włoszka o imieniu Cesira i jej 15-letnia córka Rosetta. Są przekonane, że wojna dla nich już dobiegła końca.

Po przejściu Amerykanów Włoszki siadają na poboczu. Nagle na szosie pojawia się kilka jeepów. Na pojazdach łopoczą francuskie flagi, a w środku siedzą ogorzali żołnierze w fantazyjnych turbanach. Na widok Włoszek wydają dzikie wrzaski. Tupią i machają rękami.

– Co to za jedni? – pyta Cesira, gdy samochody znikają w pyle drogi.

Rosetta wzrusza ramionami i odpowiada: – Alianci.

Włoszki nie zdają sobie sprawy, że właśnie znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie...

Cesira i Rosetta postanawiają przenocować w opustoszałym kościele, poważnie uszkodzonym przez amerykańską bombę. Dziurawy dach, na posadzce wielki lej po eksplozji, posieczony odłamkami ołtarz. Obalona figura Matki Boskiej.

Nagle do świątyni wdzierają się żołnierze w turbanach. Jest ich kilkunastu. Z wyciem rzucają się na Włoszki. Przygważdżają Cesirę do ziemi i zdzierają z niej bieliznę. Oszalała ze strachu kobieta widzi nad sobą ich twarze wykrzywione w sadystycznych grymasach.

Ku swojemu przerażeniu dostrzega, że to samo robią z jej córką! Krzyczy z rozpaczy i desperacko próbuje się wyrwać oprawcom. Jeden z nich łapie ją jednak za włosy i kilkakrotnie tłucze jej głową o posadzkę. Cesira traci przytomność.

W tym czasie druga grupa żołnierzy zdziera ubranie z Rosetty. Pierwszy

eprasa.pl 0d139574de

Kadr z filmu „La Ciociara" („Matka i córka") FOT. MATERIAŁY PRASOWE

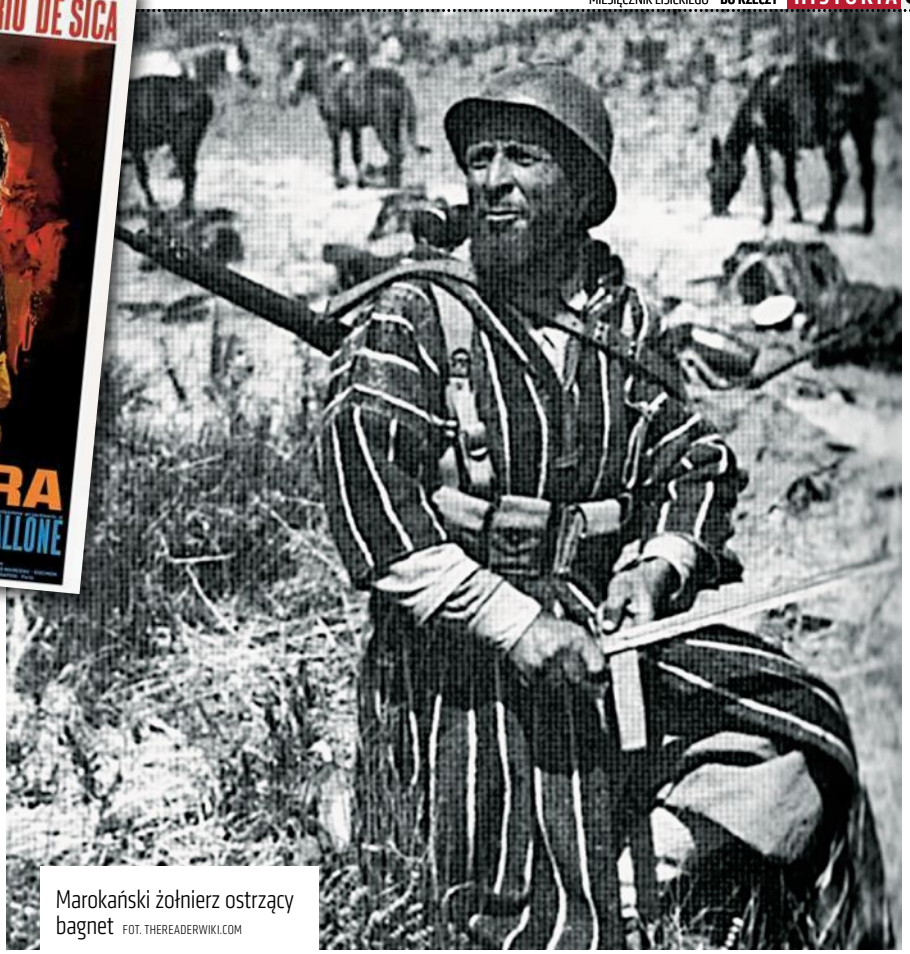

Marokański żołnierz ostrzący bagnet FOT. THEREADERWIKI.COM

na Włoszkach

kładzie się na dziewczynie... Na jej twarzy odmalowuje się bezbrzeżne zdumienie i przerażenie. A potem straszliwy ból. Obie Włoszki – matka i córka – padają ofiarą zbiorowego gwałtu.

Ta wstrząsająca scena pochodzi z filmu „Matka i córka" (wł. „La Ciociara") Vittoria De Siki, nakręconego w roku 1960. Rosettę zagrała Elenora Brown, a Cesirę – Sophia Loren. Ta ostatnia otrzymała za swoją grę Oscara. Niezwykle naturalistyczne ukazanie gwałtu wstrząsnęło włoską publicznością.

Szczególnie że nie była to wcale filmowa fikcja. W maju 1944 r. we wsiach na południe od Rzymu rzeczywiście doszło do mordów i zbiorowych gwałtów, których ofiarą padły tysiące Włoszek. Ich sprawcami byli dzicy marokańscy górale. Dlatego tragedia przeszła do historii jako „marocchinate" – „marokinada".

Kobiety i złoto

Skąd we Włoszech w 1944 r. wzięli się Marokańczycy? Byli to tzw. goumiers, Berberowie należący do luźnych jednostek pomocniczych walczących w ramach Francuskiego Korpusu Ekspedycyjnego we Włoszech gen. Alphonse'a Juina.

Goumiers funkcjonowali we francuskiej armii na wariackich papierach. Znani byli z nieprzeciętnej odwagi, ale też niesubordynacji i dzikich metod walki. Wysyłano ich na najbardziej straceńcze odcinki, używano do samobójczych misji i siania przerażenia w szeregach wroga. Byli mistrzami walki górskiej. Słynęli z pogardy dla śmierci, agresji i okrucieństwa. Niemcy bali się ich jak diabłów.

Podczas ciężkich, krwawych walk na linii Gustawa francuscy dowódcy mieli podsycać wolę walki goumiers, roztaczając przed nimi bajeczne wizje wspaniałych łupów i tłustych kobiet czekających po drugiej stronie gór. 14 maja, w przededniu szturmu, wśród marokańskich żołnierzy rzekomo kolportowano taką odezwę gen. Juina:

Żołnierze! Jeśli wygracie tę bitwę, ofiaruję wam nie tylko wolność waszych ziem. Za linią wroga są kobiety, domy, wino i złoto. Jeżeli zwyciężycie – wszystko to będzie wasze. Musicie wybić Niemców do nogi, i to za wszelką cenę. Obiecuję to wam i tej obietnicy dotrzymam. Przez pięćdziesiąt godzin będziecie absolutnymi panami tego, co znajdziecie za linią wroga. Nikt nie będzie was karał za to, co zrobicie. Nikt was nie będzie rozliczał z tego, co weźmiecie.

Historycy spierają się, czy rzeczywiście Juin i jego oficerowie tak

eprasa.pl 0d139574de

motywowali do walki marokańskich żołnierzy. Większość badaczy zgadza się, że przytoczona odezwa to powojenne fałszerstwo. Bardziej prawdopodobne jest to, że sytuacja po prostu wymknęła się spod kontroli francuskiego dowództwa – nie potrafiło ono zapanować nad swymi afrykańskimi podwładnymi. A może Francuzom było po prostu wszystko jedno.

Dla ofiar miało to jednak drugorzędne znaczenie. Fakty są bowiem bezsporne i przerażające. 19 maja 1944 r., w dniu zdobycia Monte Cassino, wioski w położonym u podnóży gór regionie Ciociaria zostały zalane przez dyszących żądzą krwi i rabunku Marokańczyków. Samym swoim wyglądem budzili oni grozę.

– Te chłopaki są mistrzami w posługiwaniu się nożami – wspominał amerykański żołnierz z 88. Dywizji Piechoty Klaus Huebner. – Są fascynujący. Noszą brudne, szare płaszcze, a ich długie włosy zaplecione są w kucyki. Śpiewają, trajkoczą i krzyczą z bólu. Wielu nosi pod pachą kury, a niektórzy pędzą przed sobą kozy. Wszyscy uzbrojeni są w olbrzymie maczety. Powiedziano nam, że otrzymują pięćdziesiąt centów za jedno ucho wroga. Wolałbym nie stracić swojego.

Gdy goumiers zeszli z gór, całą okolicę zasnuły dymy pożarów. We wsiach i miasteczkach rozgrywały się dantejskie sceny. Berberzy plądrowali, mordowali i palili. Kradli i wyrzynali zwierzęta, rabowali gotówkę i biżuterię. Dewastowali domy i mieszkania. Nadejście Marokańczyków najdotkliwiej odczuły jednak włoskie kobiety.

Marokańscy żołnierze pod Monte Cassino, styczeń 1944 r. FOT. WIKIPEDIA

Gwałciciele z gór Atlas

Berberzy we francuskich mundurach – tak jak żołnierze Armii Czerwonej we wschodnich Niemczech – gwałcili wszystkich i wszystko. Nie przepuszczali małym dziewczynkom i zgrzybiałym staruszkom. A gdy brakowało kobiet, dopuszczali się zbiorowych aktów sodomii na schwytanych włoskich chłopcach i mężczyznach. Znane są przypadki, gdy goumiers kazali patrzeć mężom i synom, jak gwałcone są ich żony i matki. A potem gwałcili ich samych.

– Ci ludzie brutalność mieli we krwi – mówił John Abatecola, którego żona przeszła przez piekło francuskiego „wyzwolenia" w miejscowości Pico. – Goumiers reprezentowali najniższe wartości moralne spośród wszystkich żołnierzy biorących udział w II wojnie światowej na europejskim teatrze wojny. Gwałcili kobiety, gwałcili mężczyzn, a kiedy już się z nimi rozprawili – gwałcili trzodę chlewną.

Jedna z dziewcząt, które dopadli, nazywała się Malinari Vella. Miała 17 lat i pochodziła z miejscowości Valekorsa.

– Żołnierze byli wyraźnie zainteresowani moją córką – wspominała jej matka. – Błagaliśmy ich, aby zostawili nas w spokoju, ale oni nas nie rozumieli. Dwaj z nich mnie trzymali, pozostali zgwałcili moją córkę. Gdy skończyli, jeden z Marokańczyków wyjął pistolet i zastrzelił Malinami.

Podobną tragedię przeżyła 55-letnia Elisabetta Rossi z Farnety. Jeden z berberyjskich oprawców dźgnął ją w brzuch bagnetem. Ciężko ranna musiała patrzeć, jak jej dwie córki – 17- i 18-letnia – zostają pozbawione czci.

Emanuella Valente z Santa Lucii w 1944 r. miała 70 lat. Była pewna, że jej wiek ochroni ją przed napastnikami. Pomyliła się. Marokańczycy rzucili się za nią w pogoń, obalili na ziemię i złamali rękę. Następnie dokonali na niej zbiorowego gwałtu, zarażając ją syfilisem.

Znany jest przypadek dwóch sióstr, które zostały zgwałcone przez 200 Marokańczyków. Jedna wyzionęła ducha, druga trafiła prosto do szpitala psychiatrycznego.

Berberyjscy wojownicy kobiety, które wpadły im w ręce, zwali haggiala lub gahba. Oba te słowa oznaczają mniej więcej tyle co „kurwa".

Włoszki dla goumiers były łupem wojennym, seksualnymi niewolnicami, z którymi zwycięzca może zrobić wszystko, na co ma ochotę. Kobiety, aby uniknąć straszliwego losu, smarowały sobie miejsca intymne sosem pomidorowym, by wyglądało na to, że przechodzą menstruację. Napastnikom to jednak nie przeszkadzało.

Mężczyznom, którzy próbowali bronić żon, matek i córek, Marokańczycy podrzynali gardła. A gdy mieli więcej czasu – kastrowali ich i nabijali na pale. Symbolem tej gehenny stało się męczeństwo ks. Alberta Terrillego, proboszcza parafii Santa Maria di Esperia. Ukrył on kilka kobiet w zakrystii, ale goumiers je tam odnaleźli. Ksiądz został wywleczony na środek placu w miasteczku, Marokańczycy zadarli mu sutannę i publicznie, wielokrotnie zgwałcili analnie. Duchowny dwa dni później zmarł.

Relacje te potwierdzają dokumenty z epoki. Zarówno niemieckie, włoskie, jak i alianckie. Norman Lewis, brytyjski oficer i pisarz przebywający wówczas na froncie włoskim, notował:

Wszystkie kobiety z miejscowości Patrica, Pofi, Isoletta, Supino i Morolo zostały pozbawione czci. W Lenoli 21 maja 1944 r. zgwałcono pięćdziesiąt kobiet. Napastników to nie zaspokoiło. Zabrali się więc za dziewczynki i staruszki. Marokańczycy z reguły atakują kobiety parami. Jeden gwałci ją normalnie, a drugi dokonuje aktu sodomii.

Nie wiadomo, ile kobiet zostało zgwałconych przez goumiers. Organizacja zrzeszająca ofiary i ich potomków swego czasu podawała nawet liczbę 60 tys. Z kolei oficjalne dane mówią

eprasa.pl 0d139574de

o kilku tysiącach zgwałconych. Problem polega na tym, że policzyć można tylko zgłoszone przestępstwa. A w wypadku gwałtów olbrzymia część ofiar wstydziła się poskarżyć władzom.

Dlatego prof. Marco Patricelli i inni włoscy badacze szacują, że wiosną 1944 r. ofiarą przemocy seksualnej padło ok. 20 tys. Włoszek. Około 800 cywilów zostało zaś przez goumiers zamordowanych.

Amnezja Francji

Krwawe rządy marokańskich górali we włoskich wioskach trwały kilka–kilkanaście dni, ale ich konsekwencje ciągnęły się przez wiele lat. A niekiedy trwają do dzisiaj. Pierwsze konsekwencje były krótkofalowe: epidemia chorób wenerycznych i aborcji dzieci zrodzonych z gwałtów, rozpad małżeństw, plaga samobójstw.

Drugie konsekwencje były długofalowe. Podczas brutalnych gwałtów wiele kobiet zostało okaleczonych. Zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Już nigdy nie mogły zbliżyć się do mężczyzny, założyć rodziny. Przez dziesiątki lat borykały się ze stanami lękowymi i głębokimi traumami.

Na sprawę po wojnie spuszczono kurtynę milczenia. Kobiety, ich mężowie i bliscy nie mieli ochoty głośno o tym mówić. Sytuację zmienił dopiero film „Matka i córka". Jego wejście na ekrany kin w 1960 r. uruchomiło wielką debatę o tragedii kobiet z regionu Ciociaria. O ich losie dowiedziały się miliony ludzi na całym świecie.

Francuskie władze od początku zachowywały się w tej sprawie skandalicznie. W 1944 r. francuscy oficerowie nie palili się do powstrzymywania oprawców w turbanach. Chociaż należy przyznać, że były wyjątki, to w niektórych oddziałach doszło do rozstrzelania gwałcicieli.

Po wojnie Francuzi mówili jednak o popełnionych przez nich zbrodniach bardzo niechętnie. Sprawa ta kładła się bowiem cieniem na wielkim zwycięstwie gen. Juina i jego oddziałów, które miało opromieniać tradycje oręża Republiki. Według marszałka Jeana de Lattre de Tassigny'ego cała sprawa została wyolbrzymiona przez niemiecką propagandę, która chciała... „spotwarzyć dzielne francuskie siły zbrojne".

Gdy Włosi po wojnie próbowali podnosić ten problem, Paryż kanałami dyplomatycznymi dał znać, że poważnie nadszarpnie to stosunki włosko-francuskie.

Pod koniec wojny – pisał prof. Marco Patricelli – Francja przyznała symboliczne odszkodowanie, które wynosiło od 30 tys. do 150 tys. lirów, każdej zgwałconej kobiecie. Istniało ono tylko na papierze, ponieważ sumy te zostaną potrącone od kwot, które Włochy miały wypłacić tytułem odszkodowania wojennego. Generał Juin nie poświęci w swych wspomnieniach ani jednej linijki współczuciu dla cywilnych ofiar „marokinady". To byli jego żołnierze i nawet jeśli sam nie dał przyzwolenia na to, co się wydarzyło, to pewne jest, że nie wydał żadnego rozkazu, by „gwałtom w Ciociarii" zapobiec. Pozostaje jego moralna odpowiedzialność. Francja nie chce jednak o tym nawet słyszeć.

Według wielu badaczy to właśnie na Francuzach spoczywa ciężar odpowiedzialności za to, co się stało. I to nie tylko moralnej. To bowiem Francuzi wcielili do swoich oddziałów dzikich berberyjskich górali, a następnie wywieźli ich na daleką, europejską wojnę, której Marokańczycy nie rozumieli i która była im obojętna.

Goumiers na froncie włoskim walczyli zgodnie z zasadami tradycyjnej, afrykańskiej sztuki wojennej. A więc z jednej strony niezwykle odważnie, lecz z drugiej – nie przestrzegając cywilizowanych reguł i zasad. Nikt zresztą, jak się wydaje, ich z nimi nie zaznajomił. Dla nich było oczywiste, że po zwycięskiej bitwie wojownika czeka nagroda: kobiety i złoto.

Gdy o gwałtach zrobiło się głośno, wybuchł skandal. Sam papież Pius XII zażądał od gen. Charles'a de Gaulle'a, żeby usunął z Włoch afrykańskich łupieżców. Tak też się stało. Goumiers zostali przerzuceni do Francji i tam – wzięci wreszcie w karby przez oficerów – nie popełniali już gwałtów. A przynajmniej nie na taką skalę.

Obecnie żyje już tylko niewielka część ofiar „marokinady". Przed włoskimi sądami wciąż jednak rozpatrywane są sprawy wytoczone przez ofiary gwałtów. Jedna z nich – prasa używała tylko jej imienia, Rosa – jeszcze w 2015 r., po wieloletniej batalii sądowej, wygrała odszkodowanie. Miała wówczas... 98 lat.

Marokańskie gwałty stały się częścią włoskiej pamięci historycznej. W miejscowości Castro dei Volsci stoi obecnie pomnik Mamma Ciociaria poświęcony włoskim matkom, które desperacko próbowały bronić swoich córek przed marokańskimi gwałcicielami. W każdą rocznicę tragedii odbywają się pod nim uroczystości.

Profesor Patricelli opisał historię pewnego adwokata z Ciociarii (rocznik 1947), który przez długie lata reprezentował przed sądami ofiary gwałtów. Okazało się, że jedną z nich była jego matka.

Starałem się ukryć jej tożsamość – mówił ów prawnik – ponieważ jest już stara i chora. Moja matka i jej przyjaciółki poszły do kościoła, by się pomodlić. Nagle pojawiło się czternastu Marokańczyków, ubranych jedynie w białe prześcieradła, i zaczęło te nieszczęsne kobiety brutalnie, obsesyjnie, wielokrotnie gwałcić. Robili to aż do wieczora. Moja matka została zraniona nożem. Leczono ją wodą z solą, ponieważ nie było wówczas innego dostępnego lekarstwa. Prawie wszystkie ofiary tych gwałtów wyszły za mąż. Moja matka poznała inżyniera budowlanego ze Sperlongi i wyszła za niego. Był on niezwykłym człowiekiem, który, jak pozostali, którzy ożenili się z ofiarami Marokańczyków, nigdy nie wracał do tego tematu.

Niestety nie wszystkie ofiary goumiers miały takie szczęście. Tysiącom włoskich kobiet marokańskie gwałty bezpowrotnie złamały życie. Przybycie aliantów nie było dla nich wyzwoleniem, ale najczarniejszym dniem życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

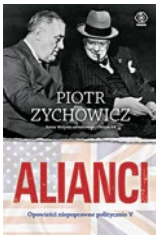

PIOTR ZYCHOWICZ
„ALIANCI"
REBIS

eprasa.pl 0d139574de

CZOŁG PERSHING "EAGLE 7" CLARENCE A SMOYERA FOT. ZBIORY ADAMA MAKOSA

Rozmowa / Z Adamem Makosem, amerykańskim historykiem, autorem książki „Szpica"

rozmawia Piotr Włoczyk

Pojedynek bestii pod katedrą

– Pancerna bestia wypełzła z tunelu i stanęła dumnie na placu katedralnym. Niemal rzucała w ten sposób Amerykanom wyzwanie: „Chodźcie do mnie, zmierzmy się!". Załoga „Eagle 7" postanowiła wejść do akcji – mówi Adam Makos.

PIOTR WŁOCZYK: Jak wielką sensacją było pojawienie się „Eagle 7?

ADAM MAKOS: To była niezwykła, eksperymentalna maszyna, więc jej pojawienie się na polu bitwy było olbrzymią sensacją! Nie tylko zresztą dla żołnierzy US Army. Również Niemcy byli jej widokiem bardzo zaskoczeni. Chodzi o czołg T26E3 Pershing. Amerykanie potrzebowali na gwałt potężniejszego czołgu od Shermana, który słabo radził sobie w walce z większymi niemieckimi maszynami, takimi jak Pantera czy Tygrys. Pierwsze 20 sztuk wysłano do Europy prosto z amerykańskiej hali fabrycznej, a kolejne 20 testowano na poligonach w USA.

Jedną z tych maszyn 22 lutego 1945 r. dostał Clarence Smoyer, główny bohater pańskiej książki.

Jego jednostka, 3. Dywizja Pancerna, otrzymała w sumie połowę pershingów wysłanych do Europy. Pershing Smoyera miał z przodu błotnika namalowane oznaczenie „E7", załoga ochrzciła więc swój nowy czołg „Eagle 7".

Dlaczego akurat ta załoga została wybrana do testowania Pershinga w boju?

Clarence wielokrotnie się nad tym zastanawiał. Powiedział mi, że najpewniej chodziło o to, iż miał mnóstwo szczęścia. Clarence i jego koledzy z załogi nigdy nie stracili czołgu. Tymczasem wszyscy wokół musieli wymieniać swoje maszyny. Niektórzy do końca wojny jeździli nawet pięcioma czołgami!

Dodatkowo Clarence Smoyer słynął w swojej jednostce jako doskonały celowniczy. Miał talent i ogromną determinację, by za każdym razem trafiać. Clarence po prostu bał się spudłować. Wiedział doskonale, że w pojedynku z panterą nie może się pomylić. Jeżeli bowiem on spudłuje, to pantera zabije całą jego rodzinę.

eprasa.pl 0d139574de

Clarence jeździł w czołgu ze swoją rodziną?!

Tak na to patrzył – załoga była jego rodziną, tak bardzo zżyci byli ze sobą ci młodzi mężczyźni.

Kiedy pierwszy pershing pojawił się w 3. Dywizji Pancernej (nazywanej „Szpicą"), zrobiło się wokół niego spore zbiegowisko. Wszyscy byli bardzo podekscytowani – w końcu mieli do dyspozycji wielką maszynę, z potężnym działem. Co ważne, pershing mógł bardzo szybko jechać do tyłu. To może nie brzmi za bardzo rycersko, ale jednak ta umiejętność jest bardzo przydatna na polu walki, kiedy czołg musi błyskawicznie zmienić pozycję, by uniknąć zniszczenia. Shermanom jazda do tyłu nie wychodziła tak dobrze. Poza tym „Eagle 7" miał też automatyczną skrzynię biegów, więcej miejsca w środku, potężniejsze działo i grubszy pancerz. Clarence i jego towarzysze z załogi nie mogli uwierzyć we własne szczęście. Jednak ta radość dosyć szybko ustąpiła miejsca niepokojowi. W kolejnej bitwie połowa shermanów z kompanii Clarence'a została zniszczona. W związku z tym jego dowódca zarządził, że od teraz „Eagle 7" będzie jechał na przedzie...

Statystyki nie dawały im chyba zbyt wielkich szans na przeżycie wojny...

Jeżeli cały czas jesteś na przedzie, to w końcu ktoś w ciebie porządnie rąbnie – podpowiada zdrowy rozsądek. Załoga „Eagle 7" doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

6 marca 1945 r. 3. Dywizja Pancerna dotarła do Kolonii, którą Hitler właśnie ogłosił „twierdzą". Tutaj „Eagle 7" wziął udział w pojedynku, który przeszedł do historii. Obok wspaniałej świątyni stała pantera, która zniszczyła już dwa amerykańskie shermany, w tym jeden dowodzony przez Karla Kellnera.

Nawet gdyby Kellner zauważył panterę przyczajoną w pobliskim tunelu kolejowym, to musiałby zmieścić swój pocisk w bardzo małym fragmencie pancerza niemieckiego czołgu wokół jego działa. Tylko w tym miejscu pocisk shermana był w stanie przebić od frontu pancerz pantery, ale – jak możemy sobie to wyobrazić – było to niezwykle trudne zadanie.

Wśród Amerykanów lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że dwa czołgi zostały zniszczone przez panterę przy katedrze. Ta pancerna bestia wypełzła w końcu z tunelu i stanęła dumnie

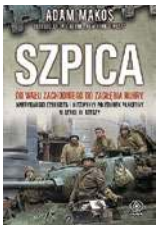

ADAM MAKOS
„SZPICA. OD WAŁU ZACHODNIEGO DO ZAGŁĘBIA RUHRY"
REBIS

na placu katedralnym. Niemal rzucała w ten sposób Amerykanom wyzwanie: „Chodźcie do mnie, zmierzmy się!". Załoga „Eagle 7" postanowiła wejść do akcji. Co ważne, Clarence z przerażeniem się zorientował, że lekkie czołgi typu Stuart zostały wysłane na panterę.

A przecież stuarty, ze swoimi armatami 37 mm, to kruszyny nawet przy shermanach...

Dlatego polowanie na panterę było w zasadzie wyrokiem śmierci dla tych niewielkich maszyn. Rozmawiałem z członkiem załogi jednego ze stuartów. Przyznał, że wszyscy byli przerażeni tym rozkazem i szykowali się na najgorsze.

Załoga „Eagle 7" stwierdziła więc, że to oni muszą jako pierwsi zmierzyć się z panterą. Już mieli wyruszyć do boju, kiedy nagle usłyszeli walenie w wieżę. Dowódca Bob Earley wyjrzał na zewnątrz i zobaczył swojego znajomego, Jima Batesa, który był kamerzystą dokumentującym walki w Kolonii. Bates, z niewielką kamerą w ręku, powiedział Earleyowi, że wie, gdzie jest jego przeciwnik. I wtedy stała się rzecz niezwykła. Dowódca czołgu, stojący na pierwszej linii ognia, wychodzi ze swojej maszyny i biegnie razem z kamerzystą do stojącego nieopodal budynku, wspina się na drugie piętro – pamiętajmy, że wszędzie wokół wciąż trwają walki – i przypatruje się panterze.

„Eagle 7" zyskuje w ten sposób olbrzymią przewagę nad niemiecką maszyną, ale jednak sytuacja błyskawicznie się odmienia...

Tak. Ta cała historia wygląda trochę tak jak to, co dziś robią youtuberzy. Bates powiedział w gruncie rzeczy: „Tam jest czołg. Jedźcie go zniszczyć, a ja to wszystko nagram". Earley wrócił do swojego pershinga i powiedział, że trzeba zajść panterę od boku. Clarence nauczył się w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy, żeby nigdy nie lekceważyć niemieckich pancerniaków. Zawsze upewniał się, że wroga maszyna na pewno nie zagraża już jego własnemu czołgowi. Dlatego zawsze pakował w Niemców kilka pocisków, aż zobaczył, że wroga maszyna zamienia się w kulę ognia.

Kadr z filmu nakręconego przez Jima Batesa FOT. ZBIORY ADAMA MAKOSA

eprasa.pl 0d139574de

Gustav Schaefer i Clarence Smoyer podczas wojny i wiele lat później FOT. ZBIORY ADAMA MAKOSA

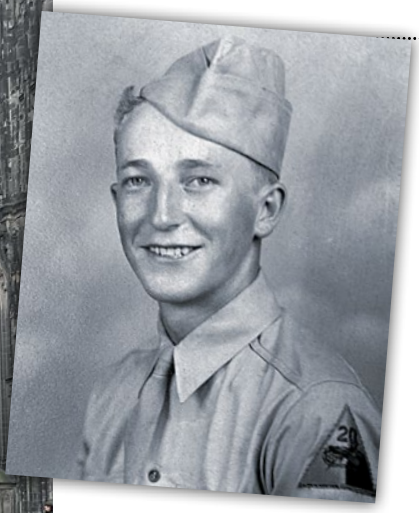

Clarence przesunął działo na prawo, niemal drapiąc nim elewacje kamienic. Chciał oddać strzał w pierwszym momencie, gdy tylko zobaczy panterę. Nawet jeżeli Niemcy nie spodziewają się uderzenia z tej strony, to Clarence nie zamierzał w najmniejszym stopniu ryzykować.

Amerykanie mieli armatę 90 mm. Niemcy z kolei dysponowali działem 75 mm. Na pierwszy rzut oka wydaje się więc, że „Eagle 7" górował w tej kwestii nad przeciwnikiem.

To jednak tylko pozory. Działo Pantery charakteryzowało się ogromną prędkością wylotową pocisku, który dzięki temu radził sobie praktycznie z każdym pancerzem. Pershing miał potężniejsze opancerzenie, ale Pantera miała jednak lepsze działo.

Nie wiemy, co dokładnie stało się w środku niemieckiego czołgu, ale w Wilhelmie Bartelborthcie, dowódcy pantery, odezwał się najpewniej instynkt. Założył, że nikt nie będzie się na niego pchał od przodu, gdzie straszył już wrak rozbitego shermana Kellnera. Stwierdził więc, że atak może nastąpić tylko z lewej lub z prawej strony. Wybrał prawą i przekręcił działo o 90 stopni.

Dokładnie w miejsce, w którym za moment miał się pojawić „Eagle 7"...

Tak. Kamerzysta, mający idealny widok na panterę, patrzył na to oniemiały. Za moment Niemiec zamieni czołg prowadzony przez jego kolegę w kupę zgliszczy, a on nie jest w stanie nic z tym zrobić!

Pershing powoli zaczął się wysuwać zza budynku stojącego na rogu... Clarence był przekonany, że lufa pantery będzie skierowana w innym kierunku. Nagle jednak z przerażeniem stwierdził, że mierzy ona wprost w niego! „Eagle 7" celował tymczasem w nie najlepsze miejsce – w przedział silnikowy. Clarence nie miał jednak czasu przekręcać działa, żeby wycelować w środek czołgu. Musiał natychmiast strzelać. Pociągnął za spust. „Eagle 7" wystrzelił pierwszy.

Dlaczego to Amerykanie byli pierwsi?

Wilhelm Bartelborth napisał po wojnie list, w którym opisał tę sytuację. Kiedy zobaczył, że na skrzyżowanie wjeżdża czołg, był lekko zdezorientowany. Pamiętajmy, że wszystko dokoła było brudne, zakurzone. Dzień chyli się już ku końcowi i kontury amerykańskiego czołgu nie były zbyt wyraźne. Tymczasem Bartelborth nigdy nie widział takiej maszyny! Jednego mógł być pewien – na pewno nie był to sherman. Długa lufa „E7" sprawiła, że przez moment zaczął się zastanawiać, czy to nie jest niemiecki czołg. Nakazał więc wstrzymanie ognia. I to dało przewagę pershingowi.

Opłaciła się jazda nieznanym szerzej prototypem...

Możemy zakładać, że właśnie to uratowało „E7". Niemiecki czołg zaczął płonąć. Tymczasem każda załoga, bez względu na narodowość, właśnie pożaru boi się najbardziej. Niemcy najprawdopodobniej wciąż mogli oddać śmiertelny strzał, ale Bartelborth nakazał natychmiastową ewakuację. Na filmie nagranym przez Batesa widać, jak załoga wyskakuje. Wtedy Clarence strzela po raz drugi, a po chwili po raz trzeci.

W mediach społecznościowych niektórzy do dziś komentują, że była to bezlitosna egzekucja. Ci ludzie najwyraźniej kompletnie nie rozumieją jednak, że wystarczyło, by w środku pozostał jeden przytomny żołnierz, który pociągnąłby za spust. Pershing w ułamku sekundy zamieniłby się wówczas w kulę ognia. Clarence widział, że ktoś wyskakuje z płonącej maszyny, ale przecież nie było czasu na liczenie tych ludzi. Musiał się upewnić, że wróg został kompletnie zniszczony.

To był dla nich koniec bitwy o Kolonię. Pancerniacy z pershinga stali obok wspaniałej katedry, wiedzieli, że stąd jest już ledwie kilkaset metrów do Renu – głównego celu US Army w tamtym okresie.

Jednak mimo zwycięstwa nad panterą Clarence Smoyer nie mógł być tamtego dnia w pełni szczęśliwy. Tuż przed bitwą z niemieckim czołgiem ostrzelał bowiem samochód cywilny, myśląc, że to auto używane przez Wehrmacht...

eprasa.pl 0d139574de

Amerykanom zdobywającym Kolonię powiedziano, by strzelali do każdego auta, ponieważ na tym etapie wojny niemieccy cywile mieli już nie jeździć samochodami w związku z racjonowaniem benzyny.

W ostrzelanym aucie znajdowało się dwoje cywilów. Na fotelu pasażera siedziała 26-letnia Katharina Esser. Cała ta scena została utrwalona na nagraniu zrobionym przez kamerzystę US Army. Autem kierował 40-letni Michael Delling, szef Kathariny. Delling był właścicielem sklepu spożywczego i dostał zgodę na używanie swojego auta w celach służbowych. Oboje chcieli uciec z piekła walk w Kolonii i oboje zginęli. Nie wiadomo jednak, kto konkretnie ich zabił, ponieważ niemal równocześnie do opla ostrzelał niemiecki czołg, który stał za rogiem. Siedzący w nim 18-letni Gustav Schaefer spanikował i – widząc nadjeżdżający pojazd – puścił w jego kierunku serię. Dopiero po chwili zorientował się, że było to cywilne auto…

Po 70 latach udało mi się doprowadzić do spotkania Clarence'a i Gustava. Obaj byli bardzo wzruszeni i polubili się. I każdy z nich do końca zastanawiał się, czy to nie jego pociski zabiły pasażerów opla…

Czy możemy jednak założyć, że załoga „Eagle 7" miała najwięcej szczęścia spośród wszystkich pancerniaków US Army?

(Śmiech) Myślę, że spokojnie możemy tak założyć. Pershing nie dawał gwarancji bezpieczeństwa, ponieważ duża część z nich została zniszczona przez Niemców. Zaledwie dzień przed bitwą w Kolonii Amerykanie stracili jednego pershinga. To naprawdę niezwykłe, że „Eagle 7" przeszedł bez szwanku przez labirynt Kolonii zamienionej w twierdzę naszpikowaną pułapkami – ukrytymi działami 88 mm, panzerfaustami i przyczajonymi czołgami. A po zdobyciu Kolonii było jeszcze więcej tego samego. „Eagle 7" jechał na przedzie podczas ofensywy na Zagłębie Ruhry. I znów przyszło mu zmierzyć się z panterą…

Tytułowa „Szpica", czyli 3. Dywizja Pancerna US Army, poniosła największe straty w czołgach spośród wszystkich amerykańskich dywizji…

Żołnierze „Szpicy" wylądowali we Francji dwa tygodnie po D-Day. To był dla nich chrzest bojowy. Od tej pory niemal zawsze byli jednak na przedzie amerykańskiego uderzenia – byli jego szpicą. W porównaniu z innymi amerykańskimi jednostkami niewiele się o niej pisało w czasie wojny, a to dlatego, że korespondenci wojenni zazwyczaj nie wypuszczali się tak bardzo do przodu. Było to po prostu bardzo niebezpieczne.

W tamtym momencie wojny chyba wszyscy już rozumieli, że shermany nie są – delikatnie rzecz ujmując – najlepszymi maszynami…

Do momentu lądowania we Francji żołnierze byli autentycznie przekonani, że ich shermany były najlepszymi czołgami. I faktycznie, to były bardzo dobre maszyny. Zwinne, trwałe, rzucane na pola bitew w wielkiej masie. Ale w 1944 r. okazało się, że czołg, który zaledwie rok wcześniej był kapitalną maszyną, nagle staje się przestarzały. Niemcy wprowadzili bowiem do użytku na dużą skalę swoje nowe czołgi, które stały się legendami. Amerykanie nazywali je „niemieckim zoo": Pantera, Tygrys, Królewski Tygrys. Najczęściej wpadali na pantery. Załogi shermanów z ogromną frustracją odkrywały, że bardzo ciężko było zniszczyć te maszyny. Większość pocisków po prostu odbijała się od pancerzy niemieckich czołgów. Dlatego amerykańscy pancerniacy z wytęsknieniem wyglądali nowego potężniejszego czołgu, dzięki któremu będą mogli bez obaw mierzyć się z Niemcami na polach bitew. Takim czołgiem okazał się właśnie Pershing.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Adam Makos jest amerykańskim historykiem, autorem książek na temat drugiej wojny światowej. W Polsce ukazała się właśnie jego najnowsza książka pt. „Szpica. Od Wału Zachodniego do Zagłębia Ruhry. Amerykański czołgista i niezwykły pojedynek pancerny w sercu III Rzeszy" (Rebis).

REKLAMA

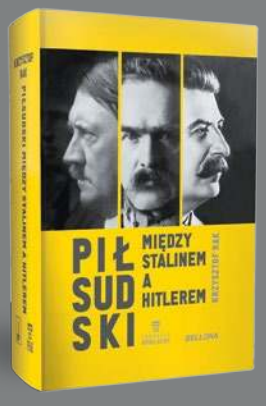

MISTERNA GRA
Piłsudskiego ze Stalinem przeciwko Hitlerowi

Polecamy również:

KSIĘGARNIE Świat Książki
swiatksiazki.pl
FUNDACJA HISTORIA i KULTURA
BELLONA

eprasa.pl 0d139574de

Adolf Hitler na Hradczanach
FOT. WIKIPEDIA

1939–1945 / Protektorat Rzeszy dla Czech i Moraw

Użyteczna kolaboracja Czechów

Arkadiusz Karbowiak

– To będzie niechciana współpraca, ale nie ma innego wyjścia, opór mógłby spowodować narodowe samobójstwo – mówił premier Eliáš

Podpisanie układu monachijskiego we wrześniu 1938 r. doprowadziło do utraty przez państwo czechosłowackie trzeciej części terytoriów, w większości zamieszkałych przez ludność pochodzenia niemieckiego. Prezydent Edvard Beneš pod presją zachodnich sojuszników postanowił zaakceptować dyktat monachijski i – rezygnując ze stanowiska głowy państwa – udał się na emigrację. W ten sposób narodziła się Republika Czechosłowacka (Česko-Slovenská Republika). Państwo praktycznie i całkowicie zależne od Niemiec. W listopadzie 1938 r. parlament wybrał na prezydenta II Republiki – jak nazywano nowy twór państwowy – prawnika i prezesa Najwyższego Sądu Administracyjnego Emila Háchę, konserwatystę i głęboko wierzącego katolika niezwiązanego z żadnym ugrupowaniem politycznym.

Hácha obejmował urząd prezydenta w szczególnie trudnym dla kraju momencie. Jako prezydent zmuszony

eprasa.pl 0d139574de

był obserwować upadek rządzonego przez siebie państwa, co nastąpiło wraz z wkroczeniem na teren Czechosłowacji 15 marca 1939 r. oddziałów Wehrmachtu. Dzień wcześniej, podczas wizyty w Berlinie, Háchę zmuszono pod presją do podpisania deklaracji przyjęcia przez II Republikę „ochrony" ze strony III Rzeszy. Dwa dni potem, 16 marca 1939 r., Hitler ogłosił powstanie Protektoratu Rzeszy dla Czech i Moraw (Protektorat Böhmen und Mähren).

Neurath i Heydrich

Protektorem mianowano mającego dość dobre kontakty z zachodnimi politykami byłego ministra spraw zagranicznych Rzeszy, Konstantina von Neuratha. Zarówno prezydent, jak i premier Czechosłowacji – Rudolf Beran, pozostali na swych stanowiskach, choć misja tego ostatniego zakończyła się już w kwietniu 1939 r., kiedy zastąpił go gen. Alois Eliáš. Czeskie władze Protektoratu, z Háchą na czele, podejmowały współpracę z Niemcami w porozumieniu z Benešem. Cele, jakie sobie stawiały, tak określił premier: „Ten rząd będzie miał przed sobą dwa wielkie cele: chronić egzystencję narodu, której Niemcy będą zagrażać, i przeciwstawiać się demoralizacji, o co zapewne Niemcy się postarają. Te cele będzie można spełnić, jeśli rząd będzie do pewnego stopnia współpracował z Niemcami. To będzie niechciana współpraca, ale nie ma innego wyjścia, opór mógłby spowodować narodowe samobójstwo".

Z pewnością poza pojedynczymi wypadkami czescy kolaboranci nie stali się bezwolnymi narzędziami w rękach Niemców, ale przypadła im trudna rola tonowania narastających nastrojów antyniemieckich. Ujawniły się one 28 października 1939 r., w rocznicę zakazanego święta niepodległości. Doszło wtedy w Pradze do brutalnie stłumionych przez policję demonstracji, podczas których ciężko ranny został i potem zmarł jeden z uczestników, student Jan Opletal. Jego pogrzeb stał się pretekstem do dalszych antyniemieckich wystąpień ze strony czeskich studentów. Niemcy postanowili zastosować represje. W ich trakcie dziewięciu studentów rozstrzelano, a 1,2 tys. deportowano do obozu koncentracyjnego KL Sachsenhausen. Zamknięto też wszystkie wyższe uczelnie. Dzięki determinacji prezydenta Háchy połączonej z kilkoma przyjaznymi gestami wobec kanclerza Adolfa Hitlera – w postaci życzeń urodzinowych oraz gratulacji z powodu zajęcia Paryża – udało się w latach 1940–1943 doprowadzić do uwolnienia aresztowanych jesienią 1939 r. studentów.

System rządów istniejący w Protektoracie można określić jako liberalny i nieszczególnie represyjny. Protektor Konstantin von Neurath był arystokratą o poglądach konserwatywnych, któremu przez długi czas skutecznie udawało się wyhamowywać terrorystyczne zapędy narodowosocjalistycznych radykałów, pokroju sekretarza stanu i zastępcy protektora SS-Obergruppenführera Karla Hermanna Franka. Prowadzona przez niego polityka opierała się na współpracy z czeską inteligencją i arystokracją, warstwami bliskimi mu z racji pochodzenia. Wykazywany przez Neuratha polityczny umiar nie budził entuzjazmu u Hitlera i postanowił on zastąpić go kimś bardziej bezwzględnym.

Wybór padł na szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – RSHA (Reichssicherheitshauptamt) SS-Obergruppenführera Reinharda Heydricha. Powodem zmiany na stanowisku protektora była też rosnąca aktywność czeskiego podziemia antyniemieckiego, o co Hitler obwiniał Neuratha. Śledztwa prowadzone przez gestapo ukazywały skalę powiązań czeskiego rządowego establishmentu z organizacjami podziemnymi. Na liście osób oskarżanych o owe związki znajdowali się zarówno burmistrz Pragi Otokar Klapka, premier Alois Eliáš, jak i prezydent Emil Hácha oraz wielu innych polityków. Materiał dowodowy zebrany przez policję bezpieczeństwa Sipo pozwolił na wydanie 27 września 1941 r., a więc w dniu przybycia na Hradczany SS-Obergruppenführera R. Heydricha, decyzji o aresztowaniu premiera Eliáša. W wyniku przewodu sądowego skazano go na karę śmierci. Z prośbą o łaskę wystąpił prezydent Hácha. Wykonanie egzekucji zawieszono, traktując generała jako swoistego zakładnika.

Kilka miesięcy po jego aresztowaniu, 19 stycznia 1942 r., doszło do rekonstrukcji rządu Protektoratu. Premierem został dotychczasowy minister sprawiedliwości Jaroslav Krejčí, ministerstwo gospodarki objął Niemiec Walter Bertsch, a ministrem edukacji i szkolnictwa mianowano płk. Emanuela Moravca, który w maju 1942 r. zaczął także szefować Kuratorium ds. Wychowania Młodzieży w Czechach i Morawach (Kuratorium pro výchovu mládeže v Čechách a na Moravě). Pułkownik należał do grona radykalnych zwolenników kolaboracji, chociaż w 1938 r., będąc oficerem w czynnej służbie armii czechosłowackiej, namawiał prezydenta Beneša do odrzucenia monachijskiego dyktatu i wypowiedzenia wojny Niemcom. Gdy to nie nastąpiło, Moravec uznał, że dla Czechosłowacji nie ma już innej drogi jak tylko współpraca z III Rzeszą. Jego proniemieckie inklinacje zostały zauważone, dzięki czemu Moravec znalazł się składzie rządu

RYS. JACEK GRAMBURG

eprasa.pl 0d139574de

Reinhard Heydrich i Karl Hermann Frank na Zamku Praskim FOT. WIKIPEDIA

Protektoratu pomimo tego, że Hácha próbował go dyskredytować jako przeciwnika państwa niemieckiego i masona. Jednak podejmowane przez prezydenta zabiegi nie przyniosły żadnych efektów.

Wpływy Moravca systematycznie rosły, szczególnie od chwili, gdy opiekunem pułkownika został SS-Obergruppenführer Reinhard Heydrich, który został p.o. protektorem Rzeszy. Dzień po jego przybyciu do kraju wprowadzono stan wyjątkowy. Od września 1941 r. do maja 1942 r. stracono w Protektoracie ok. 400 osób, z których część związana była z konspiracją antyniemiecką. Heydrich nie zamierzał skupiać się na stosowaniu wyłącznie ślepego terroru. Nowy zarządca Protektoratu chciał szukać sprzymierzeńców i partnerów do współpracy nie wśród czeskiej inteligencji, słusznie uważanej przez niego za środowisko powiązane z ruchem oporu, lecz wśród robotników.

Aby to osiągnąć, postanowił poprawić stan zaopatrzenia rynku we wszelkie produkty, m.in. tłuszcze, odzież, obuwie. Następnym posunięciem było zrównanie przydziałów żywnościowych Czechów z Niemcami. Kolejny krok na drodze pozyskiwania przychylności robotników stanowiło udostępnienie robotnikom podczas urlopów możliwości korzystania z ośrodków wypoczynkowych o najwyższym standardzie. Podniesiono wysokość rent inwalidzkich oraz emerytur. Te zabiegi były wynikiem przeświadczenia Heydricha, że czescy robotnicy są najważniejszą grupą społeczną w Protektoracie, pracującą na rzecz niemieckiej gospodarki wojennej. Dlatego stworzenie im warunków dających poczucie bezpieczeństwa socjalnego, skłaniających do bardziej wydajnej pracy, uważał za bardzo ważne.

Niebezpieczeństwo związane z sukcesami polityki Heydricha dostrzegł były prezydent Beneš, dlatego podjął on decyzję o likwidacji Heydricha. U jej podłoża leżała kwestia poprawienia wizerunku Czechów jako narodu walczącego z Niemcami, a nie z nimi kolaborującego. Kosztem, który zapewne był brany pod uwagę, były prawdopodobne represje niemieckie. Ich zastosowanie z punktu widzenia czeskiego Londynu było celowe, wykopałoby bowiem swoisty rów nienawiści pomiędzy Niemcami i Czechami, co w rezultacie doprowadziłoby do przekreślenia możliwości kontynuowania polityki szefa RSHA.

Czescy faszyści

27 maja 1942 r. w Pradze na zakręcie drogi w Holeszowicach, w zorganizowanym przez czechosłowackich spadochroniarzy przybyłych z Wielkiej Brytanii zamach, SS-Obergruppenführer Heydrich odniósł ciężkie rany, w następstwie których 4 czerwca zmarł. Zastąpił go SS-Oberstgruppenführer Kurt Daluege, a po nim Protektorem Rzeszy w randze ministra został były minister spraw wewnętrznych Wilhelm Frick. Niemcom, dzięki zdradzie jednego ze spadochroniarzy, Karela Čurdy, udało się aresztować osoby udzielające zamachowcom pomocy. Jedna z nich w czasie brutalnego śledztwa podała informacje o miejscu ukrywania się w kościele Cyryla i Metodego uczestników zamachu. Podczas akcji niemieckiej policji wszyscy konspiratorzy zginęli w walce lub popełnili samobójstwo.

Zanim to nastąpiło, Niemcy rozpoczęli represje odwetowe. Stracony został 19 czerwca 1942 r. na strzelnicy w Kobylisy Alois Eliáš. Był jedynym premierem rządu kolaborującego z Niemcami w Europie, który został przez nich stracony. W ramach akcji odwetowej spacyfikowano wieś Lidice, gdzie rozstrzelano 199 mężczyzn, a 184 kobiety deportowano do KL Ravensbrück. Natomiast 98 dzieci wywieziono celem germanizacji do Kraju Warty – Warthegau. Niestety, po wojnie udało się odnaleźć tylko 16 z nich. Poza Lidicami represje zastosowano w wsi Ležáky. Zginęły tam 34 osoby. Dodatkowo w ramach polityki terroru sądy orzekły 1357 kar śmierci wobec Czechów za różnego rodzaju drobne i poważne przestępstwa. Władze czeskie, przerażone skalą odwetu, nawoływały ludność do spokoju. Dążąc do zakończenia represji, starano się pokazać, że naród czeski jednoczy się w smutku z powodu śmierci szefa RSHA podczas organizowanych wieców potępiających sprawców zamachu. Głównym ich inicjatorem był Emanuel Moravec.

Jego postać szczególnie irytowała – stanowiących alternatywę dla rządu protektorackiego, a formułujących wizję kooperacji ideowej z Niemcami opartej nie na politycznym pragmatyzmie, lecz na ideologicznych fascynacjach – cze-

eprasa.pl 0d139574de

Banknot Protektoratu Czech i Moraw FOT. DOMENA PUBLICZNA

skich faszystów spod znaku powstałego w październiku 1939 r. Czeskiego Obozu Narodowo-Socjalistycznego Vlajka. Celem Vlajki, organizacji noszącej zdecydowanie antysemicki charakter, a kierowanej przez przywódców młodego pokolenia, takich jak Jan Rys-Rozsévač czy Josef Burda, było objęcie władzy w Protektoracie. Taktyczna bezideowa współpraca z Niemcami władz protektorackich wywoływała u przywódców Vlajki daleko idący krytycyzm. Dlatego dążyli oni do zastąpienia na kolaboranckich posadach środowiska skupionego wokół prezydenta Háchy.

W realizacji tego postulatu czasami faszyści sięgali po przemoc. Tak było, kiedy 7 sierpnia 1940 r. 500 vlajkowców zaatakowało praską siedzibę prorządowej, jedynej legalnie działającej w Protektoracie organizacji Wspólnoty Narodowej NS (Národní Souručenství) i ją zajęło. Interweniowała wówczas czeska policja, której oddziały wyparły faszystów z okupowanego budynku. Radykalny charakter przybierały również, mające początkowo cichą przychylność władz SS, ataki prasowe na rząd Protektoratu oraz samego prezydenta prowadzone przy różnych okazjach. Sytuacja w tej materii się zmieniła, gdy w skład nowej ekipy rządowej wszedł płk Emanuel Moravec.

Moravec, postrzegany jako rywal na polu ideowej kolaboracji z Niemcami, stał się przedmiotem negatywnej kampanii propagandowej vlajkowców. Jednak ani Heydrich, ani K.H. Frank, którzy na niego postawili, nie zamierzali tego tolerować. Kiedy pomimo ostrzeżeń ataki nie ustały, gestapo 17 grudnia 1942 r. aresztowało przywódców Vlajki. Trafili oni do więzienia w Pankracu, a po rozwiązaniu organizacji w styczniu 1943 r. deportowano ich początkowo do KL Theresienstadt, a potem do KL Dachau. Tam przybywali jako „więźniowie honorowi" (mieli status więźnia uprzywilejowanego), aż do momentu wyzwolenia obozu przez Amerykanów. Po wojnie trzech przywódców Vlajki – J. Burdy, J. Rys-Rozsévač i Jaroslav Čermák – zostało straconych przez władze czechosłowackie.

Kres Protektoratu

Wiosną 1945 r., kiedy stało się jasne, że upadek Rzeszy jest sprawą kilku najbliższych tygodni, na teren Protektoratu zaczęły spływać oddziały Grupy Armii „Mitte", dowodzone przez feldmarszałka Ferdinanda Schörnera, który chciał stworzyć w Czechach ostatnią redutę obrony przed bolszewikami. W tym czasie mający świadomość nadchodzącej klęski minister stanu SS-Obergruppenführer K.H. Frank postanowił podjąć działania w sprawie wysłania do aliantów zachodnich misji pokojowej, której celem byłoby wynegocjowanie jakiegoś porozumienia, dającego możliwość uznania rządu protektorackiego i zawarcia separatystycznego pokoju na zachodzie. Dzięki temu siły niemieckie w Protektoracie mogłyby prowadzić dalej działania wojenne przeciw Armii Czerwonej. Pomysł, choć teoretycznie słuszny, był kompletnie nierealny. Dlatego wydelegowany rządowy zespół negocjacyjny na czele z pełniącym od 19 stycznia 1945 r. funkcję premiera Richardem Bienertem powrócił po kilku dniach poszukiwań ewentualnych rozmówców do Pragi, nie nawiązawszy z nikim kontaktu.

5 maja 1945 r. wybuchło w stolicy powstanie. Premier został aresztowany przez rebeliantów, kiedy udawał się do radia, aby ogłosić koniec istnienia Protektoratu. Obok niego internowano kilku wyższych rangą polityków rządowych. Do walk po stronie powstańców przystąpiły oddziały czeskiej policji, żandarmerii oraz stacjonujący w Pradze batalion Vladnego Vojska (formacja wojskowa rządu Protektoratu). Z miasta ogarniętego rewoltą próbował wydostać się Emanuel Moravec. Podczas ucieczki w samochodzie, którym się przemieszczał, zabrakło benzyny. Kiedy kierowca wysiadł, by ją spróbować gdzieś znaleźć, wtedy obawiający się aresztowania przez powstańców pułkownik popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę. Do końca był wierny dokonanym przez siebie wyborom. Generał Radola Gajda wspominał, że dzień przed śmiercią Moravec powiedział mu: „Jestem na końcu swego życia. Oddałem się w służbę Niemcom i propagowałem nazizm… Swoją rolę odegrałem. Czeka mnie tylko śmierć. Byłem nazistą i zostaję nim i teraz. Niczego nie odwołuję i nie odwołam".

Po czterech dniach walk, dzięki wsparciu 1. Dywizji KONR (jednostka armii Andrieja Własowa podporządkowana Komitetowi Wyzwolenia Narodów Rosji) dowodzonej przez gen. Siergieja Buniaczenkę i zawartemu porozumieniu z Niemcami, którzy zdecydowali się opuścić Pragę, powstańcom udało się doczekać wkroczenia do Pragi wojsk sowieckich. Protektorat Rzeszy dla Czech i Moraw przestał istnieć, a swój polityczny żywot rozpoczęła beneszowsko-komunistyczna Czechosłowacja (zakończyła swe funkcjonowanie w wyniku komunistycznego zamachu stanu dokonanego w lutym 1948 r.). W czasie jej trwania w ramach politycznej wendety przed sądami republiki postawiono i skazano wielu ministrów protektorackiego rządu. Formułując końcową konkluzję dotyczącą kolaboracji czeskich władz protektoratu, należy stwierdzić, że władze te w trudnych warunkach działały na rzecz czeskich interesów narodowych, co przyczyniło się z pewnością do poniesienia przez naszych południowych sąsiadów w czasie wojny stosunkowo niewielkich strat biologicznych. Z żalem konstatuję, że Polska tak dalekowzrocznych przywódców nie miała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

Wojciech Kossak „Potyczka z kozakami”
FOT. DOMENA PUBLICZNA

1914–1944 / „Oster”, „Tatar”, „Witeź”, Klepacz i inni

Oficerowie Beliny

Marek Gałęzowski

Walczyli od Legionów przez wojnę z bolszewikami i kampanię wrześniową do Powstania Warszawskiego

„Raduje się serce, raduje się dusza, / Gdy Pierwsza Kadrowa na wojenkę rusza...” – tę jedną z najsłynniejszych piosenek legionowych, pierwszą chyba spośród powstałych w chwili rozpoczęcia walk o niepodległość w sierpniu 1914 r., ułożył Tadeusz Ostrowski „Oster”. Dziewiętnastoletni autor pochodził z Warszawy i – jak relacjonował Michał T. Brzęk-Osiński – z powodu niskiego wzrostu i krótkich nóg maszerował na końcu kolumny słynnej kompanii kadrowej, której wkroczenie do Królestwa Polskiego 6 sierpnia 1914 r. zapoczątkowało walkę o niepodległość z zaborcą rosyjskim.

Ostrowski, chociaż nie był pierwszy w marszu, jednak zaznaczył swoją obecność w kompanii piosenką, która „tak się podobała, że wnet śpiewała ją cała kompania i stała się ulubioną Kadrówki”. A z czasem jedną z najbardziej znanych i śpiewanych do dziś piosenek legionowych. Sam Ostrowski nie zagrzał jednak długo miejsca w piechocie. W październiku 1914 r. przeszedł do powstałego właśnie szwadronu Władysława Beliny-Prażmowskiego. Pierwszy od czasów powstania styczniowego oddział polskiej kawalerii po kilku miesiącach został przekształcony w pułk ułanów. Dał on Polsce wielu znakomitych oficerów.

„Oster”

Jakie były dalsze losy autora „Pierwszej kadrowej”? W czasie wołyńskiej kampanii Legionów z odwagą prowadził patrole uprzykrzające życie Moskalom. 13 marca 1916 r. ze swoimi ułanami wpadł jednak w zasadzkę w Żydowskim Lesie pod Garnikiem nad Wiesiołuchą na Wołyniu. Wspominał Brzęk-Osiński: „Od pierwszej salwy, jaką zostali powitani, padł Bejgrowicz, a potem Kasprzykowski. Wycofywanie się kolegów, unoszących rannego Bejgrowicza, osłaniali »Oster« i Sałaciński. A potem już tylko »Oster«. Bronił się bohatersko, bijąc na trzy kroki do osaczających go Rosjan, ostatnią zaś kulę przeznaczył dla siebie. Dzięki jego poświęceniu niosący Bejgrowicza wyszli z okrążenia, dotarli do placówki i zaalarmowali ją. Natychmiast wyruszyła odsiecz, do której i ja należałem. Rosjanie już się z Kępy wycofali. Znaleźliśmy zwłoki Sałacińskiego, dobitego widać kolbami, po »Osterze« tylko guzik od munduru, a po Kasprzykowskim ani śladu. Szukając dalej, doszliśmy do wspomnianych wyżej stogów siana. I już mieliśmy je minąć, kiedy w ostatniej chwili spostrzegłem, że z jednego wystaje ręka z rozcapierzonymi palcami. Podbiegam, rozgrzebuję siano i odkrywam ciężko rannego, nieprzytomnego Konrada Kasprzykowskiego [...]. Niestety, zaraz uleciały z niego resztki życia. Bejgrowicz zaś zmarł w szpitalu”.

Gustaw Orlicz-Dreszer, także beliniak, w specjalnym rozkazie napisał wówczas:

eprasa.pl 0d139574de

Konstanty Abłamowicz „Abdank" i Tadeusz Ostrowski „Oster" FOT.WIKIPEDIA

„Niech pamięć ich rycerskich postaci i ofiarnego bohaterstwa wzmoże nasz zacięty upór w tworzeniu, wbrew wszelkim przeszkodom, silnego fizyczne i moralnie wojska polskiego, tej podwaliny bytu narodu, rwącego się do życia bez kajdan i kagańca. [...] Cześć i chwała niech otoczą drogich bohaterów naszych, z ofiarną postacią wachm. Ostrowskiego na czele". W 1917 r. szczątki żołnierzy tego patrolu ekshumowano z mogiły wołyńskiej i pochowano na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

„Oster" – „bohaterski i rycerski" – jak wspominał go inny kadrowiak, który też przeszedł do pułku Beliny, Stanisław Skotnicki „Grzmot", został pośmiertnie mianowany podporucznikiem i odznaczony Virtuti Militari. Był jednym z sześciu oficerów 1. Pułku Ułanów, który nie doczekał Niepodległej. Pięciu poległo w walkach z Rosjanami, szósty, Ludwik Klucznik, ciężko chory na gruźlicę, nie mogąc służyć w polu, popełnił samobójstwo.

A wspomniany gen. Skotnicki, który wzorem wielu innych oficerów legionowych przybrał sobie ówczesny pseudonim do nazwiska? Nie mniej bohaterski i rycerski niż „Oster", poległ jako jeden z czterech polskich generałów we wrześniu 1939 r., w bitwie nad Bzurą, dowodząc Pomorską Brygadą Kawalerii.

„Tatar" i „Witeź"

Starszy od Ostrowskiego o 11 lat Konstanty Abłamowicz nieprzypadkowo używał pseudonimu wskazującego na pochodzenie jego przodków, przybyłych gdzieś w czasach akcji Sienkiewiczowskiej epopei na ziemie wschodnie Rzeczypospolitej. Jako uczeń przeszedł przez młodzieżową konspirację carskich czasów – był w socjalistycznym „Promieniu" i w bliskim anarchistom PPS „Proletariat" (tzw. III Proletariat). W czasie rewolucji 1905 r. aresztowany, więziony w Cytadeli i w Krestach w Petersburgu, został zesłany do guberni ołonieckiej. Zdołał zbiec i dotrzeć do Francji, szybko jednak wrócił do kraju, oczywiście nie pod panowanie rosyjskie. Osiadł w Krakowie, gdzie włączył się w działalność „Strzelca".

Po wybuchu wojny znalazł się wśród pierwszych 20 ułanów Beliny. Na początku września 1914 r., wraz z Zygmuntem Bończą-Karwackim, który wkrótce porzucił ułanów i przeszedł do piechoty (poległ później na Wołyniu jako oficer I Brygady), Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, Ludwikiem Kmicicem-Skrzyńskim i jedynym w tym gronie, któremu bliższa była konfraternia pisarska – autorem „Dziejów jednego pocisku" Andrzejem Strugiem, przegnawszy rosyjskich dragonów, opanował Końskie. Potem były wszystkie boje Legionów, awans oficerski, a w końcu – internowanie w Beniaminowie. 10 listopada 1918 r. to Abłamowicz był jednym z kilku legionistów, którzy witali na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie zwolnionego z Magdeburga Józefa Piłsudskiego.

W pierwszych latach powojennych Abłamowicza skierowano do Estonii, gdzie pełnił funkcję attaché wojskowego w poselstwie polskim. W raportach, które wysyłał do Warszawy, znajdowały się informacje o Armii Czerwonej, jak również o rozmiarach tranzytu sowieckiego przez Tallin, przekazane przez sztab armii estońskiej. Sam attaché był zwolennikiem bliskiej współpracy między Polską a Estonią. Wróciwszy do kraju, ponownie służył w kawalerii, m.in. w nowo powstałym Korpusie Ochrony Pogranicza i jako dowódca 11. Pułku Ułanów. W 1930 r. przeniesiono go w stan spoczynku. Pracował później w różnych instytucjach gospodarczych w Łodzi, m.in. Monopolu Tytoniowym, i jako wicedyrektor Zjednoczonych Zakładów Włókienniczych Scheibler i Grohman.

Podczas okupacji niemieckiej mieszkał Warszawie. Początkowo ze swoim kolegą z pułku Beliny płk. Stanisławem Klepaczem należał do czołowych działaczy pionu wojskowego Związku Powstańców Niepodległościowych, organizacji podziemnej powstałej w środowisku dawnych powstańców śląskich (w kwietniu 1940 r. przemianowanej na Kadrę Polski Niepodległej). W pierwszej połowie 1942 r., zapewne w chwili mianowania płk. Klepacza komendantem głównym tej organizacji, objął stanowisko jej szefa sztabu. Po usunięciu Klepacza z funkcji komendanta (o czym dalej) Abłamowicz również odszedł z KPN.

Wstąpił do AK, a równocześnie związał się z piłsudczykowską konspiracją polityczną. Wszedł do Rady Naczelnej Obozu Polski Walczącej i objął kierownictwo Wydziału Gospodarczego OPW, na co wpłynęło jego doświadczenie zawodowe z lat 30. Przypuszczalnie był także członkiem redakcji pisma konspiracyjnego OPW „Polska Gospodarcza".

12 kwietnia 1944 r. został aresztowany w mieszkaniu przy ul. Grójeckiej 34. A wraz z nim mjr Mieczysław Karski. Znali się – jakżeby inaczej – z pułku Beliny. „Witeź" – takiego bowiem pseudonimu używał niegdyś Karski – wstąpił do niego nawet wcześniej, jako 10. w kolejności ułan. Przeszedł wszystkie boje legionowe. Ponieważ zakończył je z trwałym urazem nogi, w czasie wojny z bolszewikami pełnił funkcje sztabowe, a po jej zakończeniu musiał przejść w stan spoczynku. W czasie okupacji niemieckiej był, tak jak Abłamowicz i Klepacz, w AK i w OPW.

Obu oficerów uwięziono na Pawiaku. Nie wiadomo, czy aresztowanie to miało związek z zatrzymaniem wówczas przez gestapo grupy osób związanych z „Polską Gospodarczą" czy z działalnością w AK. Wiadomo, że nie pociągnęło za sobą żadnych innych konsekwencji wobec podziemia. Miesiąc później Niemcy rozstrzelali obu oficerów w ruinach getta warszawskiego.

Pułkownik Klepacz

Więcej szczęścia miał wspomniany już kolega Abłamowicza i Karskiego, płk Stanisław Klepacz. Urodzony w 1888 r.,

eprasa.pl 0d139574de

Obraz Antoniego Trzeszczkowskiego pt. „Ułani w zimowym lesie” FOT. DESA

jako gimnazjalista należał do Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej „Filarecja”, a później Polskiej Partii Socjalistycznej (Frakcji Rewolucyjnej). Aresztowany w 1909 r. przez Rosjan, przeszedł przez carskie więzienia w Warszawie, m.in. na Pawiaku, po czym został wydalony z zaboru rosyjskiego. Krótko przed wybuchem wojny wyjechał na studia do belgijskiego Liège, gdzie działał w „Strzelcu”, m.in. wraz ze wspomnianym już „Witeziem” Karskim. Kiedy kilka miesięcy później w zaborze austriackim zaczęto formować Legiony, belgijski oddział polskich strzelców, pokonując liczne przeszkody, dotarł szczęśliwie do Krakowa. Klepacz służył początkowo w piechocie i wziął udział w bitwie pod Łowczówkiem, ale w lutym 1915 r. został przeniesiony do Beliny i przeszedł cały szlak bojowy pułku, a po kryzysie przysięgowym został internowany w Szczypiornie.

W czasie wojny z bolszewikami służył w 7. Pułku Ułanów Lubelskich. Wielokrotnie odznaczył się odwagą, m.in. w czasie odwrotu spod Równego. Odparł wówczas wiele ataków bolszewickich, za co odznaczono go Orderem Virtuti Militari: „Gdy koło wsi Horów jeden ze szwadronów 7-ego puł. został otoczony przez przeważającą liczbę kozaków, rtm. Klepacz z jednym plutonem uderza w konnym szyku na nieprzyjaciela, zabija własnoręcznie d-cę nplskiego szwadronu, wprowadzając zamęt w jego szeregach i zmuszając npl do szybkiego odwrotu”.

W czasie ofensywy przeciw Armii Czerwonej we wrześniu 1920 r. w jednym z bojów „prawe skrzydło szwadronu, prowadzone przez rtm. S. Klepacza, na skutek otrzymania ognia od strony mostu, kontynuowało szarżę w tym kierunku, rozbiło obsadę przyczółka mostowego i wzięło ok. 130 jeńców ze 186. PP, w tym szefa sztabu 21. Dyw. Sow. oraz 3 km”. Tak pisano w „Księdze Dziejów 7. Pułku Ułanów”. Te z kolei boje dały Klepaczowi trzykrotny Krzyż Walecznych.

Po wojnie pozostał w kawalerii, z czasem awansując do stopnia pułkownika, w latach 30. dowodził 11. Pułkiem Ułanów w Ciechanowie. Pisał o nim inny beliniak, gen. Wieniawa-Długoszowski: „Porządny, prawy, stateczny człowiek, wartościowy dla swego obywatelskiego stosunku do służby wojskowej. Rozumny i inteligentny, posiadający dość rozległy zasób zainteresowań. Wychowawca troskliwy i sumienny [...]. Doświadczony i pewny dowódca pułku”.

Rok przed wybuchem wojny płk Klepacz przeszedł w stan spoczynku. Ale po agresji Niemiec na Polskę natychmiast zgłosił się do służby. Organizował oddziały ochotnicze we Włodzimierzu Wołyńskim, pod koniec kampanii bił się z Niemcami pod Rawą Ruską, w drodze do granicy węgierskiej. Nie udało się jej osiągnąć – zdołał jednak uniknąć niewoli niemieckiej, a później Armii Czerwonej, gdy z garstką żołnierzy przebił się przez sowieckie okrążenie w rejonie Krasnobrodu, by w połowie października 1939 r. wrócić do Warszawy.

Przystąpił do konspiracji. Przez pierwsze lata, wraz z ppłk. Abłamowiczem, był w Kadrze Polski Niepodległej, a w maju 1942 r. został jej komendantem głównym. Dążył do scalenia KPN z Armią Krajową i w lutym następnego roku podporządkował ją dowódcy AK. Wówczas władze polityczne KPN, najwyraźniej sprzyjające już komunistom, odmówiły scalenia i odwołały Klepacza ze stanowiska komendanta. W reakcji na to KG AK wydała rozkaz o rozwiązaniu KPN, w wyniku czego organizację opuścili ostatni oficerowie zawodowi. Sam Klepacz wstąpił do AK, działał również w politycznej konspiracji piłsudczyków – wspomnianym już OPW.

W maju 1944 r. został aresztowany przez gestapo i po 35 latach ponownie znalazł się na Pawiaku. Był świadkiem wyprowadzenia na śmierć ppłk. Abłamowicza i mjr. Karskiego. Sam został zwolniony w przededniu wybuchu powstania wraz z kilkudziesięcioosobową grupą więźniów. Chwilę później znów był w służbie. Od 1 sierpnia 1944 r. dowodził posterunkiem ochrony w fabryce Kamlera na Woli, gdzie zebrała się Komenda Główna AK. Później przydzielono go do Grupy „Północ”, broniącej Starego Miasta. W ostatnich dniach bitwy o Starówkę został zastępcą dowódcy grupy płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego”.

W planowanym na noc z 30 na 31 sierpnia przebiciu się oddziałów Starówki do Śródmieścia stary pułkownik miał dowodzić kolumną żołnierzy nieuzbrojonych i lekko rannych, idącą za drugim rzutem kolumny szturmowej mjr. Gustawa Billewicza „Sosny” i ppłk. Jana Mazurkiewicza „Radosława”. Około godz. 23 płk Klepacz zgromadził podległych sobie żołnierzy przy pl. Krasińskich i pobliskich ulicach. Tam wkrótce okazało się, że o przebiciu do Śródmieścia nie ma mowy. Pozostawały kanały, którymi Klepacz przeszedł w nocy z 1 na 2 września. W Śródmieściu objął funkcję zastępcy komendanta obwodu i chociaż został ranny, nie opuścił służby. Za udział w Powstaniu Warszawskim jego mundur ozdobił kolejny już Krzyż Walecznych, a jego dowódca, również legionista, płk Edward Pfeiffer, wiele lat później pisał na wieść o śmierci pułkownika na uchodźstwie w Stanach Zjednoczonych: „Żywo stać nam będzie w pamięci Jego znana pogoda ducha i hart w najtrudniejszych okazywany chwilach, do których z pewnością zaliczyć należy okres powstania w 1944 r. w Warszawie”.

Taki dawał przykład ten beliniak, który zaledwie rok wcześniej stracił 20-letniego syna Juliusza, podchorążego AK, uczestnika wielu akcji konspiracyjnych. Zmarł on tragicznie pod Klembowem, zagrożony aresztowaniem przez Niemców.

Wymienionych bohaterów wspominamy w chwili, gdy mija właśnie ostatni rok z serii setnych rocznic, związanych ze zmaganiami o niepodległość i granice państwa polskiego w latach 1914–1921. Zaczęła te boje garść strzelców pod komendą Józefa Piłsudskiego, a zakończyło siedem lat później Wojsko Polskie niepodległej Rzeczypospolitej – z udziałem oficerów z legionowego pułku Beliny.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN, profesorem Uczelni Łazarskiego.

eprasa.pl 0d139574de

FOT. NAC.

Film / Michał Waszyński – tajemniczy człowiek sukcesu

Wielki Misza

Sławomir Koper

Był Polak, który w światowym filmie zrobił większą karierę niż Pola Negri. Jednak nie jako aktor, ale producent

Pośród grobów znanych włoskich kardynałów – relacjonował rzymski reporter – i obok arystokratycznych rodów, na cmentarzu Campo Verano w Rzymie, w zeszłym tygodniu miał miejsce niecodzienny pogrzeb. Książę Michał Waszyński, polski arystokrata na uchodźstwie i uznany twórca włoskiego przemysłu filmowego, złożony został do grobu. Był twórcą największych hollywoodzkich filmów wszech czasów".

Była to druga część uroczystości pogrzebowych producenta, który od czterech lat mieszkał w Madrycie i tam 20 lutego 1965 r. zmarł na atak serca. W stolicy Hiszpanii żegnali go najwyżsi dygnitarze państwowi, a uroczystości sprawiały wrażenie, jakby grzebano „świętego lub bohatera narodowego". Następnie ciało przewieziono do Rzymu, gdzie odbył się właściwy pogrzeb i producent spoczął w grobowcu zaprzyjaźnionej z nim rodziny Dickmannów. Pozostawił ogromny majątek, w którego skład wchodziły barokowy pałac i luksusowa willa w Rzymie, natomiast z ruchomości największe wrażenie wywierał samochód marki Rolls-Royce z klamkami ze złota i książęcymi herbami na drzwiach.

Konsekwentnie podawał się za polskiego arystokratę i był człowiekiem przyjmowanym przez papieża i kawalerem orderów elitarnych instytucji katolickich. A przy tym postacią pełną sprzeczności: samotnikiem z wyboru, a jednocześnie królem życia obracającym się wśród europejskich elit. Homoseksualistą z upodobaniami do znacznie młodszych mężczyzn i żarliwym katolikiem.

Z Kowla do Warszawy

Urodził się w 1904 r. jako Mosze Waks w ubogiej rodzinie żydowskiej w Kowlu, a po wyrzuceniu ze szkoły talmudycznej przeniósł się do Warszawy. W stolicy zaczynał od posady gońca, ważne jednak, że wiedział, dla kogo pracować – w niezobowiązujący sposób związał się z wytwórnią filmową Sfinks Aleksandra Hertza.

W 1929 r. wyreżyserował swój pierwszy film, a potem jego kariera nabrała przyspieszenia. Stał się ulubieńcem producentów i sponsorów, pracował bowiem szybko i tanio. Był autorem ponad 40 obrazów i nazywano go robotem filmowym. „Potrafił nakręcić w ciągu jednego sezonu siedem filmów – wspominał Kazimierz Krukowski. – Kiedy w pierwszym dniu zdjęciowym do filmu »ABC miłości« znalazłem się w atelier i kiedy mieliśmy przystąpić do zdjęć, blady jak płótno kierownik produkcji oświadczył drżącym głosem Waszyńskiemu:

– Nie możemy dziś kręcić, bo Hemar nie przysłał scenariusza…

Waszyński spojrzał na ustawione dekoracje, przygotowane aparaty do zdjęć, na ucharakteryzowanych aktorów i powiedział:

– Będziemy kręcić z pamięci, światło! Aktorzy na plan! Zaczynamy!".

Krytycy rwali sobie włosy z głów, ale producenci i publiczność byli zachwyceni. Waszyński był bowiem wszechstronny, kręcił kasowe komedie z Dymszą, ckliwe melodramaty („Znachor") i obrazy patriotyczne („Bohaterowie Sybiru"). Natomiast nakręcony w jidysz „Dybuk", powstały na bazie mistycznego dramatu Szymona Anskiego, zapewnił mu miejsce w każdym leksykonie czy podręczniku sztuki filmowej. Obraz spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem, a gdy w jednym z największych stołecznych kin rozpoczęto

eprasa.pl 0d139574de

wyświetlanie z polskimi napisami, przez trzy miesiące brakowało wolnych miejsc na seansach. Jeszcze większy sukces film odniósł za granicą, czego nie mógł zignorować minister propagandy III Rzeszy, Joseph Goebbels.

„Pokaz filmu »Dybuk« w wąskim gronie – mówił w jednym ze swoich przemówień – potwierdził słuszność mojego przekonania, że rasa żydowska jest najniebezpieczniejsza i że nie można jej okazywać słabości i współczucia. Tej hołoty trzeba się pozbyć raz i na zawsze".

Michał Waszyński i Audrey Hepburn

FOT. ITALOMANIA.ORG

Bratanek Trockiego

Po wybuchu wojny Misza, jak go nazywali przyjaciele, znalazł się we Lwowie, a następnie ewakuował się z armią Andersa. Przygotował kilka obrazów dokumentujących epopeję II Korpusu, a karierę w filmie polskim zakończył, kręcąc – już po wojnie – „Wielką drogę" i „Polish Parade".

Chociaż był jawnym homoseksualistą, to poślubił bogatą włoską hrabinę Marię Tarantini, która zresztą niebawem taktownie zmarła, pozostawiając mu ogromny majątek. Nakręcił jeszcze kilka filmów we Włoszech, ale swoje prawdziwe powołanie odnalazł jako producent i pośrednik pomiędzy Hollywood i Europą. Podawał się już wtedy za polskiego arystokratę i jak przystało na księcia, imponował nie tylko majątkiem, lecz także nieskazitelnymi manierami.

To właśnie dzięki niemu w „Rzymskich wakacjach" zadebiutowała Audrey Hepburn, a w gronie statystek do „Quo vadis" wypatrzył Sofię Loren. Natomiast przy kręceniu „Aleksandra Wielkiego" poznał człowieka, z którym związał swój los i wraz z nim stworzył największe dzieła filmu kostiumowego w historii kina.

Samuel Bronston (właściwie Bronstein) był bratankiem Lwa Trockiego, jednak w odróżnieniu od kuzyna stronił od polityki. Podczas rosyjskiej wojny domowej wyemigrował wraz z rodziną do Paryża, a potem przeniósł się do Los Angeles. Próbował – bez powodzenia – zrobić karierę w przemyśle filmowym. Jego sytuacja zmieniła się jednak, gdy spotkał Waszyńskiego mającego jasno sprecyzowane plany.

Producent miał liczne kontakty, dzięki czemu wspólnie zorganizowali legalną pralnię pieniędzy dla amerykańskiego koncernu chemicznego DuPont. Hiszpania gen. Franco importowała ropę z USA, ale mogła się za nią rozliczać wyłącznie w pesetach niewymienialnych na inne waluty. Bronston i Waszyński zaproponowali natomiast, by środki ze sprzedaży paliw przeznaczyć na produkcję filmów w Hiszpanii, a zyski czerpać z ich światowej dystrybucji. Odbywałoby się to już w walutach wymienialnych, co zapewniałoby koncernowi godziwy dochód, a filmowcom dostęp do ogromnych finansów i całkowitą swobodę artystyczną.

Oferta została przyjęta, a Pierre'owi S. du Pont III szczególnie odpowiadał fakt, że – zarabiając pieniądze – miał się stać ważnym sponsorem branży filmowej. Bardziej prozaiczne stanowisko reprezentowali jego podwładni, dla których liczyły się tylko finanse.

„Nie jesteśmy tutaj po to, by robić filmy – twierdził jeden z prawników koncernu. – To tylko pozór. Naszym właściwym zajęciem są manipulacje finansowe, a pozorem mogłoby być równie dobrze ziarno sojowe. Albo sznurowadła. Tak się złożyło, że są nim filmy".

Pierwszą produkcją miał być film o życiu Chrystusa. Taka tematyka zapewniłaby Waszyńskiemu i Bronstonowi poparcie ze strony zarówno reżimu gen. Franco, jak i papieża oraz hierarchii kościelnej. Było to genialne posunięcie.

Waszyński zawsze dbał o dobre stosunki z przedstawicielami Watykanu, a kontakty zaowocowały rodzajem legalizacji jego książęcych pretensji, gdyż otrzymał dyplom od Zakonu św. Jerzego z Antiochii potwierdzający jego arystokratyczne pochodzenie. Przy okazji obaj z Bronstonem nawiązali przyjazne kontakty z patriarchą Wenecji, Angelem Giuseppem Roncallim, który w październiku 1958 r. wstąpił na papieski tron jako Jan XXIII.

Nie pozostało to bez echa w ultrakatolickiej Hiszpanii i filmowcom udało się dojść do porozumienia z tamtejszym ministrem informacji i turystyki, Gabrielem Arias-Salgado. Waszyński oczarował go swoimi „książęcymi" manierami i Hiszpan uznał, że w przy filmie pracują nie tylko nieokrzesani Amerykanie, lecz także dżentelmeni o wysokich walorach etycznych.

Wielkie produkcje

Wspólnicy nie zaniedbywali żadnego szczegółu i zanim ruszyli na plan zdjęciowy „Króla królów", poprosili o audiencję u nowego papieża. Zgodę wyrażono niemal natychmiast i już w marcu 1960 r. scenariusz uzyskał błogosławieństwo Watykanu. Papieżowi szczególnie odpowiadało to, że winą za ukrzyżowanie Chrystusa obarczono Rzymian, a nie Żydów, co było zgodne z bieżącą polityką państwa kościelnego. Podobnie jak pojawiające się w filmie analogie między rzymską okupacją Judei a nazizmem.

Pomimo ogromnych wydatków film okazał się też sukcesem kasowym, co pozwoliło Bronstonowi i Waszyńskiemu zaplanować dalsze produkcje. Rada nadzorcza koncernu DuPont okazywała zadowolenie, ale największymi wygranymi okazały się hiszpańskie biura podróży. Duża w tym zasługa producentów, na każdym bowiem kroku podkreślali, że obraz powstawał na Półwyspie Iberyjskim i wyszczególniali każdą miejscowość, w której nakręcono choćby jedną scenę.

Oczywiście spotkało się to z dobrym przyjęciem hiszpańskiego rządu, gdyż turyści zostawiali za Pirenejami poważne pieniądze. Nie bez znaczenia był także fakt, że studio filmowe zatrudniało okolicznych mieszkańców, powstawały nowe miejsca pracy, a taki argument bywa mile widziany przez każdą władzę.

W tej sytuacji Waszyński i Bronston postanowili pójść za ciosem i nakręcić wysokobudżetowy film o tematyce szczególnie bliskiej Hiszpanom. Ich wybór padł na postać bohatera narodowego z czasów walk z Arabami – Rodriga Díaza de Vivarę, zwanego Cydem. Poza sukcesem finansowym obraz miał im przynieść także uznanie gen. Franco.

eprasa.pl 0d139574de

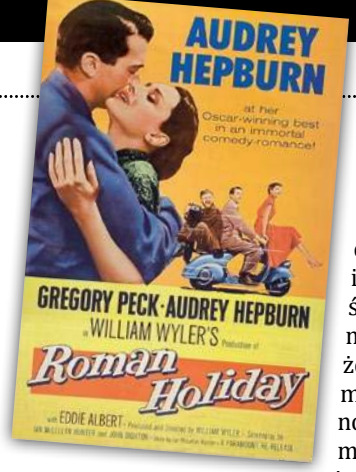

Ponad 2 tys. kostiumów przygotowano we Francji i Włoszech, z pietyzmem odtwarzano rekwizyty z epoki rekonkwisty. Szczególnie zwracał na to uwagę Waszyński zachowujący się w taki sposób, jakby „osobiście znał Cyda". Nic zatem dziwnego, że pierwotny budżet w wysokości 12 mln dol. (ok. 90 mln euro) został przekroczony. Jednak film okazał się kolejnym sukcesem – przyniósł 50 mln dol. przychodu w ciągu dwóch lat.

Misza jednak zawsze patrzył do przodu i już podczas prac nad „Cydem" zdecydował się na produkcję filmu o bardziej egzotycznym charakterze. Jego wybór padł na Chiny i powstanie bokserów, zatem główną scenerią miał być Pekin. Oczywiście podróż do Państwa Środka nie była konieczna – pod Madrytem wybudowano znaczny fragment Zakazanego Miasta w skali 1:1 (a przy okazji także fragment Wielkiego Muru). Co więcej, scenografia nie powstała z drewna, jak dotychczas praktykowano, lecz z kamienia i cegły. Dlatego też niektórzy twierdzili, że Zakazane Miasto Waszyńskiego kosztowało tyle samo co oryginał, ale wzniesiono je znacznie szybciej.

Misza zawsze upierał się, by „osiągnąć jak najwyższą jakość". Nie zamierzał „kupować tandety", meble w „stylu Ludwika XIV musiały być prawdziwe, a jedwab naturalny". Nie wyobrażał sobie, by w jego filmie miały się pojawiać imitacje, dlatego nawet krzesła polecił pokryć 24-karatowym złotem…

Premiera „55 dni w Pekinie" odbyła się z wielką pompą w Londynie. Zaszczycili ją swoją obecnością królowa Elżbieta II, książę małżonek Filip oraz naczelny dowódca sił zbrojnych Wielkiej Brytanii, lord Mountbatten. Twórcy filmu zostali przedstawieni rodzinie królewskiej, co sprawiło, że „Waszyński był w siódmym niebie" i „miał wrażenie, że sięgnął gwiazd".

Dobrze przedstawiały się także sprawy finansowe – film zwrócił się w dość krótkim czasie i rokował zyski na przyszłość. Od tej chwili już tylko niespodziewany kataklizm mógłby ograniczyć ambicje Bronstona i Waszyńskiego, którzy po „55 dniach w Pekinie" stali się najbardziej znaczącymi producentami na świecie.

Waszyński osiągał coraz większe sukcesy i brylował w eleganckim świecie, ale czasami można było odnieść wrażenie, że w ten sposób maskował swoją samotność. Wprawdzie w Rzymie miał wielu przyjaciół, jednak swojego sekretarza uczył polskiego i zawsze serdecznie witał Polaków odwiedzających Wieczne Miasto. Nie potrafił też się uporać z prześladującymi go demonami.

„Czasami Waszyński był trochę dziwny – zwierzał się po latach jego kierowca – i nie mogłem go zrozumieć. Na przykład jeździliśmy po całym Rzymie od kina do kina, z Cinecittà do archiwum filmowego. Cały czas powtarzał: szukamy dybuka, szukamy dybuka. Powtarzał to obsesyjnie. Myślę, że to było coś z przeszłości, co do niego powracało i nie dawało mu spokoju".

Zmierzch bogów

Następnie przyszedł czas na „Upadek Cesarstwa Rzymskiego" i pod Madrytem powstało Forum Romanum złożone z 27 budowli i 350 posągów. Również te dekoracje wzniesiono z prawdziwych materiałów, tak jakby Misza chciał przebić rzymskich cesarzy. Nawet jego świątynia Jowisza miała wysokość 50 m, czyli nieco więcej niż oryginał. Budżet wyniósł 22 mln dol. (ok. 157 mln euro), chociaż można znaleźć informacje, że wydatki zbliżyły się nawet do kwoty 28 mln. Bez wątpienia był to drugi pod względem kosztów film w dziejach kina, więcej pochłonęła tylko produkcja „Kleopatry".

W tym czasie Waszyński był u szczytu powodzenia. Zamożny i sławny, wydawał się prawdziwym królem życia, człowiekiem, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. Podobno w Rzymie żył ze swoim sekretarzem, jednak nie ograniczał się do jednego partnera. Przez jego pałac „przewijało się wielu młodych chłopców", których „kolekcjonował", ale „nie przywiązywał się do nich".

„Był tutaj szefem produkcji – wspominał jeden ze statystów – i lubił zaglądać do przebieralni, gdzie byli młodzi mężczyźni. Mówiło się »uważaj na Waszyńskiego, żeby cię nie porwał na pole«. Chował się za zasłoną i czekał na młodych mężczyzn. Pewnie chciał na nich popatrzeć. […] Ale pewny jestem, że nikogo nie skrzywdził. Ale zawsze kręcił się przy przebieralniach młodych mężczyzn".

Jego chrześnica, Michaela Dickmann, opowiadała jednak, że Misza lgnął do życia rodzinnego przyjaciół. Bawił się z dziewczynką w chowanego, poświęcał jej dużo czasu. Zachowywał się tak, jakby potrzebował dziecięcej, bezinteresownej miłości i czegoś, czego nie można kupić za pieniądze.

W Madrycie stał się gorliwym katolikiem i to nie na pokaz, jak Bronston. Ten wprawdzie dostał od papieża Wielki Krzyż Zasługi Zakonu Rycerskiego Grobu Bożego w Jerozolimie, ale jednocześnie dyskretnie organizował obchody żydowskich świąt dla współpracowników. Waszyński poszedł jednak inną drogą – skoro bowiem odrzucił tradycję swojego narodu, to uznał, że tylko katolicyzm może wypełnić pustkę w jego duszy.

Śmierć przyszła po niego niespodziewanie – podczas obiadu w ekskluzywnym Jockey Clubie w Madrycie. Na przystawkę zamówił trufle i zaraz potem doznał ataku serca i upadł twarzą w talerz z grzybami. Gdyby mógł wyreżyserować własną śmierć, zapewne nic by nie zmienił. Było to bowiem symboliczne zakończenie życia człowieka sukcesu.

Jego rzymscy i madryccy przyjaciele zachowali o nim jak najlepsze wspomnienia i do dziś uważają go za polskiego księcia i prawdziwego człowieka renesansu. Nie chcą też przyjąć prawdy o ubogim żydowskim chłopcu z Kowla, który podbił świat filmu. I żadne dokumenty nie potrafią ich zmusić do zmiany zdania…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

S. Blumenfeld, „Człowiek, który chciał być księciem", Warszawa 2008;
„Książę i dybuk", reż. E. Niewiera, P. Rosołowski, TVP 2017;
K. Krukowski, „Moja warszawka", Warszawa 1958.

SŁAWOMIR KOPER
„BLASKI I CIENIE II RZECZYPOSPOLITEJ. SENSACJE, CELEBRYCI, SKANDALE"
HARDE WYDAWNICTWO

eprasa.pl 0d139574de

75 lat temu / Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia

Żołnierze 2. Warszawskiej Dywizji Pancernej maszerują ze swoimi bagażami do portu w Leith FOT. NAC

Tułacze bez powrotu

Maciej Rosalak

Z kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy, którzy wyszli z Rosji sowieckiej pod rozkazami gen. Andersa, zgłosiło się na wyjazd do skomunizowanej Polski zaledwie 310...

Większość żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych pozostała na Zachodzie po zakończeniu wojny. Musieli zdawać kolejny egzamin w swoim trudnym życiu i próbę tę przeszli na ogół pomyślnie. Wraz z katastrofalnym dla Polski i Polaków zakończeniem wojny z bohaterskich żołnierzy wiernego sojusznika przeistoczyli się w rozbitków życiowych, niechcianych przez część Brytyjczyków, często szykanowanych, bez pracy i zawodu. Powrotu do skomunizowanej ojczyzny na ogół nie chcieli, a wielu z nich wracać po prostu nie miało gdzie, bo ich ojczyzna na Kresach została zagrabiona przez Sowietów.

Podjęcie pracy uniemożliwiały im bariera językowa lub brak odpowiedniego fachu. Dotyczyło to zarówno młodych, prostych żołnierzy ze wsi, jak i starszych wiekiem oficerów wysokiej rangi, którzy jednak niczym innym poza służbą wojskową dotąd się nie zajmowali. Większość wstąpiła jednak do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (Polish Resettlement Corps), ochotniczej formacji, utworzonej przez władze brytyjskie na przełomie sierpnia i września 1946 r., i z czasem stanęła na nogi.

Z kategorii B do A

Prawo wstępowania do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia przyznano żołnierzom służącym w PSZ przed 1 czerwca 1945 r., a więc nie obejmowało ono np. wielu jeńców wojennych z 1939 r. i z Armii Krajowej, którzy znaleźli się po wojnie na Zachodzie, ale nie zdążyli przed końcem maja wstąpić do polskiego wojska. PKPiR miał umożliwić demobilizację polskich wojsk podległych – formalnie nieuznawanym przez aliantów od lipca 1945 r. – władzom RP na uchodźstwie. Liczba żołnierzy w tym korpusie (podczas całego okresu jego istnienia) szacowana jest na ponad 120 tys.

Umieszczono ich w 265 obiektach do niedawna służących armii brytyjskiej. Funkcjonowały na zasadzie obozów wojskowych, tworząc grupy dywizyjne, brygadowe i oddziałowe pod komendą polskich oficerów. Jedynie głównodowodzącym PKPiR był generał brytyjski Gwilym Ivor Thomas, ale już inspektorem generalnym – gen. Stanisław Kopański.

Każdy z żołnierzy PKPiR mógł w dowolnym terminie wrócić do Polski lub emigrować do innych krajów, zaciągnąć się do armii brytyjskiej, a także podjąć pracę zawodową według obowiązujących w Wielkiej Brytanii regulacji prawnych. Odbywało się to na dwa sposoby.

eprasa.pl 0d139574de

Na zasadzie tzw. wypożyczenia żołnierz nadal otrzymywał żołd, ale okresowo był kierowany do takich gałęzi gospodarki, w których brakowało rąk do pracy. Drugi sposób polegał na otrzymaniu stałej pracy i odejściu z Korpusu. System ów się sprawdzał. Z wolna żołnierze odchodzili do życia w cywilu i znajdowali sobie miejsce na obcej ziemi, która okazać się miała ich nową ojczyzną.

Pamiętajmy, że do końca października 1947 r. do Polski wróciło z Zachodu ok. 105 tys. Polaków, którzy na ogół nawet nie przewinęli się przez PKPiR. Natomiast spośród byłych żołnierzy PSZ z Wielkiej Brytanii najwięcej udało się w tym czasie do Francji (7221) i do Kanady (4757), która dość wcześnie otworzyła granice dla Polaków. Do Włoch (2431) jechali często małżonkowie, byli żołnierze 2. Korpusu, których żon nie chciała jeszcze wtedy wpuścić Wielka Brytania. Argentyna przyjęła 1984 polskich tułaczy – najwięcej spośród krajów Ameryki Południowej, które jeszcze nie kwapiły się do przyjmowania Polaków (np. w Brazylii zameldowało się ich dopiero 422). Jeszcze zresztą bardziej nieprzychylne polskiej imigracji były tuż po wojnie USA (przybyło tam 215). Natomiast do Holandii pojechało 1956 rodaków; ilu do żon we wdzięcznej maczkowcom Bredzie – nie wiemy. Uderza spora liczba tych, którzy wybrali Niemcy (1769). Do Australii zdecydowało się udać 302 (m.in. karpatczycy spod Tobruku) i 210 do Nowej Zelandii. Liczby Polaków, którzy pojechali do innych krajów, nie wymieniam, bo nie przekraczają dwóch cyfr (dane według: Jakub Żak, „Nie walczyli dla siebie. Powojenna odyseja 2. Korpusu Polskiego”).

W 1947 r. w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia pozostawało 71 tys., w 1948 r. – 32 tys., a w 1949 r. – 11 tys. osób, z których większość stanowili starsi wiekiem oficerowie. Rozwiązanie PKPiR nastąpiło 30 września 1949 r., ale ostatnie kontrakty skończyły się rok później.

Niektórzy wyjeżdżali do kolonii brytyjskich w Afryce, gdzie po opuszczeniu ZSRS przebywali ich bliscy. W latach 1942–1944 osiedlono tam – zgodnie z umową między rządami Wielkiej Brytanii i Polski – 18 tys. polskiej ludności cywilnej (16 tys. stanowiły kobiety i dzieci, a 2 tys. starsi mężczyźni niezdolni do służby wojskowej). Wyjazdy z Afryki zaczęły się pod koniec 1947 r. W transportach morskich i lotniczych przewieziono do listopada 11 tys. osób, z których 2 tys. pojechało dalej – do skomunizowanej Polski. Ci, którzy pozostali w Afryce, opuszczali ją zwykle na początku lat 60., gdy władzę obejmowali przedstawiciele rdzennej ludności.

Głównodowodzący PKPiR – brytyjski generał Gwilym Ivor Thomas FOT. WIKIPEDIA

Inspektor generalny PKPiR – generał Stanisław Kopański FOT. WIKIEDPIA

W ciągu kilku następnych lat niemało Polaków – ku zadowoleniu rządu Jego Królewskiej Mości – opuściło zabiedzone po wojnie Wyspy Brytyjskie, przenosząc się do takich krajów Wspólnoty Brytyjskiej jak Kanada i Australia, gdzie potrzebowano przede wszystkim rolników. Władze kanadyjskie stosowały wtedy podział chętnych do imigracji na trzy kategorie: A – pożądani, B – tolerowani, C – niepożądani. Słowian, z Polakami włącznie, zakwalifikowano do kategorii B. Aby przekonać Kanadyjczyków do naszych rodaków, Brytyjczycy zaproponowali ich wymianę w proporcji 1:1 na jeńców niemieckich, których używano na terenie Kanady jako darmowej siły roboczej.

Znamy liczby byłych żołnierzy Andersa, których przyjęły poszczególne regiony: łącznie Nowy Brunszwik, Nowa Szkocja i Wyspa Świętego Edwarda – 251, Quebec – 486; Ontario – 2013; Manitoba – 539; Saskatchewan – 440. Na farmach pracowało 4384 Polaków, a 47 w innych działach gospodarki. Solidnie zapracowali oni na kategorię A. Minister pracy H. Mitchell oświadczył wkrótce, że „nie zna ruchu migracyjnego bardziej udanego niż przyjazd do Kanady polskich weteranów”. Kanada, zadowolona z Polaków, liberalizuje ustawę imigracyjną. Już w 1948 r. przyjmuje 25 244 Polaków. W latach 1946–1955 przybywa ich łącznie 80 529. To już nie tylko – i nie przeważnie – rolnicy. W składzie Polonii kanadyjskiej znalazło się więcej

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza

"THE POLISH DAILY & SOLDIER'S DAILY." 31st January, 1945.

Rok 2, Numer 27, Londyn, środa, 31 stycznia, 1945 r.

CENA 1 PENNY

W czasie walk ulicznych w Krakowie

Armia Krajowa współdziałała z wojskami sowieckimi

Wielkie natarcie Żukowa w Brandenburgii

Rosjanie o 60 mil od Szczecina

Depesza Roosevelta do Prezydenta R.P.

Roosevelt przeciwko rządom totalitarnym

inteligencji i specjalistów potrzebnych w przemyśle.

„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" zamieścił w czerwcu 1948 r. zawiadomienie Home Office, że przyjmuje podania o naturalizację byłych członków PSZ. Według ówczesnych oficjalnych danych 67 tys. Polaków znalazło zatrudnienie w Wielkiej Brytanii. 28 proc. z nich pracowało we własnych warsztatach, a pozostałe 72 proc. stanowiło siłę najemną w nowych zawodach.

Introligatorzy i elektronicy

Przykładem udanego przedsięwzięcia gospodarczego był warsztat introligatorski w Londynie, który powstał w 1948 r., a w następnym – pod kierownictwem Tadeusza Cieszkowskiego – zatrudniał już 10 osób, w tym kobietę, byłego żołnierza. Wszyscy mężczyźni byli polskimi oficerami, od poruczników do pułkownika. Zakład obsługiwał 16 londyńskich bibliotek naukowych i muzeum. Początkujący introligatorzy zarabiali od 4,10 funtów tygodniowo wzwyż, ale łatwo mogli osiągnąć 7 funtów, a specjaliści – zupełnie godziwą wtedy kwotę 10 funtów, jak pewien major, który świetnie nakładał złocenia.

Najczarniej przedstawiała się możliwość zatrudnienia inteligencji liczącej (według danych Zjednoczenia Polskiego) ok. 13 tys. – 10 tys. oficerów i 3 tys. szeregowych.

Około 3 tys. osób było niezdolnych do pracy fizycznej, lecz o wysokich kwalifikacjach zawodowych: 200 profesorów i docentów szkół akademickich, z których 30 proc. nie było zatrudnionych, pozostali zajmowali stanowiska wykładowców i instruktorów; 600 nauczycieli – z czego 20 proc. było zatrudnionych jako pedagodzy; 600 prawników i ekonomistów; 250 literatów i dziennikarzy; 500 inżynierów, agronomów i leśników. Ponad jedna trzecia z nich znała wystarczająco język angielski, dzięki czemu mogła skorzystać z usług Appointment Offices w znalezieniu pracy umysłowej. Tych, którzy odmawiali przyjęcia zaofiarowanej pracy, zwalniały z kontraktu PKPiR sądy rozjemcze tej instytucji, likwidowano kolejne obozy, redukowano administrację, przyspieszano zatrudnianie Polaków.

Opuszczenie obozu w Ayr przez żołnierzy 2. Warszawskiej Dywizji Pancernej. Przygotowanie do zmiany ubrań wojskowych na cywilne FOT. NAC

System szkoleń zawodowych miał kapitalne znaczenie dla żołnierzy pragnących podjąć pracę i urządzić się w życiu cywilnym. Do końca 1948 r. przeszkolono w PKPiR 2906 oficerów i 5487 szeregowych na kursach, które trwały od jednego miesiąca do sześciu. W PSZ przeszkolono przedtem ok. 8 tys. żołnierzy. Szkoły średnie techniczne ukończyło w PKPiR 410 osób. Gimnazja ogólnokształcące ukończyło 976 uczniów i uczennic, licealną maturę zdało 601. Opiekowano się studentami polskimi we Włoszech i kwalifikowano ich na stypendia. Intensywnie prowadzona nauka języka angielskiego dała ok. 4 tys. świadectw Lower Certificate Cambridge. Wyższy egzamin Proficiency zdało ok. 250 wojskowych. Sześciomiesięczny kurs języka hiszpańskiego ukończyło 1361 uczniów. Polskie Stowarzyszenie Edukacyjne (Polish Education Association, PEA) działało od 1947 do 1954 r. z pomocą brytyjskich agencji rządowych. PEA założyła i prowadziła sześć szkół z internatem, gdzie utalentowani uczniowie przygotowywali się do egzaminów na uniwersytet. Dwie z tych szkół, męska Fawley Court w Henley i żeńska Pitsford w Staffordshire, działały do końca wieku. Polski Uniwersytet na Obczyźnie nauczał po polsku, ale inne uczenie prowadziły wykłady po angielsku, aby ułatwić absolwentom przyszłą karierę. Należały do nich: Polska Szkoła Medycyny i Weterynarii w Edynburgu, Polski Wydział Prawa w Oksfordzie, Polska Szkoła Architektury w Liverpoolu oraz londyńska Uczelnia Inżynieryjna.

Ukończyli je i osiągnęli sukces zawodowy m.in. dr Ryszard Gabrielczyk, były junak 2. Korpusu, a później renomowany inżynier oraz prezes Macierzy Szkolnej; elektronik Zbigniew Siemaszko, autor głośnych wspomnień o armii Andersa, w której służył w ZSRS i Iranie oraz jako radiooperator po przeniesieniu do Wielkiej Brytanii. Z kolei Michał Giedroyc skończył w 1946 r. Junacką Szkołę Kadetów w Iranie, a po pięciu latach był już absolwentem inżynierii lotniczej i matematyki stosowanej Uniwersytetu Londyńskiego. Pracował jako specjalista w dziedzinie konstrukcji i eksploatacji samolotów, jak również – m.in. w Indiach – jako doradca do spraw planowania przemysłowego. Od roku 1979 mieszkał w Oksfordzie, gdzie został członkiem Oriel College, pierwszego, elitarnego kolegium oksfordzkiego, założonego w XIV w. przez króla Edwarda II. Opublikował kilka książek i wiele artykułów historycznych na łamach pism brytyjskich, amerykańskich, francuskich, włoskich, kanadyjskich i polskich. Pasjonowały go zwłaszcza dzieje średniowiecznej Litwy, czasy Trojdena i przyjmowania chrześcijaństwa, wielkie rody Rzeczypospolitej – szczególnie Wielkiego Księstwa Litewskiego – z rodem Giedroyciów oczywiście włącznie.

W rękach komuny

Smutny los czekał ok. 1000 żołnierzy PSZ, którzy – wiedzeni tęsknotą do ojczystych stron, rodzin i domów – wracali na tereny włączone do ZSRS. Z referatu dr. Marka Kondrackiego wygłoszonego w Klubie Historycznym im. gen. Stefana Roweckiego „Grota" (witryna internetowa IPN, 2010) wynika, że od razu po przyjeździe… „stawali się obiektem zabiegów ze strony NKWD. Zmuszano ich do pisania do kolegów, którzy pozostali we Włoszech, listów z zachętami do powrotu. Co ciekawe, mimo że na co dzień posługiwali się oni przeważnie językami polskim lub białoruskim, to listy z zachętami do powrotu pisane były głównie po rosyjsku, więc prawdopodobnie pod dyktando funkcjonariuszy NKWD". Mieli także „poza represjami bieżącymi, doświadczyć losu najtragiczniejszego. W nocy z 31 marca na 1 kwietnia 1951 r. wszyscy… zostali jednej nocy aresztowani przez NKWD i z rodzinami, bez dobytku, załadowani do wagonów i deportowani na Wschód. Tym razem wywiezionoich

eprasa.pl 0d139574de

Obóz PKPiR w Pickering FOT. NAC

Zakup cywilnych ubrań przez żołnierzy polskich opuszczających obóz FOT. NAC

do Irkuckiej Obłasti. Tam przebywali, w najlepszym razie, kilka lat. Po 1956 r. częściowo uzyskali prawo powrotu, ale z odzyskaniem dobytku było już bardzo różnie. Tak więc niektórzy odbyli podróż przez pół świata – z Polski, przez Syberię, Włochy i znowu na Syberię".

Środowiska PSZ na Zachodzie były agresywnie penetrowane z kolei przez wojskową bezpiekę krajowych władz komunistycznych. Ich wielkim sukcesem było zwerbowanie w Londynie wysokich oficerów: gen. Stanisława Tatara, ppłk. Mariana Utnika i płk. Stanisława Nowickiego, będących powiernikami Funduszu Obrony Narodowej, ustanowionymi przez Rząd RP na uchodźstwie. W czerwcu 1947 r. w ambasadzie władz warszawskich zdeponowali oni 10 metalowych skrzyń ze złotem FON. W lipcu złoto trafiło do kraju. W okresie od października 1947 r. do końca 1948 r. przekazywali stopniowo aktywa kontrolowanej przez siebie fundacji Drawa, powołanej wiosną 1945 r. przez władze RP: ponad 100 tys. dol. w banknotach, 27 tys. funtów w banknotach oraz 12 tys. dol. w złocie i pawie 2 tys. funtów w złocie. Co gorsze, przekazali oni także dokumenty, które posłużyły do rozpracowania politycznych agend rządu RP w kraju.

Jak pisał w „Szlaku nadziei" Norman Davies: „Od początku ustanowienia stosunków dyplomatycznych w okresie powojennym polski konsulat w Londynie był trzymany mocno w garści przez służbę bezpieczeństwa, a co za tym idzie sowieckie NKWD. Stał się siedliskiem szpiegów, zajmujących się śledzeniem życia wygnańców, oraz oficerów politycznych, których zadaniem było nie tylko głoszenie komunistycznej propagandy, ale również nękanie i zadręczanie mieszkańców obozów [PKPiR], które często odwiedzali". Tutaj Davies wymienia „podejrzane postacie w rodzaju Marcela Reicha-Ranickiego"… oraz Isaaka Deutschera, „prototypu nieżydowskiego Żyda". Ów były towarzysz z KPP święcił triumfy w brytyjskich lewackich kręgach. Przy każdej okazji ludzie ci oczerniali Andersa, podkreślali „patriotyzm" nowego reżimu w Polsce i zachęcali żołnierzy, by wrócili do ojczyzny. Świadczy o tym m.in. książka napisana przez Kazimierza Sidora, zatytułowana „W niewoli u Andersa".

Kazimierz Sidor (ur. 1915) od 1942 r. zajmował stanowiska dowódcze w Gwardii Ludowej i w aparacie Polskiej Partii Robotniczej na Lubelszczyźnie. W 1944 r. kilka miesięcy spędził w Moskwie wraz z delegacją Krajowej Rady Narodowej, po powrocie został mianowany w lipcu 1944 r. przez PKWN wojewodą lubelskim, a w ludowym Wojsku Polskim otrzymał stopień pułkownika. Jego siostra i szwagier byli funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa. W 1945 r. postawiono go na czele Polskiej Misji Wojskowej wysłanej do Włoch, aby kompromitować Polskie Siły Zbrojne i jak najwięcej ich żołnierzy sprowadzić do kraju. Korzystał przy tym ze wsparcia zarówno brytyjskich władz wojskowych, jak i krzykliwej propagandy włoskich komunistów, których organy prasowe, takie jak „Unità", regularnie oczerniały 2. Korpus, nazywając Polaków „faszystami" i „imperialistycznymi lokajami".

Jak pisze Norman Davies: „Członkowie Misji podczas spotkań w polskich obozach namawiali ludzi do powrotu… a umizgi ze strony członków Misji zderzały się z bolesnymi wspomnieniami realiów życia w Rosji. Mało kto myślał o powrocie do Polski, gdy rodzina i przyjaciele znajdowali się wciąż w Indiach lub Afryce. Na powrót zdecydowało się zaledwie 14 tys. ochotników, z których większość stanowili byli wcieleni wcześniej do Wehrmachtu Pomorzanie i Ślązacy. Wysłano ich do obozów przejściowych w Cervinara i Polisi koło Neapolu, skąd statkiem płynęli do Gdańska lub jechali koleją do Zebrzydowic. Wbrew obietnicom w Polsce czekało ich niezbyt przyjazne powitanie".

Istotnie, czekały ich szykany, inwigilacja, podejrzenia i oskarżenia o szpiegostwo, nierzadko więzienie, a nawet śmierć.

Podpułkownik Sidor i jego towarzysze nie próżnowali, o czym świadczy wspomniana liczba „14 tysięcy" tych, którzy zdecydowali się na wyjazd do ojczyzny rządzonej przez komunistów. Warto jednak przypomnieć, jak oceniał ów fakt gen. Anders: „Do końca 1945 r. z ogólnej liczby 112 tys. żołnierzy 2. Korpusu na powrót do Kraju zgłosiło się: z Korpusu – 3 oficerów i 4660 szeregowych, z Bazy – 4 oficerów i 9540 szeregowych... W bazie były uzupełnienia Korpusu, a więc żołnierz, który dopiero niedawno przybył i nie walczył… z ogólnej liczby 7 oficerów i 14 200 żołnierzy, którzy się zgłosili, przybyło do Korpusu przed ukończeniem wojny z Niemcami, tzn. przed 8 maja 1945 r., 5500 osób. Z tego 3800 żołnierzy nie brało udziału w walkach. Z żołnierzy, którzy wyszli z Rosji Sowieckiej i byli cały czas w Korpusie, zgłosiło się 310. Ta cyfra była najwymowniejsza".

Trzy ćwierćwiecza mijają od czasu, gdy żelazna kurtyna odgrodziła Polskę od powrotu wielu jej wartościowych, ideowych synów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

Mikołaj Iwanow

1919–1920 / W cieniu rewolucji i wojny z bolszewikami

Misja Karola Radka w Polsce

„Nie znam w kierownictwie partii bolszewickiej ani jednego towarzysza, który by popierał ideę odebrania Polsce niepodległości…” (z listu Radka do PPS)

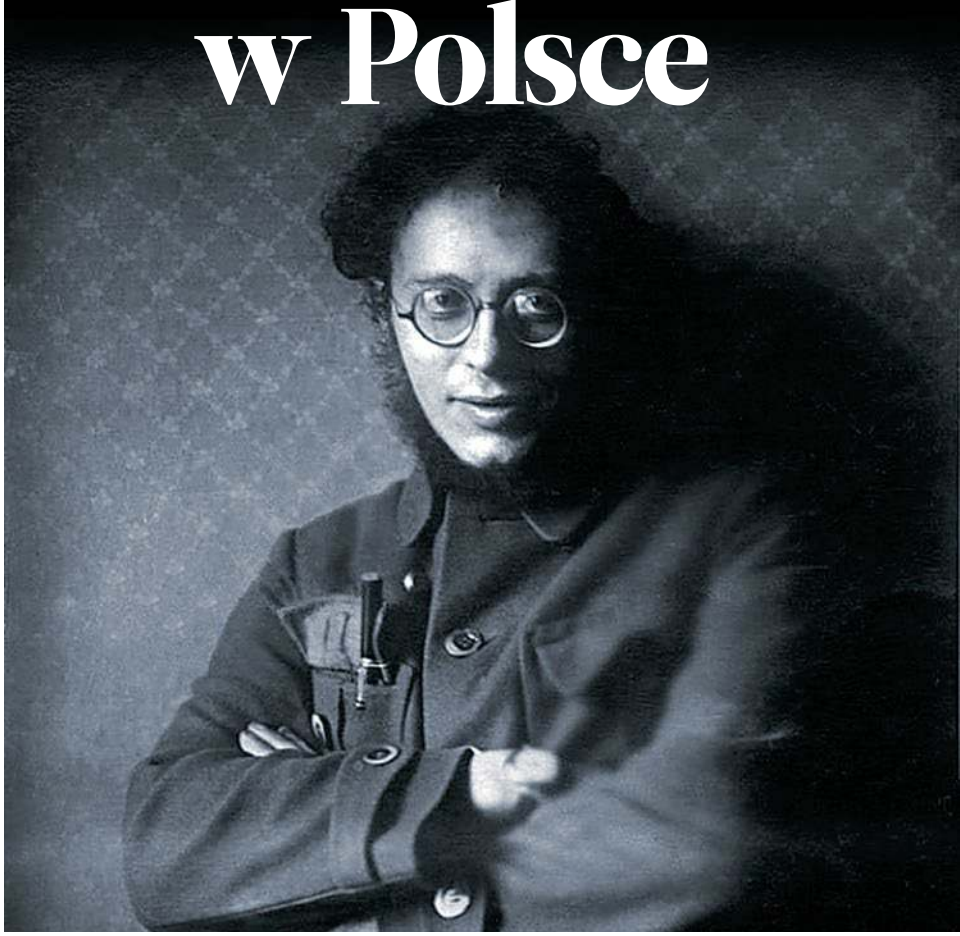

FOT. WIKIPEDIA

Po klęsce Niemiec w pierwszej wojnie światowej, późną jesienią 1918 r., kraj ten znalazł się na skraju przepaści. Miasta Rzeszy ogarnęła anarchia, która doprowadziła do tzw. listopadowej rewolucji. Lewe skrzydło niemieckiej socjaldemokracji i bolszewicki tzw. Sojusz Spartakusa tworzą Komunistyczną Partię Niemiec, która próbuje wzniecić w styczniu 1919 r. kolejne powstanie i powołać komunistyczne republiki w Berlinie, Monachium i Bremie. Jednym z organizatorów tego puczu był skierowany do Niemiec z Moskwy jeden z bliskich współpracowników Lenina – Karol Radek (prawdziwe nazwisko Karł Sobelson).

Ten pochodzący ze Lwowa polski Żyd był prawdopodobnie jednym z najzdolniejszych intelektualnie bolszewików. Władał swobodnie dziewięcioma językami europejskimi, był błyskotliwym mówcą, miał niewątpliwy talent literacki, ale jednocześnie był karierowiczem partyjnym pozbawionym wszelkich zasad moralnych. Lenin osobiście skierował Radka do Niemiec w celu koordynacji działań bolszewików z niemieckimi komunistami. Na Kremlu rosło przekonanie, że Niemcy będą drugim państwem w Europie, w którym zwyciężą komuniści.

Na początku stycznia 1919 r. usiłowano obalić w Berlinie rząd socjaldemokratyczny i po niespodziewanie łatwych pierwszych sukcesach liderzy KPN – Karl Liebknecht i Róża Luksemburg – zdecydowali się stanąć na czele powstania. Jednak 6 stycznia Karol Radek na posiedzeniu Komitetu Centralnego KPN stwierdził, że powstanie wybuchło za wcześnie, i w imieniu rosyjskich bolszewików nalegał na powstrzymanie działań zbrojnych w stolicy i wycofania się z walki o władzę.

Było już jednak za późno. Powstańcy opanowali redakcje czołowych gazet, siedziby policji, telegraf. Buł to sukces jedynie czasowy. Karl Liebknecht i Róża Luksemburg zapłacili za niego własnym życiem. Rozstrzelano również sekretarza generalnego KPN Leo Jogichesa. Aresztowano także Karola Radka. Oszczędzono go dlatego, że mógł on stać się bardzo cennym zakładnikiem w rozmowach z sowieckimi bolszewikami. Aresztowali oni kilka prominentnych osób narodowości niemieckiej, które miały być gwarancją ocalenia bolszewickiego wysłannika.

eprasa.pl 0d139574de

Radek przebywał w niemieckim więzieniu prawie cały rok. Był to raczej swoisty areszt domowy. Udostępniono mu służbowe mieszkanie jednego ze strażników więzienia Moabit w Berlini i pozwolono na nieformalne kontakty z niektórymi niemieckimi politykami oraz biznesmenami. Po aresztowaniu otrzymał bowiem od Lenina tytuł oficjalnego przedstawiciela rządu sowieckiego w Niemczech. Już 5 grudnia 1919 r. zostaje zwolniony z więzienia, ale podlega deportacji za działalność wywrotową przeciwko państwu niemieckiemu. Problem polega jedynie na tym, jak bezpiecznie deportować Radka.

Deportacja

W tym czasie bolszewicy prowadzili rozmowy pokojowe z delegacją odrodzonej Rzeczypospolitej w Mikaszewiczach na białoruskim Polesiu. Julian Marchlewski, szef delegacji sowieckiej, dogadał się wtedy poufnie z Polakami na przewiezienie Radka przez polskie terytorium do bolszewickiej Rosji. Piłsudski osobiście podjął decyzję o przetransportowanie Radka przez polskie terytorium. Przeprowadzenie operacji powierzono szefowi sekcji defensywy oddziału II Dowództwa Frontu Litewsko-Białoruskiego Ignacemu Boernerowi. Był to jeden z najbardziej oddanych osobiście Józefowi Piłsudskiemu oficerów „Pierwszej Kadrowej" i Legionów.

Radek miał podróżować pod nazwiskiem Adolf Braun. Ze względów bezpieczeństwa uczyniono jego przejazd przez Polskę jak najbardziej tajnym. Zrobiono to nie bez powodu. W grudniu 1918 r. grupa żandarmów eskortowała do Rosji bolszewicką misję Czerwonego Krzyża, z jednym z czołowych polskich komunistów Bronisławem Wesołowskim na czele. Jednak zamiast przekazania ich bolszewikom, po prostu zaprowadziła członków tej delegacji do lasu i bez rozkazu rozstrzelała (czworo zginęło, jeden ocalał). Spowodowało to kryzys w stosunkach polsko-bolszewickich, którego nie udało się przezwyciężyć nawet po skazaniu winnych zbrodni żandarmów przez sąd (wyroki od roku do dwóch lat).

Trasę przejazdu Radka ustalono następująco: Grajewo (stacja graniczna z Prusami Wschodnimi) – Brześć – Pińsk – Łuniniec. W Wilnie przygotowano specjalny wagon (jeden z dwóch w całym składzie) dla ważnego sowieckiego oficjela. Radek nie miał prawa wychodzić z wagonu i kontaktować z kimkolwiek poza kilkoma osobami z eskorty. Podczas podróży nie miał zamiaru odgrywać roli ubezwłasnowolnionego pasażera. Był dobrze poinformowany przez Moskwę o toczących się w Mikaszewiczach rozmowach i prawdopodobnie miał wesprzeć wysiłki sowieckiej delegacji ku osiągnięciu porozumienia z Polską.

18 stycznia 1920 r. Niemcy na stacji granicznej Grajewo za pokwitowaniem przekazali Karola Radka kapitanowi Ignacemu Boernerowi. Na czele polskiej eskorty stał ppor. Józef Jasiński, osobiście odpowiadał za bezpieczeństwo bolszewickiego pasażera. W związku ze złym stanem kolei podróż trwała aż pięć dni. Dopiero 23 stycznia pociąg przybył do Łunińca. W czasie podróży Karol Radek nie próżnował, lecz prowadził w pociągu liczne rozmowy z szefem polskiej eskorty ppor. Jasińskim. W sporządzonym przezeń raporcie pisał on, że Radek dążył do przekonania go o wyższości idei komunistycznej i próbował zwerbować.

Był doskonale poinformowany o rozmowach w Mikaszewiczach i wyrażał żal z powodu ich załamania. Twierdził, że Polska zmarnowała szanse na pokojowe wyjście z konfliktu z Rosją Sowiecką. Niejednokrotnie przytaczał fakt, że 22 grudnia ludowy komisarz (minister) spraw zagranicznych Georgij Cziczerin skierował do rządu polskiego specjalne memorandum z propozycją zawarcia długotrwałego pokoju. Radek wiedział o tym i w rozmowach z Jasińskim twierdził, że Rosja była gotowa podpisać umowę pokojową na bardzo wygodnych dla Polski warunkach. Radek wielokrotnie dążył do oczerniania przywódcy Ukrainy Symonana Petlury i jego polityki. Twierdził, że Petlura jest nieszczery z Polakami, że prowadzi rozmowy jednocześnie z bolszewikami i przy nadarzającej się okazji zdradzi Piłsudskiego. Jedynie strach przed przywódcą białej Rosji Denikinem zmusza go do bicia pokłonów przed Polakami.

Twierdził również, że Wielka Brytania wyłamuje się z jednolitego antybolszewickiego frontu, że na wiosnę Lloyd George planuje uznać rząd Lenina i nawiązać z nim stosunki dyplomatyczne. Niektóre z wypowiedzi Radka brzmiały jak kłamliwa propaganda bolszewicka. Według niego rząd Lenina szykuje demokratyzację ustroju bolszewickiego drogą zawarcia umowy koalicyjnej z eserowcami i mienszewikami. Twierdził, że terror czerwony zostanie zniesiony, a Czeka rozwiązana. Niewątpliwie blefował, aby zachęcić Polaków do powrotu do rozmów z bolszewikami.

Oddział spartakusowców FOT. WIKIPEDIA

List do szefa PPS

Swoistym uwieńczeniem licznych rozmów Radka z Jasińskim stał się kilkustronicowy list adresowany do kierownictwa PPS. W liście tym zwracał się po imieniu do niedawnego premiera Ignacego Daszyńskiego oraz do Feliksa Perla, których znał osobiście. Zwrócenie się jednego z czołowych komunistów sowieckich do przywódców PPS nie było przypadkowe. Na Kremlu wiedzieli, że Ignacy Daszyński i jego otoczenie są zwolennikami jak najszybszego zawarcia pokoju na wschodzie. Liczyli więc na

eprasa.pl 0d139574de

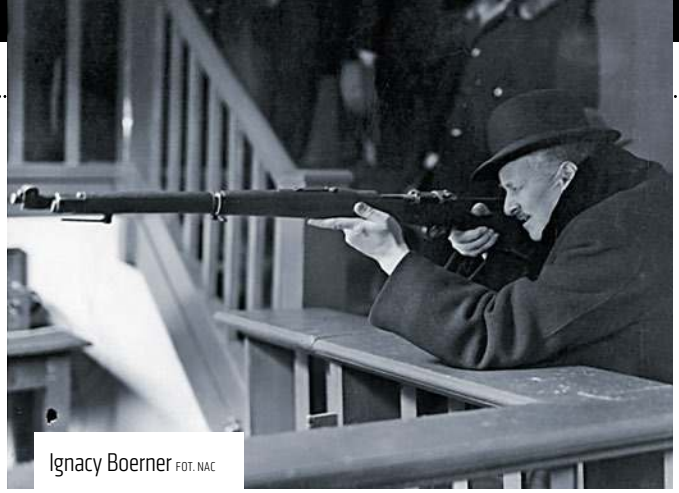
Ignacy Boerner FOT. NAC

zerwanie wspólnego frontu polskiego obozu niepodległościowego.

W liście do Daszyńskiego Radek pisał: „Rosja Sowiecka nie ma żadnych agresywnych planów wobec Polski. Ja osobiście nie znam w kierownictwie partii bolszewickiej ani jednego towarzysza, który by popierał idee odebrania Polsce niepodległości... Clemenseau chce prowadzić wojnę z bolszewikami do ostatniego Polaka. Wielka Brytania nieufnie przypatruje się tej polityce francuskiego lidera i nie popiera jej". Niemal otwarcie pisał, że wojna z Rosją bolszewicką może na tyle osłabić Polskę, że ta upadnie. Zagrożenie dla Polski istnieje nie ze Wschodu, pisał, a z Zachodu. Według Radka w Niemczech może w wyniku krwawej kontrrewolucji zwyciężyć skrajnia prawica, która przystąpi natychmiast do zniszczenia polskiego państwa.

„Rosja Sowiecka – czytamy w liście Radka – potrzebuje pokoju w celu realizacji chociaż części socjalnych obietnic danych robotnikom i chłopom. Dlatego agresywna wojna z jej strony po prostu jest wykluczona". Radek przedstawia się jako wspaniały demagog. Jego skuteczna broń – połączenie prawdy, półprawdy i otwartego kłamstwa. W ten sposób jego list miał nabrać wiarygodności. Kiedy taka demagogia zawodzi, Radek nie omija możliwości zastraszenia Polaków. Pisze: „Polsce brakuje solidnych sojuszników, a Litwa czy Ukraina, czy Białoruś jako sojusznicy po prostu są śmieszne".

Na zakończenie Radek próbuje wywołać poczucie solidarności socjalistycznej u liderów PPS: „Wy, jako liderzy PPS, na pewno macie realny wpływ na armię i społeczeństwo. Musicie pomóc w rozstrzygnięciu kwestii wojny i pokoju". Kończył swój list pojednawczo: „Siedzę tu, na dalekiej stacji poleskiej, i widzę, jak giną polscy i rosyjscy robotnicy i chłopi. Pytam sam siebie, czy da się coś zrobić, czy można to zatrzymać, czy można dogadać się między wami i Rosją sowiecką? Tym listem chcę pomóc w osiągnięciu porozumienia".

Czy list ten dotarł do adresatów? Czy miał on jakikolwiek wpływ na kształtowanie się stosunków odrodzonej Polski z Rosją sowiecką? Podporucznik Jasiński przekazał ten list kpt. Boernerowi, a ten osobiście dostarczył go bezpośrednio na ręce naczelnika państwa. Napisał o tym Ignacy Boerner w swym sprawozdaniu o całej operacji transportowania Radka dla swego szefa – kierownika II Naczelnego Dowództwa WP Ignacego Matuszewskiego. Nie wiemy, co zrobił z listem tym Józef Piłsudski. Prawdopodobnie uznał go za bolszewicką prowokację i nie przekazał Daszyńskiemu, aby nie osłabiać własnego kraju w dobie największego wysiłku wojennego odrodzonej RP na wschodzie. Radka natomiast przekazano bolszewikom 23 stycznia 1920 r. Dowódca 9. dywizji, broniącej frontu na Polesiu, płk Stanisław Jan Sprigwald otrzymał od władz sowieckich potwierdzenie na piśmie o otrzymaniu Radka. W Moskwie Radek pojawił się 26 stycznia, a już 28 stycznia rząd sowiecki po konsultacjach z Radkiem kieruje do władz II RP następującą depeszę:

Rosja sowiecka uznaje i uznawała wcześniej suwerenność republiki Polskiej.

Armia Czerwona nie rozpocznie ofensywy na polsko-sowieckim froncie na Białorusi i Ukrainie.

Rząd sowiecki nie zawierał ani z Niemcami, ani z jakimkolwiek innym państwem układów czy porozumień skierowanych przeciwko Polsce.

Między Rosją sowiecką a Polską nie istnieją żadne terytorialne, ekonomiczne czy inne kwestie, niemogące znaleźć rozwiązania drogą wzajemnych rozmów.

2 lutego 1920 r. z podobną odezwą do polskiego rządu zwrócił się WCIK (Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy), również nie bez konsultacji z Radkiem. Czy były to rzeczywiste intencje bolszewików? Czy jedynie propaganda w celu uniknięcia stworzenia jednolitego antybolszewickiego frontu, który mógł zniszczyć Lenina i jego rząd?

Józef Piłsudski w tych niezwykle skomplikowanych okolicznościach, kiedy odrodzona RP miała walczyć o swe granice prawie ze wszystkimi swymi sąsiadami, nie odważył się razem z Denikinem, Kołczakiem, Judeniczem i innymi wrogami bolszewików pójść na Moskwę. Czy zmarnował szansę, aby powrócić do granic z 1772 r. i stworzyć mocne polskie imperium? O tym możemy jedynie domniemywać.

Karol Radek był jednym z głównych oskarżonych na moskiewskich procesach pokazowych. Zginął w wirze wielkiego terroru stalinowskiego. Oskarżono go o szpiegostwo na rzecz Polski, kraju, gdzie się urodził i który zdradził. Nie uratowało go nawet to, że to on napisał słynną „Odę Stalinowi", porównując go prawie do komunistycznego Boga.

Rabunek

No i na zakończenie najważniejsze. Na podstawie jakich dokumentów powstał ten artykuł? Skąd pochodzi tekst listu Radka? Są to dokumenty z rosyjskiego archiwum ЦГАО (Центральный Государственный Особый Архив – Centralne Państwowe Archiwum Specjalne), utworzonego w 1946 r. do przechowywania zdobycznych dokumentów z Niemiec i Europy, zawłaszczonych przez władze sowieckie w czasie drugiej wojny światowej. Przez wiele lat było to archiwum tajne, do którego badacze wstępu nie mieli. Trafiły do tego archiwum i dokumenty II Oddziału Sztabu Głównego wojska polskiego, zagarnięte przez Armię Czerwoną w toku wojny obronnej 1939 r., kiedy Polska stała się ofiarą agresji dwóch totalitaryzmów.

Dokumenty te zawłaszczono absolutnie bezprawnie. Nie była to zdobycz wojenna Armii Czerwonej, lecz wynik grabieży. Po raz pierwszy niezależni badacze trafili do tego archiwum dopiero po upadku Związku Sowieckiego w 1992 r. Dzisiaj są one dostępne w zbiorach Rosyjskiego Państwowego Wojennego Archiwum (РГВА). Nadal traktowane są one jako sprawiedliwa zdobycz wojenna. Nikt nie ma zamiaru zwracać ich prawowitemu właścicielowi. Nadal agresja w 1939 r. ZSRS na Polskę traktowana jest jako sprawiedliwy pochód Armii Czerwonej w celu wyzwolenia bratnich narodów. W ten sposób usprawiedliwia się rabunek w Polsce. Jest to skandaliczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

FOT. WIKIPEDIA

Piotr Semka

1918–1921 / Walki o przyszłość Estonii i Łotwy

Krucjata von der Goltza

W 1919 r. niemieckie oddziały próbowały opanować państwa bałtyckie i stworzyć tam swoje królestwo

Czarny krzyż na białej tarczy – ten krzyżacki symbol z epoki średniowiecza znajdzie się po latach na odznace honorowej Baltische Landeswehr – armii, która po zakończeniu pierwszej wojny światowej dominowała na sporej części ziem nadbałtyckich. Jej dowódca – Rüdiger von der Goltz – doskonale odnalazł się w chaosie, jaki zapanował na styku północnej część Europy Środkowej i terenów pod władzą Lenina. Dla Niemców bałtyckich armia von der Goltza była nadzieją na stworzenie własnego państwa na terenach Estonii, Inflant i Kurlandii. Dla rosyjskich straceńców z obozu „Białych" – nadzieją na zwalczenie bolszewików. A dla aliantów i Polski – groźnym awanturnikiem i potencjalnym odwetowcem działającym na komendę Berlina.

Kaptury i pikielhauby

Bałtyckie tereny dzisiejszej Estonii i Łotwy zostały podbite ogniem i mieczem przez niemiecki zakon kawalerów mieczowych w XIII w. Żyjące tam plemiona ludów bałtyckich i ugrofińskich zostały sprowadzone do roli ludności podbitej. Koniec państwa zakonnego doprowadził do podziału tych ziem między Rzeczpospolitą a Danię i Szwecję. W XVIII w. wszystkie te tereny zagarnęła Rosja.

Niemiecka szlachta inflancka i kurlandzka odnalazła się w szczerej służbie dla Rosji, a po części spolszczyła się. W służbie carom Niemcy bałtyccy

eprasa.pl 0d139574de

robili błyskotliwe kariery wojskowe, urzędnicze i administracyjne. Ta tradycyjna wierność dynastii Romanowów dotrwała aż do początków XX w. Jednak począwszy od końca XIX w., zaczął się w młodym pokoleniu Deutsch-Balten – niemieckich Bałtów – cichy renesans nadziei na podbicie Wschodu przez cesarstwo niemieckie. Te nadzieje ziściły się między rokiem 1915 a 1917, gdy armia kajzera podbiła sporą część Kurlandii i Inflant. Całość tych ziem aż po Tallina wpada w ręce Niemców w marcu 1918 r. na mocy traktatu brzeskiego z Rosją Lenina. Oficjalnie okupowane tereny na północnym wschodzie zostają nazwane Ober-Ost i trafiają pod wojskową władzę gen. Maxa Hoffmana. Po cichu jednak Berlin przystępuje do planu stworzenia na terenach Estonii i Łotwy nowego tworu – Vereinigtes Baltisches Herzogtum (Zjednoczonego Księstwa Bałtyckiego) – reinkarnacji dawnego państwa zakonnego, co odbija się w krzyżackim wzorze flagi nowego quasi-państwa: czarnego krzyża na białym tle.

Powstają dwa sejmiki: Kurländische Landesrat (Sejm Kurlandii) oraz Vereinigter Landesrat of Livland, Estland, Riga, and Ösel (Zjednoczony Sejm Inflant, Estonii, Rygi I Ozylii). Oba te gremia wystosowują rezolucję do Wilhelma II o stworzenie na tych terenach osobnego księstwa, protektoratu Rzeszy z księciem Adolfem Fryderykiem Meklemburskim na tronie. 22 września 1918 r. cesarz Niemiec uznaje ten marionetkowy twór za suwerenne państwo z premierem baronem Adolfem Pilar won Pilchau. Rada Regencyjna składa się z czterech Niemców bałtyckich i po trzech ugodowych Łotyszy i Estończyków. Koniec pierwszej wojny światowej skłania niepodległościowców na Łotwie oraz w Estonii do ogłoszenia niepodległości. Cóż z tego, gdy Niemcy ze sporą armią są mocno okopani, a ze Wschodu napiera armia bolszewicka.

Silny człowiek z Lipawy

Alianci podpisując 11 listopada zawieszenie broni, zalecili, by wojska niemieckie pozostały na terenach Ober-Ostu do czasu kolejnych ustaleń i blokowały inwazję wojsk Lenina. Estoński rząd Konstantina Pätsa i łotewski Kārlisa Ulmanisa rozumiały, że tylko okupacyjna Reichswehra może obronić ich ziemie przed czerwonym zalewem. W tej sytuacji na scenę wkracza generał Rüdiger von der Goltz. Ten ambitny niemiecki dowódca został w lutym 1919 r. wysłany na Łotwę, aby objąć komendę nad VI korpusem zmagającym się z ofensywą Armii Czerwonej. Von der Goltz dobrze zna się na wojnie z bolszewikami. Od wiosny 1918 r. wspierał z niemieckim korpusem interwencyjnym walkę białych Finów pod wodzą gen. Carla Gustafa Mannerheima z fińską czerwoną gwardią. Teraz z polecenia Berlina ma opanować sytuację na Łotwie i stworzyć z miejscowych sił Bałtycką Landwehrę. W otoczeniu von der Goltza snute są marzenia, że Inflanty i Kurlandia staną się nacjonalistycznym Piemontem, z którego wyjdzie narodowa krucjata przeciw „socjaldemokratycznym zdrajcom" z Berlina. Żywym dowodem na siłę takich marzeń są ochotnicy z całej Rzeszy, którzy przebijają się poprzez Skandynawię, aby zaciągnąć się do Freikorpsu „Żelazna Brygada" mjr. Josefa Bischoffa. Miejscowa niemiecka szlachta nadal snuje też marzenia o własnym państwie, a jej młodzież zaciąga się masowo pod komendę von der Goltza.

Są wreszcie rosyjscy białogwardziści, którzy uciekają pod skrzydła niemieckiego generała. To oni tworzą rosyjski Korpus Północno-Zachodni pod wodzą kozackiego generała Pawła Bermondta-Awałowa, sformowany w Niemczech z rosyjskich jeńców wojennych i przerzucony na tereny Ober-Ostu. Marzą, by z Estonii uderzyć na Piotrogród i powywieszać klikę Lenina.

Niepodległościowcy łotewscy i estońscy wysyłają dyskretne monity do aliantów, aby ci jak najszybciej zajęli tereny bałtyckie, ale na razie są zbyt słabi, by rozbroić siły Goltza. Chcąc nie chcąc, muszą z nim paktować, oddając swoje oddziały pod jego komendę, tym bardziej że siły bolszewickie są w natarciu.

Dywizja czerwonych strzelców łotewskich już na początku stycznia 1919 r. wypycha Niemców z Rygi, a potem z połowy terenu Łotwy. Pod koniec lutego 1919 r. von der Goltz kontroluje już tylko tereny wokół Lipawy – głównego portu Kurlandii. Tutaj znajduje schronienie także łotewski rząd Ulmanisa. Goltz tworzy Landwehrę bałtycką i oddaje ją pod komendę mjra Alfreda Fletchera. Nowa armia liczy 4,5 tys. ludzi, w tym 1,5 tys. Łotyszy. Dowódca mądrze reorganizuje oddziały i szybko szkoli rekrutów. W rezultacie już w marcu nie tylko zatrzymuje natarcie czerwonych, lecz także przechodzi do ofensywy.

Rychło front walk z bolszewikami cichnie – Lenin zaczyna mieć znacznie większe problemy z naporem armii gen. Antona Denikina. Von der Goltz łapie drugi oddech i przystępuje do rozprawy z Łotewskim rządem Ulmanisa.

Niemcy wykorzystują banalny incydent. W jednym z zaułków zostaje zastrzelonych trzech żołnierzy niemieckich. Von der Goltz oskarża o zamach oddziały podległe Ulmanisowi. 16 kwietnia pod nadzorem Niemców dochodzi do puczu. Łotewski premier zostaje obalony i zastąpiony ugodowcem pastorem An-

Paweł Bermondt-Awałow (w środku w czarnym mundurze) ze swoimi oficerami FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 0d139574de

drievsem Niedrą. Część członków rządu z Ulmanisem chroni się na statkach brytyjskich, które stoją na redzie Libawy.

Rozpoznanie bojem

Mając już podległy sobie rząd, von der Goltz rozpoczyna walkę o poszerzanie swoich włości. Najpierw odbija Windawę, a potem rusza do ataku odebrać bolszewikom Rygę. W czasie walki o most na Dźwinie 22 maja 1919 r. w odważnym ataku na pozycje czerwonych ginie Hans baron Manteuffel-Szoege, wielka nadzieja niemieckiej szlachty bałtyckiej. Stolica zostaje zdobyta i apetyty von der Goltza znów rosną. Teraz chce uderzyć na Estonię, utworzyć tam kolejny marionetkowy rząd i przy użyciu białych Rosjan uderzyć z Estonii na Piotrogród.

Na drodze staje im świeżo utworzona armia estońska zasilana przez oddziały łotewskie wierne Ulmanisowi.

19 czerwca 1919 r. dochodzi do decydującej bitwy pod Kiesią (łot. Cesis, niem. Wenden). Siły estońsko-łotewskie dysponują 5990 żołnierzami piechoty i 123 kawalerzystami. Niemcy mają od 5,5 do 6,3 tys. piechurów, 600 kawalerzystów i o wiele silniejszą artylerię oraz broń maszynową. Walki trwają trzy dni, ale w końcu Estończycy i Łotysze odpierają atak von der Goltza. 23 czerwca Landeswehra wycofuje się do Rygi, ale i to miasto 6 lipca odbijają niezależni Łotysze.

Teraz do akcji wkraczają alianci. Nakazują von der Goltzowi zaniechanie wszelkich działań. Na Łotwę przybywa misja wojskowa z brytyjskim gen. Hubertem Goughem, która wymusza przerwanie ognia.

Landeswehra zostaje podporządkowana brytyjskiemu ppłk. Haroldowi Alexandrowi – późniejszemu dowódcy walk w Afryce z Rommlem w latach 1941–1943. Alianci demobilizują armię von der Goltza i odsyłają Niemców z Rzeszy do kraju. Niemcy bałtyccy zostają poddani kontroli rządu Ulmanisa. Tylko niewielu z nich, jak np. Otto Zeltiņš-Goldfelds, zrobi potem karierę w armii łotewskiej.

Korpus Bermondta-Awałowa alianci postanawiają jeszcze zachować na potrzeby walki z bolszewikami. Jednak kozacki watażka postanawia raz jeszcze zagrać o całą stawkę. 8 października 1919 r. próbuje zająć Rygę pod pretekstem wspomożenia ataku gen. Nikołaja Judenicza z terytorium Estonii na Piotrogród. Bermondt-Awałow próbuje stworzyć nowy proniemiecki rząd – tzw. zachodnie przedstawicielstwo centralne, ale pucz likwidują oddziały łotewskie i estońskie przy kurateli brytyjskiej floty.

Bermondtowcom udaje się wynegocjować jedynie przemarsz przez Litwę do Prus Wschodnich, gdzie wchodzą w skład pięciotysięcznej grupy wojskowej „białych", którą Niemcy trzymają w pogotowiu na wypadek klęski Lenina w wojnie domowej. Gdy w 1921 r. staje się jasne, że bolszewicy wygrali – jednostki rosyjskie zostają rozformowane, a Bermondt-Awałow wyjeżdża do Berlina. Ostatni okupowany przez bolszewicką Rosję rejon Łotwy – Łatgalię – wyzwolą w styczniu 1920 wojska polskie, oddając je rządowi Ulmanisa.

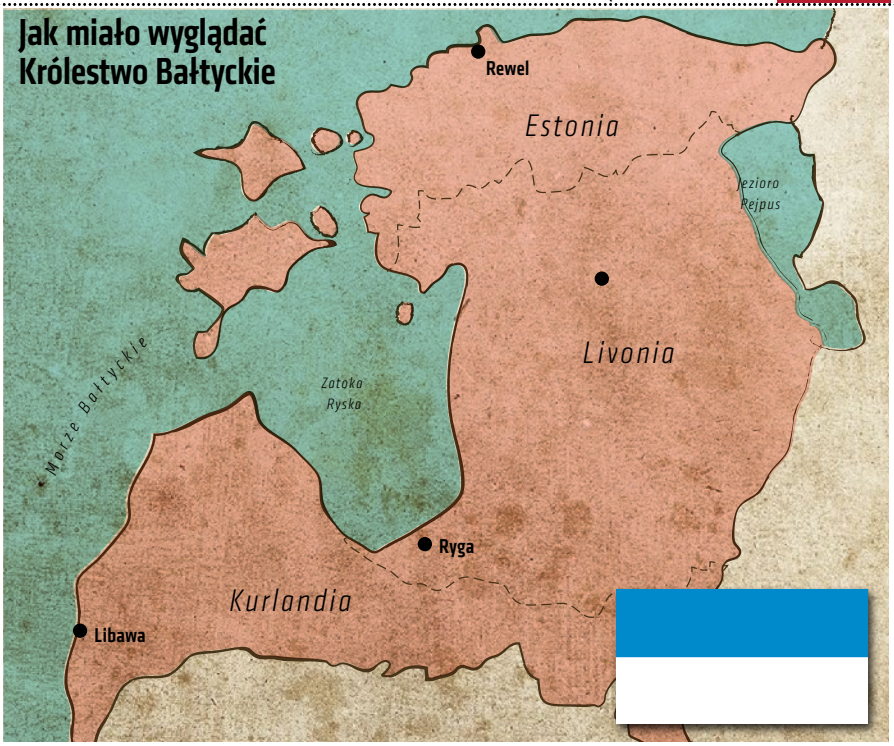

RYS. JACEK GRAMBURG

Heros niemczyzny

Rüdiger von der Goltz został wysłany przez aliantów do Niemiec grzecznie, ale bez dyskusji. W marcu 1920 r. próbuje jeszcze wejść do polityki, wspierając tzw. pucz Kappa, ale rewolta zostaje złamana. Udział w próbie zamachu stanu nie przeszkadza mu objąć w latach 20. szefostwa departamentu wspierania wychowania obronnego młodzieży. W latach 1924–1933 przewodniczy Niemieckiemu Związkowi Obrony Ojczyzny i pławi się w sławie. Jego pełne nacjonalistycznego patosu wspomnienia stają się bestsellerem. Bałtycka Landeswehra jest sławiona jako wzór patriotyzmu obok Freikorpsów walczących z Bawarską Republiką Rad i powstaniami śląskimi. W 1930 r. von der Goltz jest jednym z patronów tzw. frontu harzburskiego – koalicji nacjonalistycznej prawicy próbującej konkurować przez pewien czas z Hitlerem.

Jednak po wygranej Führera – bohater z Inflant szybko uznał dominację nowej brunatnej władzy. Tym bardziej że Hitler uznaje walki Freikorpsów za ważny element mitologii sił narodowych. Wśród nazistów cenieni są kawalerowie Krzyża Bałtyckiej Landeswehry, nadawanego przez Komisję Sztabu Głównego Bałtyckiej Landeswehry. W latach 1919–1933 odznaczenie to ma status nieoficjalny, ale już w maju 1933 r. z błogosławieństwem NSDAP Krzyż zostaje wciągnięty na listę oficjalnych odznaczeń wojskowych.

W 1934 r. von der Goltz zostaje szefem Cesarskiego Związku Byłych Oficerów. Dożyje upadku III Rzeszy i umrze 4 listopada 1946 r. w okupowanej przez Amerykanów Bawarii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ze względu na chorobę Piotra Semki publikujemy jego artykuł, który ukazał się w „HDR" nr 12/2017. Zdrowia, Piotrze!

eprasa.pl 0d139574de

Pracownicy Biura Odbudowy Stolicy FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Odbudowa stolicy

Szturmujący niebo

Warszawa mojego dzieciństwa – lat 80. i 90. – nie była miejscem miłym do mieszkania. Chaos budowlany, wszechobecna szarość, architektoniczne relikty komunizmu obok równie pozbawionych gustu wykwitów wczesnego kapitalizmu. Planistyczny miszmasz.

Zawsze z nostalgią myślałem o przedwojennej Warszawie, pewnie nieco ją idealizując. Piękny „Paryż Północy", który został zmieciony z powierzchni ziemi podczas drugiej wojny światowej. Najpierw podczas niemieckiego oblężenia w 1939 r., a potem podczas Powstania Warszawskiego i wyburzeń, których Niemcy dokonali po zakończeniu bitwy.

Niestety tamto miasto przestało istnieć, a powojenna odbudowa pozostawiała wiele do życzenia. Zważywszy jednak na warunki polityczne i gospodarcze, które zapanowały po roku 1945, czy można było to zrobić inaczej? Lepiej? Właśnie o tym kolosalnym dziele, którym była odbudowa (czy też raczej budowa) stolicy, opowiada pasjonująca książka Krzysztofa Mordyńskiego „Sny o Warszawie".

Jej bohaterami są architekci, którzy przybyli na początku 1945 r. na gruzy miasta i – w praskiej kamienicy przy ul. Kowelskiej 4 – stworzyli Biuro Odbudowy Stolicy. Zadanie, które stało przed nimi, wydawało się ponad ludzkie siły.

„I wreszcie zobaczyli Warszawę na własne oczy – pisze Mordyński. – Niemcy już ją opuścili... ale mieszkańcy też praktycznie byli nieobecni. Architekci zgromadzeni w tym jednym pokoju na Kowelskiej obmyślali przywrócenie miasta do życia. Patrzyli na siebie jak na »szaleńców szturmujących niebo«, sięgających po to, co według zdrowego rozsądku wydawało się niemożliwe. W zimie w nieogrzewanym pomieszczeniu toczyły się gorące dyskusje, roztrząsano pomysły. Jeden stół służył im jako główny mebel, podstawowe narzędzie pracy i forum.

Na jednym końcu pracowali razem ludzie, którzy później prezentowali odmienne wizje: Józef Sigalin, zwolennik radykalnej przebudowy Warszawy, i Jan Zachwatowicz, konserwator, główna postać kręgu »zabytkowiczów«. Kontynuowali wcześniej kreślony plan organizacji prac nad odbudową. Od czego zacząć? Która z krytycznych potrzeb jest najważniejsza? Jak wykorzystać talenty ludzi?".

Niestety ostatnie słowo należało i tak do komunistów. W 1949 r. na konferencji architektów należących do PZPR przedstawiono doktrynę socrealizmu, zgodnie z którą miała być odbudowana Warszawa. Referentem był Edmund Goldzamt, doktorant Moskiewskiego Instytutu Architektury, który – jak pisze Mordyński – „przedstawił polskim architektom wywód stojący w dużej mierze w sprzeczności z tym, czego się uczyli, co praktykowali, co kierowało ich rozumowaniem". Architektura miała być umocowana w teorii marksizmu-leninizmu, służyć sprawie socjalizmu. Na szczęście architekci – a przynajmniej ich część – starali się omijać zalecenia partii i projektować niezależnie. Nie zawsze było to jednak możliwe, o czym może się przekonać każdy, kto pospaceruje po centrum Warszawy.

Ogólna ocena architektów, którą przedstawia autor „Snów o Warszawie", jest jednak pozytywna.

„Przemierzając Warszawę, widzimy skutki ich udanych i nietrafionych projektów. Wszystkie jednak – a przynajmniej zdecydowana większość – były przemyślane. Interesował ich o wiele szerszy wachlarz wartości niż tylko zysk z inwestycji. W imię tych wartości popełniali błędy, ale tworzyli także rzeczy piękne. Teraz, gdy już milczą, łatwo ich zakrzyczeć i osądzić. Czy pozwolimy się im wypowiedzieć? Czy postaramy się ich posłuchać? Teraz, gdy miasto przeżywa głęboki kryzys urbanistyczny – gdy zabudowuje się napowietrzające kliny zieleni, ogradza płotami osiedla czy reprywatyzuje boiska szkolne – od architektów okresu powojennego moglibyśmy się wiele nauczyć". ©℗ ***Piotr Zychowicz***

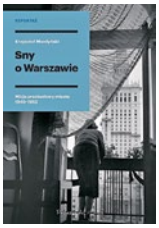

KRZYSZTOF MORDYŃSKI
„SNY O WARSZAWIE"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

eprasa.pl 0d139574de

Orangutan Europy = Polak

Książka budzi respekt swoją objętością (ponad 600 stron), ale czyta się ją z żywym zainteresowaniem. Bo jest ona o nas – „wschodnich Europejczykach". Owo pojęcie stanowi wielki wynalazek Europejczyków z Zachodu. W XVIII w. w mózgach niektórych z nich zachodziły dziwne procesy, które kazały im z arogancją dorównującą niemal ich ignorancji udowadniać samym sobie, jak bardzo są – w porównaniu z nami – cywilizowani. Ten produkt uboczny prawdziwego, twórczego oświecenia został z czasem przejęty przez rasistów, chętnie występujących w roli „nadludzi" (niem. Übermenschen), a równie chętnie przez naszych tutejszych snobów, dla których polskość oznacza „nienormalność". O tym właśnie produkcie XVIII w. pisze profesor New York University, wykazując dogłębną znajomość historii, geografii i społeczeństw krajów leżących na wschód od Niemiec i od linii Ryga-Dardanele. Brawo!

Nawet w zarysie nie streszczę dzieła prof. Wolffa. Ograniczę się do zestawienia poglądów na Polskę i na Rosję dwóch bodaj najbardziej znanych myślicieli tamtej doby. W „Uwagach nad rządem Polski" Rousseau pisał do nas w 1772 r.: „Kochacie wolność, jesteście jej godni, broniliście jej przeciw najeźdźcy potężnemu i chytremu…". Wolff komentuje, że „Uwagi…" okazały się zarówno w formie, jak i treści antytezą prywatnych listów Woltera do jednej władczyni absolutnej, oczywiście tożsamej z „potężnym i chytrym najeźdźcą". Dodaje, że obydwaj „zbudowali przeciwstawne stronnictwa… Wolter prorosyjskie i antypolskie, a Rousseau na odwrót". Z książki wynika, że pogląd o niewolnictwie w Rosji Katarzyny II podzielali zarówno Diderot, jak i d'Alembert.

Znajdziemy tu też znamienne przykłady twórców antypolskich paszkwili. Oto Johann Gottlieb Fichte – później bardzo ceniony w Niemczech – w 1791 r. pisał „o chatach i gnoju na ulicach Warszawy", ale nie zauważył uchwalenia Konstytucji 3 maja. Nie odnotował też, że z Polski wyjechał, bo polska arystokratka nie dała mu posady guwernera, gdyż kaleczył język francuski (ale pieniądze na dalszą podróż od niej wycyganił). Z kolei pewien oficer francuski, wyrzucony z polskiej armii, opublikował pamflet „Orangutan Europy, czyli Polak jaki jest".

Wolff zamyka książkę uwagą o „Wojnie i pokoju" Tołstoja: „… rozumiał kwestię perspektywy geograficznej oraz filozoficznej arogancji, która podzieliła Europę na dwa kawałki". ©℗ ***Maciej Rosalak***

LARRY WOLFF
„WYNALEZIENIE EUROPY WSCHODNIEJ. MAPA CYWILIZACJI W DOBIE OŚWIECENIA"
MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY

Palmiry. Lista obecności

Dobrze, aby tę książkę czytali ludzie młodzi. Opowieść o nekropoli w Palmirach odtwarza cierpienia i śmierć rodaków, spośród 2204 tam pochowanych, a mordowanych przez Niemców na początku lat 40. Identyfikujemy się z nimi. Autor pisał o utrwalonych na zdjęciach scenach egzekucji: „Zbrodniarze śmiało spoglądają w obiektywy aparatów fotograficznych, prowokują, nie odwracają wzroku, pogardliwie, bezczelnie – każdy ze skazańcem u boku, skurczonym, upokorzonym, wchodzącym w śmierć z zasłoniętą twarzą. Ta zbrodnia, odzierająca ofiary z pamięci, zasługuje na taką opowieść". ©℗ ***(m.r.)***

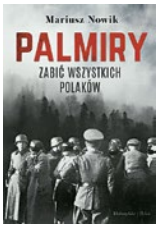

MARIUSZ NOWIK
„PALMIRY. ZABIĆ WSZYSTKICH POLAKÓW"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

MICHAELA CARTER
„SURREALISTKA"
REBIS

LEONORA I MAX

Zbeletryzowana opowieść o Leonorze Carrington obejmuje lata 1937–1943 i miłość do Maxa Ernsta. Ona 20-letnia, on 46-letni, żonaty, surrealistyczny malarz i pisarz, dla niemieckich rodaków współtwórca „zdegenerowanej sztuki". Wprowadził początkującą malarkę brytyjską do awangardy światowej (Picasso, Dalí, Frida Kahlo). W tle wojna, obsesje, ucieczki za Atlantyk, kolejne małżeństwa . ©℗ ***(m.r.)***

(RED.) TOMASZ STĘPNIEWSKI, ARTUR GÓRAK I MARCIN KRUSZYŃSKI
„SOJUSZ PIŁSUDSKI–PETLURA"
IPN, IEŚ

ZMARNOWANA SZANSA

W tej ciekawej książce znalazły się artykuły historyków zza naszej wschodniej granicy. Temat: układ sojusznicy zawarty między Polską a Ukraińską Republiką Ludową w 1920 r. Jaka szkoda, że federacyjna koncepcja Piłsudskiego zakończyła się fiaskiem! Mimo zwycięstwa nad bolszewikami Polska zdradziła Petlurę i uznała sowiecką republikę ukraińską. ©℗ ***(p.z.)***

ELENA KOSTIOUKOVITCH
„SEKRETY WŁOSKIEJ KUCHNI"
ALBATROS

KUCHNIA I HISTORIA ITALII

Nie jest to książka kucharska, lecz opowieść o włoskiej kuchni wszystkich regionów Italii, sięgająca starożytności. Występują m.in. Montaigne, Goethe i Stendhal. Dowiadujemy się, kto sprowadził na włoską ziemię cytrusy, a kto kuskus, i dlaczego Mussolini chciał odzwyczaić Włochów od jedzenia makaronu (!). A dzięki dostawom amerykańskiej pszenicy komuniści nie przejęli władzy tuż po drugiej wojnie światowej. ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl 0d139574de

Dzieci żebrzące na ulicach getta w Warszawie

FOT. WILLY GEORG/ŻIH/CENTRALNA BIBLIOTEKA JUDAISTYCZNA

Ocaleni opowiadają

Książka powstała na podstawie rozmów z pięcioma osobami spośród ocalałych z zagłady polskich Żydów. Autorka uzupełnia ich relacje tłem historycznym, wyjaśniając kontekst opowieści z getta. Jej rozmówcy, gdy się znaleźli za murami gett (Warszawa, Łódź, Białystok), mieli po 7–10 lat. Dzisiaj należą do ostatnich żyjących świadków Holokaustu.

Chociaż rodzice bardzo starali się chronić dzieci przed koszmarną rzeczywistością i makabrycznymi obrazami, to jednak zapamiętały one trupy zmarłych z głodu na ulicach getta i ludzi żebrzących. Marian Kalwary wychował się w zasymilowanej rodzinie, w której rozmawiało się po polsku, a pierwsze słowa w jidysz, które poznał, to: „A szkitełe brot!", prośba dzieci żebrzących choć o kawałek chleba. Miał to szczęście, że sam nie głodował. Zofii Lubińskiej-Rosset na zawsze utkwił w pamięci widok egzekucji przez powieszenie trzech Żydów.

Krystyna Budnicka to imię i nazwisko, które otrzymała wraz z fałszywymi dokumentami żydowska dziewczynka. Ukrywała się wcześniej z rodziną w zaimprowizowanym podziemnym schronie aż przez pięć miesięcy po likwidacji warszawskiego getta. Wyszła stamtąd kanałami na „aryjską stronę". Zapamiętała granatowego policjanta, który pomagał jej wyjść na powierzchnię. Pan Kalwary wspominał kolejarza, który rozpoznał w nim Żyda i chciał go wydać Niemcom.

„Nic nie zrobiłam, żeby się ocalić. Żyję dzięki innym ludziom, którzy przekazywali mnie z rąk do rąk, z miejsca na miejsce" – stwierdzała Krystyna Budnicka.

Pojawiają się zarówno szlachetni, jak i podli Polacy. Wojna z jednych ludzi robiła bohaterów, drugich demoralizowała. Ukrywającym się bratem pani Budnickiej opiekował się dozorca. Zadenuncjował ich obu syn dozorcy, skazując w ten sposób na śmierć nie tylko ukrywającego się Żyda, lecz także własnego ojca.

Przygarnięty przez rodzinę Dąbrowskich M. Kalwary, musiał zmienić opiekunów, gdyż wiejskie dzieci wołały za nim: „Gudłaj, gudłaj!", więc było niebezpiecznie. Katarzyna Meloch wspominała z wdzięcznością Jadwigę Deneko, która zdobyła dla niej metrykę chrztu. Była to współpracowniczka Ireny Sendlerowej, rozstrzelana za pomoc Żydom.

Katarzyna Meloch znalazła schronienie w domu dziecka w Klasztorze Sióstr Służebniczek NMP w Turkowicach, na 200 dzieci tam przebywających ok. 30 pochodziło z rodzin żydowskich. ©℗

MAGDA ŁUCYAN
„DZIECI GETTA"
ZNAK

Tomasz Stańczyk

Lwowskie historie

Wśród wydarzeń opisywanych w dwutomowej książce przewodnika po Lwowie i dziennikarza „Kuriera Galicyjskiego" znajdują się i takie, które stały się sensacją nie tylko w tym mieście, lecz także w Galicji, a później w Polsce, m.in. wystawienie „Bitwy pod Racławicami", zamach na namiestnika Andrzeja Potockiego, proces Rity Gorgonowej. Autor opisuje też ludzi związanych pracą i odkryciami ze Lwowem, takich jak Ignacy Łukasiewicz i prof. Rudolf Weigl, wynalazca szczepionki przeciwtyfusowej. Są w książce rozdziały poświęcone słynnemu lokalowi gastronomicznemu Atlas i równie znanej wytwórni wódek, własności rodziny Baczewskich.

Autor przedstawia także mniej znane fakty, czasami sensacyjne i bulwersujące, oraz niezwykłych, zapomnianych ludzi. A wśród nich był „lwowski Tesla, który nie podbił świata", czyli Franciszek Rychnowski, który wyprodukował osobliwą materię, nazwaną przez niego eteroidem, stosowaną m.in. do leczenia chorób. Tajemnicę eteroidu Rychnowski zabrał do grobu. Poznajemy też historię złotego skarbu michałkowskiego, przechowywanego w muzeum Dzieduszyckich i wywiezionego po 1945 r. do Moskwy. Czytamy także o lwowskim pseudosoborze, na którym w 1946 r. pod dyktando sowieckich służb zlikwidowano Kościół greckokatolicki, oraz o ukraińskim bardzie Wołodymyrze Iwasiuku, którego tajemnicza śmierć jest związana z tymi służbami. Wydanie książki dofinansował Instytut Polonika. ©℗

Tomasz Stańczyk

JURIJ SMIRNOW
„SEKRETY LWOWA"
KSIĘŻY MŁYN

eprasa.pl 0d139574de

Bydgoszcz w ogniu 1945

Obrona Bydgoszczy jest stosunkowo mało znanym epizodem zmagań toczonych na froncie wschodnim w styczniu 1945 r. Szczegóły walk o miasto postanowił przybliżyć historyk regionalista Krzysztof Drozdowski w książce „Na straży Pomorza. Walki o Bydgoszcz w 1945 r.". Do bitwy o Bydgoszcz Niemcy wystawili stosunkowo niewielkie siły składające się z Polizei Kompanie (kompania policyjna), Ersatz Grenadier Kompanie Feldernhalle (zapasowa kompania grenadierów dywizji Felderhalle), Volkssturm Battaillon Zempelburg (batalion Volkssturmu), Landeschützen Bataillon 363 (Batalion Strzelców Krajowych), sześć plutonów z Heeresgaschutzschule 2 Bromberg (Szkoła Obrony Przeciwgazowej) i stanowiący główną siłę garnizonu miasta 600-osobowy Alarm Regiment mjr. Wolffiena ze Aufklärungs- und Kavallerieschule Bromberg (pułk alarmowy ze Szkoły Zwiadu i Kawalerii). Wszystkie te siły wchodziły w skład zgrupowania Gneisenau.

KRZYSZTOF DROZDOWSKI
„NA STRAŻY POMORZA. WALKI O BYDGOSZCZ W 1945 R."
CB AGENCJA WYDAWNICZA

Pierwsze starcia obrońców Bydgoszczy z nacierającymi wojskami sowieckimi miały miejsce jeszcze poza miastem. W rejonie Rojewic elewów ze Szkoły Zwiadu i Kawalerii zaatakował 200-osobowy oddział kawalerzystów Armii Czerwonej. Pomimo załamania się obrony na odcinku zajmowanym przez członków RAD (Niemiecka Służba Pracy) ppor. Enckhausen zdołał ustabilizować obronę i odeprzeć szturmujących, likwidując przy okazji tych, którym udało się przebić na tyły Niemców. W samym mieście, a głównie w jego wschodnich, niebronionych dzielnicach, pojawili się żołnierze 175. Dywizji Strzeleckiej. Dalsze ich posuwanie się do przodu zablokował kontratak wykonany przez żołnierzy z Aufklärungs- und Kavallerieschule Bromberg.

24 stycznia 1945 r. Sowieci przerwali pierwszą linię obrony Bydgoszczy. Uszczuplone zostały też wtedy szeregi obrońców ze względu na fakt opuszczenia miasta, odciętych od sił głównych sześciu plutonów żołnierzy ze Szkoły Obrony Przeciwgazowej. W konsekwencji komendant miasta wydał swoim podkomendnym rozkazy o przejściu do obrony punktowej. Tego dnia czerwonoarmiści zaatakowali obrońców z Landesschützen Bataillon 363 na ulicach Kujawskiej, Toruńskiej i Szubińskiego. Nacierając wzdłuż ul. Kujawskiej, dotarli do Rynku Zbożowego. Do walk w Bydgoszczy włączyły się czołgi 1. Batalionu Brygady Pancernej im. Bohaterów Westerplatte, zaznaczając tym samym udział wojsk berlingowskich w walkach o miasto.

Siły obrońców natomiast wzmocnili Łotysze z Lettisches Feldersatz Deport (Łotewski Polowy Skład Uzupełnień) z 15. Dywizji Grenadierów SS Lettland. To ich nieuzbrojonych 51 kolegów z 5. Kompanii 2. Batalionu Sowieci bestialsko zamordowali 22 stycznia 1945 r. w Dąbrówce Nowej. Łotewscy esesmani zaryglowali skutecznie ul. Kujawską, broniąc zacięcie tej pozycji, ale polskim żołnierzom udało się ich z niej wyprzeć.

Kilkudniowe nieustanne walki i brak uzupełnień spowodowały, że systematycznie zmniejszała się siła bojowa walczących w obronie miasta Niemców. Tak pisał o tym jeden z oficerów Wehrmachtu: „Żołnierze, w tym kandydaci na oficerów, byli tak wyczerpani ciągłymi walkami, przemarszami, mrozem, złym wyżywieniem, że szybko tracili zdolność bojową. Ludzie, włączając w to podoficerów, leżeli na śniegu i spali, i to wszystko na dużym mrozie. Dostawy zaopatrzenia… przebiegały bardzo źle". 26 stycznia 1945 r. na rozkaz dowódcy broniącego się garnizonu ppłk. Harrego von Arnima, który zastąpił w międzyczasie płk. Paula Wutha, resztki obrońców, chroniących się w koszarach przy ul. Gdańskiej, wycofały się z Bydgoszczy. Dzień później miasto zostało ostatecznie zdobyte. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

Śląsk 1921

Niewiele powstało książek o górnośląskich powstaniach pisanych z taką rzetelnością faktograficzną i przystępnością. Opis dwóch pierwszych powstań – zrywu rozpaczy Polaków w 1919 r. oraz zorganizowanej już akcji w roku 1920, która doprowadziła do likwidacji znienawidzonej policji SIPO – wprowadza nas w obszerną opowieść o trzecim powstaniu. Różniło się ono od poprzednich. Przede wszystkim z Rzeczypospolitej, która pokonała już Sowietów, mogli napłynąć – poza bronią – fachowi dowódcy, ochotnicy z Wojska Polskiego, często o piłsudczykowskim rodowodzie. Irytowało to wprawdzie – jak pisze Kania – śląskiego przywódcę z narodowej demokracji Wojciecha Korfantego, ale w praktyce obie strony świetnie się uzupełniły. Korfanty jako skuteczny polityk, a oficerowie – na czele zorganizowanych już na wzór wojskowy batalionów i pułków.

Ruszyły one nocą z 2 na 3 maja, aby rozbić i wyprzeć niemiecki Selbstschutz poza Odrę i odwrócić niekorzystne dla nas wyniki plebiscytu z marca 1921 r. Pierwsza dekada maja przynosi zwycięską realizację polskiego planu. Potem następuje kontrofensywa znakomicie zorganizowanych i dowodzonych, uzbrojonych po zęby freikorpsów, która spycha na wschód powstańców. Niestety, nie zawsze są oni karni, zdarzają się też rabunki i pijaństwa. Niemcy odbijają Kędzierzyn i Koźle, opanowują grzbiet Chełma z Górą św. Anny. Ale przemysłowego jądra Górnego Śląska nie udaje się im zająć. Nawet do Gliwic nie docierają. Ot, specyfika powstańczej armii: kompania, która wcześniej zdezerterowała, wróciła z orkiestrą i rzuciła się z furią na wroga. Przeczytajcie. Naprawdę warto. ©℗

Maciej Rosalak

LESZEK KANIA
„GÓRA ŚW. ANNY – KĘDZIERZYN 1921"
BELLONA 2021

eprasa.pl 0d139574de

FOT. TOLGA AKMEN/AFP/EAST NEWS

Geopolityka i gospodarka / Czy wyciągniemy lekcję z kryzysu?

Do Anglii znowu jest daleko

Jacek Bartosiak

Jedną z najpoważniejszych konsekwencji pandemii jest ograniczenie swobodnego przemieszczania się ludzi po świecie. To cios w wolność

W lipcu 2019 r. napisałem jeden ze swoich pierwszych w życiu felietonów pt. „Z Solihull nad Wisłę i z powrotem" na temat łatwości podróżowania pomiędzy Anglią a Warszawą w dobie globalizacji i wzmożonego skomunikowania, co pozwalało robić wiele rzeczy jednocześnie, zajmować się wieloma sprawami i generować swoimi działaniami coś, co nazywamy z angielska „connectivity".

Nie widziałem wówczas, jak szybko może to zostać przekreślone nałożeniem restrykcji w związku z pandemią, ograniczeniami przemieszczania się, kontrolami na granicach i wszelkimi działaniami, które mają na celu kontrolowanie strategicznych przepływów ludzi, w tym nawet godziną policyjną wprowadzaną to tu, to tam. Wprowadzając istotne ograniczenia dla wolności, zwanej swobodą przemieszczenia się zawodowego i osobistego.

Dwie godziny do Polski

Latem 2019 r. w Solihull, położonym w angielskim West Midlands, gdzie akurat przebywałem, wsiadłem przed północą

eprasa.pl 0d139574de

do pociągu kursującego regularnie do pobliskiego Birmingham, a stamtąd jechałem dalej, drzemiąc, koleją do Londynu na tamtejsze lotnisko. Złapałem poranny samolot na kontynent i po zaledwie dwóch godzinach lotu byłem w Warszawie. Golenie, garnitur i mogłem przystąpić do zadania, dla którego przerwałem urlop. Zaraz po jego wykonaniu wsiadłem w taksówkę, dotarłem na Lotnisko Chopina i bezpośredni tym razem samolot zaniósł mnie do Birmingham, skąd jest już bardzo blisko do Solihull. Zdążyłem akurat na wczesne śniadanie, właściwie w ciągu nieco ponad 24 godzin obróciłem w tę i z powrotem, spędzając przy tym w Warszawie cały roboczy dzień. Podczas podróży miałem w głowie uporczywą refleksję na temat potęgi komunikacji i sposobu, w jaki zmienia ona życie człowieka.

W czasie podróży w 2019 r. system transportowy, węzły komunikacyjne i infrastruktura umożliwiły mi szybki przejazd. Środki transportu, takie jak samochód, kolej i samolot, w połączeniu z Internetem ułatwiającym sprawne zaplanowanie i zorganizowanie podróży, pozwoliły połączyć przyjemność i pracę w ciągu jednej doby, podnosząc efektywność i jakość życia na nadzwyczaj wysoki poziom.

W latach mojego dzieciństwa w PRL taka wyprawa była oczywiście niemożliwa. Żelazna kurtyna sprawiała, że Wielka Brytania równie dobrze mogłaby się znajdować na drugim końcu świata, a dotarcie tam zakrawałoby na wyprawę życia, połączoną na dodatek z wielkim wysiłkiem finansowym, politycznym (paszporty, kontrola ruchu przez władze PRL i Wielkiej Brytanii, wizy itp.), organizacyjnym i czasowym.

Część mojej rodziny, która po „przygodzie" w Sowietach i doświadczeniach tułaczki II Korpusu została po wojnie w Wielkiej Brytanii, wydawała mi się niedostępna i oddzielona wielkimi przestrzeniami. Tak oto Teheran, Jałta i Poczdam rozdzieliły Stary Kontynent, tworząc przeszkody i blokady dla naszych marzeń.

Gdy przed ok. 30 laty zniknęły przeszkody geopolityczne, okazało się, że w naszej geograficznie maleńkiej Europie Wielka Brytania leży bardzo blisko – śmieszne dwie czy dwie i pół godziny lotu. Po upadku systemu jałtańskiego pojawiła się swoboda podróżowania, co w połączeniu ze wzrostem możliwości komunikacyjnych i poszerzeniem wachlarza kierunków do wyboru zrewolucjonizowało nasze życia. Z czasem poprawiła się dostępność finansowa podróży. Jak pisałem w 2019 r., trudno było sobie wyobrazić, że ten błogostan nieograniczonej i ogólnodostępnej komunikacji mógłby w przyszłości zostać przerwany. Jakże szybko przyszedł test!

Między 2019 a 2021 r.

Zadanie, z powodu którego musiałem pojawić się w Warszawie tamtego dnia, dotyczyło również tego, co się będzie działo, jeśli USA podążą drogą konfrontacji wobec Chin, a cała Eurazja stanie się polem rywalizacji. Być może, jak kiedyś Europa przedzielona murem berlińskim, tak teraz Eurazja ulegnie regionalizacji zwalczających się obozów. Dokąd zaprowadzą nas w przyszłości sprawy geopolityki kształtujące losy narodów i poszczególnych ludzi? Czy skomunikowanie stanie się jeszcze sprawniejsze i jeszcze bardziej dostępne, na co wskazywałby rozwój technologiczny ludzkości i jej naturalne, wydawałoby się, pragnienia? Czy jednak stanie się tak, jak po upadku imperium rzymskiego albo po zakończeniu pierwszej wojny światowej, gdy komunikacja podupadła, a świat się podzielił. Wówczas geografia stałaby się znów „większa", a w Europie – podobnie jak w XX w. – powstałyby nowe polityczne mury i podziały, które zakłóciłyby możliwość nieskrępowanego podróżowania ludzi oraz – szerzej – osiągnięty stopień globalizacji.

> **Pandemia i transformacja ładu międzynarodowego to bardzo wrażliwe momenty, które wyznaczą drogi naszego życia**

Pomiędzy „wtedy" a „teraz" przyszła pandemia, dokonał się brexit, a Amerykanie nasilili rywalizację z Chinami, przy czym Europa jeszcze decyzji geostrategicznej nie podjęła, ale już rozumie, że konieczność wyboru nadchodzi, co jest istotną zmianą w porównaniu z rokiem 2019.

W styczniu 2021 r. tym razem to moja siostra musiała z powodów formalno-rodzinnych przemieścić się do Polski z Solihull. I jakże inaczej to wyglądało. W zasadzie brak lotów. Obowiązkowe testy na COVID-19, bardzo ostry reżim epidemiologiczny w Wielkiej Brytanii, problemy na granicy brytyjskiej (lądowej, samochodowej, tunelem pod kanałem La Manche) przy wyjeździe, gdzie nie chciano jej wypuścić pomimo zaświadczenia urzędowego z Polski o nagłej i niezbędnej potrzebie wyjazdu. Konieczność wypełnienia formalnego oświadczenia, którego skutki pozna się dopiero wtedy, gdy będzie chciała wrócić do Anglii, potem kolejne granice lądowe na kontynencie, napływające informacje co do ograniczeń tranzytu, sprawdzenie testów itp.

A potem – jak mi mówiła – jak najszybciej, aby tylko do Polski przez Francję, Belgię, Holandię, Niemcy, za Odrę. Aby nic się nie zmieniło w ostatnio nagle wprowadzanych przepisach, które mogłyby uniemożliwić jej dojechanie do ojczyzny. Los człowieka – niczym w powieściach Józefa Mackiewicza – zależy znów od pieczątek, zmienianych codziennie rozporządzeń i decyzji arbitralnych innych ludzi, jak tej wyjątkowo impertynenckiej urzędniczki brytyjskiej, która nie wahała okazywać swojej władzy przed wjechaniem do tunelu pod kanałem. Jak mówiła mi siostra, największą formalno-czasową przeszkodą był znów kanał La Manche, tak jakby historia powróciła z całą mocą.

Latem 2019 r. traktowaliśmy swobodne podróżowanie jako trwałe osiągnięcie cywilizacyjne. Pisałem już jednak wtedy, że jakże kruche mogą się okazać plany ludzkie oraz przekonanie o nieodwracalności dobrych zmian. Myślę, że nauczyliśmy się sporo pomiędzy rokiem 2019 a 2021 na ten temat. A jeszcze więcej, myślę, przed nami. Pominąwszy pandemię, momenty transformacji ładu międzynarodowego to bardzo wrażliwe momenty. Globalne trendy i związana z nimi geopolityka wyznaczają drogi naszego życia i to, jakie mamy w tym wszystkim realne pole manewru. W obliczu wielkich strukturalnych napięć – najczęściej niewielkie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Polacy to ludzie łagodni

/ Bereza dowodzi, że **do zadawania opresji, zbrodni i terroru zwyczajnie się nie nadajemy**

Miłośnicy fantastyki pamiętają jeszcze zapewne opowiadanie, z którego pożyczyłem tytuł do niniejszego felietonu: ukazało się ono w antologii „Rakietowe Szlaki 2" i było dziełem Alana Deana Fostera, amerykańskiego pisarza, który poza tą wizją przyszłej wielkiej Polski, wyrastającej pod rządami króla Jampolskiego XXIII na największe mocarstwo na Ziemi i w kosmosie, nic godnego uwagi chyba nie stworzył. Od razu zaznaczam, że moje skojarzenie ogranicza się wyłącznie do powyższego tytułu.

Otóż za sprawą Józefa Łobodowskiego ukazał się w roku 1950 tekst byłego więźnia obozu w Berezie Kartuskiej, Ukraińca, niejakiego Wreciony (nie wiem, czy to prawdziwe nazwisko, czy jakiś pseudonim). Niezwykle ciekawa relacja, o tyle inna od tych, które stworzyli Polacy, że ów Wreciona, nie przecząc, iż w „miejscu odosobnienia" starała się sanacja urządzić osadzonym piekło, podkreśla zarazem, że zupełnie się jej to nie udawało. A nawet – im dłużej obóz funkcjonował, tym bardziej się nie udawało.

Idea „miejsca odosobnienia" była taka, żeby osadzonym – polskim narodowcom, nacjonalistom ukraińskim i „paskarzom" (wbrew historiografii PRL, nie komunistom, na tych były odpowiednie artykuły w kodeksie karnym, skazywano ich więc i umieszczano w więzieniach – Bereza była zaś po to, by zamykać w niej bez żadnego sądu, decyzją administracyjną tych, na których paragrafu brakło) przez tych kilka miesięcy „dać wycisk" i wybić z głowy to, co robili. Wymagało to kadry złożonej z rozmiłowanych w dawaniu owego „wycisku" sadystów. Wielu twierdzi, że do takiego gatunku ludzkiego należał niesławny komendant obozu, Kostek Biernacki, etatowy bandzior Piłsudskiego od „brudnej roboty". Jednak, jeśli wierzyć Wrecionie, nie udało mu się znaleźć do pracy w obozie zbyt wielu sobie podobnych.

Przeciwnie, z relacji Ukraińca wynika, że w większości strażnicy obozowi sabotowali dyrektywy komendanta obozu, bicie i inne formy znęcania się nad osadzonymi raczej markowali na użytek zwierzchników, niż rzeczywiście się tym parali. Szczególnie wyróżnia Wreciona obozowego lekarza, który otwarcie krytykował bezprawie, jakim było istnienie obozu i poniżanie w nim niewinnych, z punktu widzenia prawa, ludzi – ale wspomina i o takich strażnikach, którzy wysłani do nadzorowania, czy więźniowie należycie się pocą podczas ciężkich robót, po prostu kładli się spać pod krzakiem, ograniczywszy się do apelu, by nikt się z wyznaczonego miejsca nie oddalał. Jak również takich, którzy pomagali więźniom w dopiekaniu tym nadzorcom, którzy dyrektywę „dawania wycisku" traktowali zbyt poważnie.

Poza wszystkim miło wspomina Wreciona obozową bibliotekę, wypełnioną głównie wspomnieniami polskich konspiratorów z PPS i POW, na czele oczywiście z dziełami Piłsudskiego, które zwłaszcza OUN-owcy pochłaniali łapczywie jako fachowe podręczniki konspiracji i dywersji.

Słowem, wczasy to to nie były, ale z postrachu, jaki marzył się twórcom „miejsca odosobnienia", w praktyce niewiele wychodziło. Późniejszy swój pobyt w „regularnym" więzieniu w Brześciu wspomina Wreciona jako bardziej przykry.

Ile prawdy w tym świadectwie, nie mam żadnych możliwości sprawdzać – ale miło się je czyta, zwłaszcza że pochodzi ono przecież od człowieka, który ani Polski, ani Polaków z zasady nie lubił. A jednak potrafił przyznać, że, generalnie, jako naród, do zadawania opresji, zbrodni i terroru zwyczajnie się nie nadajemy. ©℗

eprasa.pl 0d139574de

Piotr Semka

/ Felieton

Głupi malarz i uszanki

Jedną z najsilniejszych oznak polskich kompleksów wobec Niemców jest porównywanie polskiej irracjonalności z niemieckim praktycyzmem.

Ale zbyt długo śledzę niuanse i tajemnice historii naszych sąsiadów zza Odry, by nie dostrzec, że i Niemcy bywają całkowicie irracjonalni, często w najmniej oczekiwanych okolicznościach i szczegółach.

Gdy adwersarze pytają mnie o przykłady – odpowiadam: zdumiewające dzieje niemieckich czapek Wehrmachtu na froncie wschodnim.

Każdy w miarę opatrzony w ikonografii zimowych walk wojsk III Rzeszy z Sowietami z lat 1941–1943 musi zauważyć jeden zadziwiający szczegół. Niemieccy żołnierze noszą liche furażerki lub w najlepszym razie sukienne czapki z daszkiem. Oczywiście mróz pod Moskwą czy Leningradem był tak trzaskający, że szeregowcy mają zazwyczaj głowy i uszy z boku owinięte szalikami i wyglądają jak rosyjskie babuszki. Dlaczego jednak przez dwa zimowe sezony – 1941/1942 i 1942/1943 nikt w hitlerowskich służbach kwatermistrzowskich nie pomyślał o solidnej czapce zimowej? Czy uważano, że niemiecki żołnierz musi być twardy jak stal Kruppa i z racji żaru narodowosocjalistycznych uczuć jego uszy wytrzymają mróz –40 st. C?

> / Dlaczego przez dwie zimy – 1941/1942 i 1942/1943 – **nikt w Wehrmachcie nie pomyślał o ciepłej czapce zimowej** dla niemieckich marznących żołnierzy?

Mogę jeszcze uwierzyć, że jesienią 1941 r. pyszałkowato zakładano, iż Wehrmacht zdobędzie Moskwę, zanim spadnie śnieg, i nie trzeba żadnych specjalnych czapek. Ale dlaczego nic nie zmieniło się po fali odmrożeń z pierwszej, upiornej dla Wehrmachtu zimy 1941/1942?

Najprostszym rozwiązaniem byłoby skopiowanie niemieckich uszanek. Ale najwyraźniej ktoś w ciepłym gabinecie sztabu w Berlinie uznał, że żołnierz niemiecki w uszance wyglądałby jak podczłowiek. W imię tego estetyzmu niemieccy sołdaci odmrażali sobie uszy dziesiątkami tysięcy.

Jak zwykle frontowcy radzili sobie bardzo prosto – rozbierali sowieckie trupy z uszanek i walonek, które były o niebo praktyczniejsze w warunkach rosyjskich śnieżyc niż klasyczne, niemieckie umundurowanie. Ale takie numery przechodziły tylko na wysuniętych placówkach. Gdy tylko zjawiali się oficerowie służbiści, karano wypadki „nieregulaminowego umundurowania". Dopiero na zdjęciach z końca lat 1943 i 1944 na zdjęciach z Ostfrontu pojawiają się pierwsze uszanki, i to głównie w oddziałach Waffen-SS. Najwyraźniej wojsko Himmlera uznało, że jest tak jednoznaczne ideologicznie, że może sobie pozwolić na pewną nonszalancję w umundurowaniu.

Tylko Niemcy tak dogmatycznie długi czas wzdragali się przed uszankami. Generał Władysław Anders uśmiecha się do zdjęć w Rosji w twarzowej uszance. W zimowych zdjęciach z wojny koreańskiej widać chłopców z US Army w zimowych czapkach niezwykle podobnych do sowieckich czap. Zachodnia Bundeswehra akurat w tej kwestii udowodniła, że jest – jak chciał Gomułka – „spadkobiercą Wehrmachtu". Po wojnie armia RFN brzydziła się uszankami. Za to od lat 50. czapki te triumfalnie wkroczyły do armii NRD-owskiej i Volkspolizei. W NRD zresztą po cichu kpiono z takich czap, nazywając je złośliwie „Bärenfotze", czyli niedźwiedzia łapa.

A uszanki pokochała także amerykańska policja w północnych stanach. Każdy fan filmu braci Cohen „Fargo" nie zapomni, jak w krajobrazie śnieżnej Dakoty Północnej ubrana w efektowną policyjną uszankę ciężarna policjantka Margit Gundersen mimo zadymki rozwala bandziorów jednego za drugim.

Jeśli się ma kogoś pokonać w śnieżycy, to trzeba skupić się na walce, a nie zastanawiać się, kiedy z zimna odpadną uszy. I teraz już wiecie, dlaczego „przegrał wojnę głupi malarz". ©℗

Ze względu na chorobę Piotra Semki publikujemy jego felieton, który ukazał się w „HDR" w 2015 r. Zdrowia, Piotrze!

eprasa.pl 0d139574de

1918–1919 / Miasto „Semper Fidelis" – zawsze wierne Rzeczypospolitej

Członkinie Ochotniczej Legii Kobiet. Na drugim planie komendantka Aleksandra Zagórska

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kobiety w obronie Lwowa

Tomasz Stańczyk

Były sanitariuszkami i łączniczkami, służyły pod gradem kul. Ale walczyły też z bronią w ręku

Być może historia potoczyłaby się inaczej, gdyby na poważnie wzięto informacje peowiaczki Janiny Wicher-Gibowskiej, która 24 października 1918 r. alarmowała Helenę Bujwidównę, stojącą na czele oddziału żeńskiego lwowskiej POW, że Ukraińcy szykują się do opanowania miasta. Ludwik de Laveaux, komendant POW nad Pełtwią, informował o tym oficerów stojących na czele dwóch innych struktur wojskowych, ale zlekceważyli oni ostrzeżenia, nie podjęto więc wspólnego przeciwdziałania. W efekcie polski Lwów był nieprzygotowany do odparcia ukraińskiego zamachu. Inna to już sprawa, że Polacy broniąc swojego miasta, wykazali się w pierwszych dniach listopada wspaniałą improwizacją.

„Elementy gorętsze"

Kobiety udzieliły ogromnego wsparcia walczącym mężczyznom. Były sanitariuszkami, niejednokrotnie ściągającymi rannych spod ostrzału – i wielu zawdzięcza im życie – łączniczkami przebiegającymi pod gradem kul, ale były też i takie, które brały broń do ręki i strzelały do nieprzyjaciela.

Zaraz po ukraińskiej próbie zawładnięcia miastem Komitet Obywatelski Polek, na którego czele stała malarka Maria Dulębianka, przyjaciółka i towarzyszka życia Marii Konopnickiej, zorganizował w swojej siedzibie punkt sanitarny. Aleksandra Zagórska, członkini komitetu uznała, że to za mało. Należała 10 lat wcześniej do Organizacji Bojowej PPS, była działaczką niepodległościową. Postanowiła, że trzeba stworzyć wspierającą mężczyzn, obrońców Lwowa, kobiecą służbę pomocniczą. Zorganizowała więc „z elementów gorętszych i bardziej odważnych spośród zgłaszających się dość licznie kandydatek na sanitariuszki oddział kurierek" („Zarys historii wojennej O.L.K. (Ochotniczej Legii Kobiet)", oprac. W. Kiedrzyńska).

Dzielne te kobiety, w większości dziewczęta, werbowały i przeprowadzały przez linię frontu na polską stronę tych, którzy chcieli zasilić szeregi obrońców miasta, i przenosiły meldunki

eprasa.pl 0d139574de

Odznaka pamiątkowa I lwowskiego batalionu Ochotniczej Legii Kobiet im. Emilii Plater FOT. ZAKŁAD NARODOWY IM. OSSOLIŃSKICH

do sztabu obrony mieszącego się początkowo w części miasta opanowanej przez Ukraińców. Były to przeważnie kobiety ze środowisk inteligenckich. „Pełniły wszystkie służbę swą z poświęceniem, nie cofając się nigdy przed wykonaniem rozkazu i przechodząc przez linię bojową zarówno w dzień, jak i w nocy, nieraz pod gradem kul. Co gorsza, narażone bywały na rewizje osobiste i brutalne zaczepki ze strony patrolów ukraińskich" („Zarys...", dz. cyt.) Lwów był, co warto przypomnieć, kolebką polskiego harcerstwa. A lwowskie harcerki odegrały ważną rolę w obronie miasta. Miały spisy bram przechodnich i podwórzy zebrane „na wpół dla zabawy, na wpół w nadziei, że się mogą przydać" i informacje o korytarzach piwniczych, które przechodziły nieraz pod wieloma domami. Bywało tak, że jeden dom, połączony z drugim piwnicami, znajdował się po ukraińskiej, a ten drugi – po polskiej stronie, więc informacje harcerek pomagały ochotnikom do obrony Lwowa przedostawać się na niezajętą przez wroga stronę. Później, gdy Ukraińcy pod koniec grudnia 1918 r. zniszczyli elektrownię, „sanitariuszki asystowały przy operacjach, godzinami całymi trzymając lampy nad stołami operacyjnymi", gdy zaś wodociągi przestały działać, nosiły wiadrami wodę ze studni. Było tych wspaniałych harcerek ok. 400, a większość z nich miała tylko 12–15 lat (wspomnienia M. Cseszcznakówny w książce „Służba ojczyźnie. Wspomnienia uczestniczek walk o niepodległość 1915–1918").

Waleczna Helena Bujwidówna

Helena Bujwidówna kwaterowała w Domu Techników, jednej z polskich redut. W skład odcinka „Dom Techników" wchodził pododcinek „Cytadela", którego dowódcą był por. Bernard Mond. Helena została jego „łącznikiem bojowym", gdyż dobrze znała miasto. Zaopatrywała też walczących w żywność. Pewnego razu, gdy biegła pod ostrzałem, poczuła silne uderzenie w bok, upuściła chleb i ratowała się ucieczką przed niechybną śmiercią. Kiedy zebrano potem bochenki chleba z bruku ulicy, były przestrzelone.

Porucznik Mond robił wypady swojego oddziału w stronę nieprzyjaciela. Brała w nich udział Bujwidówna. „Wyprawy te specjalnie mnie entuzjazmowały – wspominała. – Odbywały się pomiędzy innymi drogami kotów, to jest przez dachy i ganki przyległych kamienic. Na wycieczki wyruszaliśmy obładowani granatami ręcznymi i po dojściu na najbardziej wysunięty ku frontowi nieprzyjacielskiemu punkt rzucaliśmy w okopy ukraińskie granaty, prześcigając się w celności, częstokroć zmuszając Ukraińców do wycofania się ku bastionom cytadeli" (wspomnienia H. Bujwidówny w książce „Służba ojczyźnie...", dz. cyt.).

Bujwidówna była też snajperką, a znakomicie strzelała. Czesław Mączyński, komendant obrony Lwowa, wspomniał, że przedostawała się na strychy domów okalających Cytadelę, zajętą przez Ukraińców, i stamtąd „wyprawiała polowanie na nieprzyjaciół".

Felicja Sulimirska FOT. DOMENA PUBLICZNA

Helena Grabska FOT. DOMENA PUBLICZNA

Janina Prus-Niewiadomska FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dramatycznym epizodem w obronie Lwowa była stoczona 17 listopada walka o szkołę kadecką, ważną polską redutę. Nasi rodacy przejęli inicjatywę, odpierając groźne ataki. Bujwidówna wspominała: „Już nie pamiętam, jakim sposobem znalazłam się w kontrataku na park Stryjski". Zmagania były ciężkie, dochodziło do walki wręcz. „Z opresji tej wyszłam obronną ręką, straciwszy tylko dwa zęby". Razem z nią walczyła Wanda Bronisława Tynikówna, wcześniej służąca w Legionach jako wywiadowczyni i kurierka pułku oraz brygady Piłsudskiego.

Oficjalna statystyka podawała, że z bronią w ręku walczyło kilkanaście kobiet, ale w rzeczywistości było ich zapewne kilka razy więcej. „Dziewczęta bowiem – stwierdzał Ignacy Ziemiański – przebrane za chłopców, bojąc się wyrzucenia z szeregów, wytężały cały swój wysiłek, by ukryć swoją płeć. Dlatego często dopiero przy opatrunku odkrywano, że pod mundurem morowego Władka lub Staśka kryła się skromna Zosia, Jadzia lub Małgosia. Tak sfabrykowany z Bożej łaski chłopak obrywał przy sposobności szturchańca, popartego »kwiecistym« szczegółem żargonu batiara lwowskiego, gdy na przykład nie dość się starał

eprasa.pl 0d139574de

przy dźwiganiu działa lub jaszcza itd. (I. Ziemiański, „Praca kobiet w P.O.W. Wschód").

Gdy odsiecz Wojska Polskiego była już u bram Lwowa, śmiertelnie ranna została 21 listopada sanitariuszka Felicja Sulimirska, dziewczyna odznaczająca się ujmującą urodą. „Jak kwiat wiosenny śmiała się do życia, zawsze ku słońcu zwrócona" – pisano o niej we wspomnieniu pośmiertnym w „Kurierze Lwowskim". Pochowano ją, wraz z kilkoma innymi poległymi na zboczu przylegającym do cmentarza Łyczakowskiego. Już wówczas narodziła się, zrealizowana później, myśl założenia na tym miejscu cmentarza Obrońców Lwowa.

Następnego dnia pod naciskiem obrońców Lwowa i odsieczy Wojska Polskiego, na czele której stał płk Michał Tokarzewski-Karaszewicz, lwowianin z urodzenia, Ukraińcy opuścili Lwów. Bujwidówna pisała, że później przeżyła oswobodzenie Wilna i Kijowa spod bolszewickiej władzy, lecz – jak wspominała – „nigdy jednak nie doznałam tak silnego uczucia, jak we Lwowie. Czułam, że stanowię jedno z tym przedziwnym miastem o tak niesłychanej sile przyciągającej, czułam, że jestem cząstką nierozerwalną tej ziemi, okupionej krwią i trudem, czułam się drobną cząstką zbiorowej duszy Lwowa".

Lwów był bowiem w czasach przed pierwszą wojną najbardziej polskim, oprócz Warszawy, z polskich miast. Józef Piłsudski, nadając miastu Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari za obronę przed Ukraińcami w latach 1918–1919, wyznał, że gdy przyjechał do Lwowa z myślą o podjęciu walki zbrojnej o niepodległość Polski, spotkał się z gorącym zrozumieniem i poparciem jego mieszkańców. To właśnie we Lwowie powstał w 1908 r., założony przez Kazimierza Sosnkowskiego, Związek Walki Czynnej, a następnie Związek Strzelecki, paramilitarna organizacja szkoląca przyszłe kadry Wojska Polskiego.

Obrona Lwowa to w powszechnej opinii wydarzenie z listopada 1918 r. Jednak był to dopiero początek wojny z Zachodnioukraińską Republiką Ludową, trwającej aż do lata 1919 r.

Wyzwolenie Lwowa w listopadzie 1918 r. było radosnym zdarzeniem, ale potem nastąpiły ciężkie walki o miasto, które było oblegane przez wojsko ukraińskie.

Helena Bujwidówna w szeregach obrońców odcinka „Cytadela" FOT. WIKIPEDIA

Ochotnicza Legia Kobiet

W sytuacji, gdy Lwów był nadal zagrożony, Aleksandra Zagórska podjęła inicjatywę stworzenia Ochotniczej Legii Kobiet. Jednak pomysł ten władze wojskowe – nie bacząc na zasługi kobiet w listopadowej obronie miasta – powitały „niechętnie i drwiąco".

Na szczęście Zagórska zyskała sojusznika w Wicie Sulimirskim, który organizował Miejską Straż Obywatelską i wsparł jej inicjatywę. Zgłaszały się do OLK niemal wyłącznie dziewczęta i kobiety ze sfer inteligenckich, urzędniczki, nauczycielki, studentki, gimnazjalistki. Wydelegowany przez Sulimirskiego por. Nowarecki stanął na wysokości zadania i z powagą podszedł do wojskowego szkolenia kobiet. Pełniły służbę wartowniczą, kurierską i doprowadzały do komisji poborowej uchylających się od obowiązku służby wojskowej. „Specjalnie ta funkcja narażała milicjantki na obmowy tych właśnie mężczyzn, którzy od służby się uchylali".

Na tym się jednak nie skończyło. Niektóre kobiety chciały walczyć z bronią w ręku. Powstała w ramach Ochotniczej Legii Kobiet grupa bojowa. Wysłano ją pod koniec grudnia 1918 r. do podlwowskich Krzywczyc, na pierwszą linię frontu, by zastąpiły żołnierzy. I chociaż nie musiały walczyć, to i tak przeżyły swój chrzest bojowy. Gdy bowiem one zostały zluzowane, szły na tyły pod gradem ukraińskich kul. Walczyły natomiast dzielnie pod Zboiskami.

Do oddziałów szturmowych wcielano prawie wszystkie kobiety „bez względu na kwalifikacje osobiste i konduitę". Nic więc dziwnego, że „wytworzyła się tam przedziwna mieszanina najrozmaitszych typów: młodziutkie uczennice, służące, robotnice, kelnerki, studentki, nauczycielki, wreszcie spory procent dziewcząt bez ściśle określonego zajęcia" („Zarys...", dz. cyt.).

Janina Prus-Niewiadomska, nazywana siostrą Wandą (był to pseudonim z czasów, gdy była sanitariuszką w Legionach), brała udział w walkach o Persenkówkę na przełomie lat 1918 i 1919, a sytuacja dla Polaków była bardzo krytyczna. 6 stycznia „nasz żołnierzyk młody zaczął się cofać i dopiero za przykładem siostry Wandy, która, choć nie żołnierz, a tylko sanitariuszka, szła pełna brawury w pierwszych szeregach, zachęcając do kontrataku i dzięki temu odparto nieprzyjaciela" (M. Bruchnalska, „Z obrony bohaterskiego Lwowa i Małopolski Wschodniej. Udział ziemianek"). Janina opłaciła ten sukces własnym życiem. Ukraińska kula trafiła ją, gdy próbowała ratować rannego.

Jako wartowniczki członkinie OLK walczyły z grabieżami dokonywanym przez „rozpętane szumowiny podmiejskie" i zdarzało się, że strzelały do nich. Bronisława Fąfara została poważnie ranna w strzelaninie, kiedy odpierała napaść na magazyn broni na Wysokim Zamku.

Nie zeszła z posterunku

Po eksplozji magazynów amunicji na lwowskim dworcu kolejowym w kwietniu 1919 r. członkinie OLK ratowały z płonących wagonów, co się dało, nawet beczki z benzyną – uzyskały za to później pochwałę dowództwa. Jedną z nich była ochotniczka, która przyjechała z Płocka, 15-letnia Helena Grabska. „Odkładała bułki na śniadanie, by mieć czym zajechać do Lwowa". Zginęła na dworcu. Gdy

eprasa.pl 0d139574de

nastąpił ukraiński ostrzał, wszyscy kryli się, by uniknąć kul. Helena nadal ratowała zawartość wagonów. Powiedziała, że jest żołnierzem, otrzymała rozkaz i z posterunku nie zejdzie. W jej rzeczach odnaleziono niewysłaną do koleżanki kartkę, na której napisała: „Czy wyobrażasz sobie, jakem szczęśliwa jestem nareszcie z tymi, które bronią ojczyzny?”.

W maju po raz ostatni Ukraińcy zagrozili bardzo poważnie miastu. Legionistki zajęły pozycję w Sokolnikach, ale tam zastały tylko rannych i zabitych, żołnierze ukraińscy byli w odwrocie. Do walki nie doszło „ku wielkiemu żalowi rwących się do wojennych czynów dziewcząt” („Zarys...”, dz. cyt.).

Uderzająca była zmiana stosunku do Ochotniczej Legii Kobiet, gdy niebezpieczeństwo minęło. W chwilach grozy nawet „najbardziej małoduszny i filisterski odłam społeczeństwa” przyjaźnie patrzył na służbę wojskową kobiet. Kiedy jednak Ukraińcy odstąpili od Lwowa, „przypomniano sobie, że „to nie wypada, ażeby kobiety pełniły służbę wojskową, chodziły z karabinami, strzelały, stały w nocy na warcie itd.”. A przeciwniczkami tych kobiet były też inne kobiety, które na swoich zebraniach mówiły, że „to niemoralne i niezdrowe, że tego nigdy na świecie nie było”.

Koszary OLK przeniesiono z gmachu gimnazjalnego do baraków znajdujących się w opłakanym stanie. Zagórska starała się o inną lokalizację, a skoro się to nie udało, to wniosła podanie, aby OLK zwolnić ze służby wojskowej. Nie zgodzono się na to, trwała wojna. Starano się poprawić warunki bytowe legionistek, jednak część z nich opuściła szeregi. Chociaż władze wojskowe były zasadniczo przeciwne służbie kobiet w pierwszej linii, z karabinami w ręku, to jednak dramatyczna sytuacja militarna powodowała, że godzono się na nią. Tak właśnie było we Lwowie oblężonym przez Ukraińców, jak również podczas wojny z bolszewicką Rosją, gdy powstawały bataliony i kompanie Ochotniczej Legii Kobiet.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Spory o kościoły we Lwowie

Tomasz Stańczyk

Na krótko przed Wielkanocą pojawiła się informacja, że w kościele św. Antoniego we Lwowie rezurekcja zostanie odprawiona w języku ukraińskim, zamiast w polskim. Po raz pierwszy w tej świątyni. Była to wiadomość bulwersująca nie tylko dla lwowskich Polaków. Ostatecznie, w rezultacie protestów, gospodarze świątyni – franciszkanie – postanowili, że będzie też druga rezurekcja, w języku polskim. Kościół św. Antoniego był w czasach sowieckich jedną z dwóch – oprócz katedry – czynnych świątyń rzymskokatolickich. Dziś nabożeństwa odbywają się w języku polskim i ukraińskim.

Kościół franciszkanów został wybudowany w XVIII w., zakonnicy zostali usunięci z niego, gdy Lwów znalazł się w zaborze austriackim. W 1924 r. w tej świątyni został ochrzczony Zbigniew Herbert.

Po 1945 r. franciszkanie wyjechali ze Lwowa, pozostał tylko o. Rafał Kiernicki, który był proboszczem katedry lwowskiej, z przerwą, gdyż na kilka lat władze pozbawiły go prawa posługi kapłańskiej. Odegrał ogromną rolę w podtrzymywaniu wiary i polskości. W 1991 r. Jan Paweł II mianował go biskupem pomocniczym lwowskim. Kiernicki zmarł cztery lata później, obecnie toczy się jego proces beatyfikacyjny.

Franciszkanie odzyskali kościół na początku lat 90. ubiegłego wieku. Pod koniec 2020 r. zakończył się remont barokowych, monumentalnych schodów z figurą Matki Boskiej. Podjęto prace ratunkowe – balustrady schodów były w bardzo złym stanie, ich stan zagrażał stabilności figury – przeprowadzone przez firmę Zabytki Konserwacje Remonty, a sfinansowane przez Instytut Polonika.

Dwa kościoły rzymskokatolickie nie zaspokajają potrzeb wiernych. Mieczysław Mokrzycki, abp lwowski, w niedawnym wywiadzie dla „Kuriera Galicyjskiego” powiedział, że wciąż trwają starania o odzyskanie kościoła Matki Boskiej Gromnicznej, „z którego ojcowie dominikanie wraz ze wspólnotą parafialną, z duszpasterstwem młodzieży zostali wyrzuceni na bruk” oraz kościoła św. Marii Magdaleny, który obecne służy jako sala organowa. Sprawa tych kościołów to nie konflikt polsko-ukraiński, gdyż do Kościoła rzymskokatolickiego należą zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. W przypadku świątyni Matki Boskiej Gromnicznej, jest to konflikt między wspólnotą greckokatolicką a rzymskokatolicką. Decyzji Stolicy Apostolskiej o przekazaniu tej świątyni tej drugiej wspólnocie nie udało się wyegzekwować.

W ubiegłym roku Instytut Polonika finansował prace w ramach projektu „Dziedzictwo Tadeusza Czackiego w Krzemieńcu”, realizowanego przez Towarzystwo Tradycji Akademickiej we współpracy z Fundacją Dziedzictwa Kulturowego. O tym projekcie zacnych instytucji postaram się napisać szerzej w następnym numerze. ©℗

eprasa.pl 0d139574de

Bitwa pod Ostrołęką – obraz Karola Malankiewicza (scena z bitwy o most) FOT. WIKIPEDIA

1831 r. / Powstanie listopadowe (3)

Klęska na własne życzenie

Maciej Rosalak

O futbolu mówi się, że niestrzelenie gola w dogodnej sytuacji mści się utratą własnej bramki. To właśnie stało się 26 maja 1831 r. na polu bitwy pod Ostrołęką...

Pozostając przy piłkarskich porównaniach, pod Ostrołęką straciliśmy nie tylko jedną bramkę, lecz także przegraliśmy cały mecz i nie wróciliśmy do europejskich rozgrywek aż do początku następnego stulecia. Ziarno klęski – o czym pisałem tu przed miesiącem – tkwiło w niewykorzystaniu dogodnej sytuacji do zniszczenia oddziałów gwardii carskiej, dość niefrasobliwie rozmieszczonych pod

eprasa.pl 0d139574de

dowództwem wielkiego księcia Michała między Ostrołęką a Łomżą i otoczonych już pod Śniadowem.

Plan ich rozbicia, a potem rozprawienia się z głównymi siłami gen. Iwana Dybicza przedstawił gen. Ignacy Prądzyński, a odrzucił go po burzliwej dyskusji nocą z 17 na 18 maja głównodowodzący gen. Jan Skrzynecki. Nie wydał rozkazu do ataku – dotąd nie wiadomo dlaczego. Co więcej, po paru dniach, demonstrując całkowity brak wyczucia czasu i przestrzeni, ruszył w pogoń, gdy już było za późno, bo gwardziści uszli pod Białystok. Natomiast Dybicz zorientował się w nowej sytuacji i postanowił ją wykorzystać. Dlatego ruszył szybkim marszem z całą armią na Warszawę.

Ostrołęka

Droga Rosjan wiodła przez Ostrołękę. Znaleźli się pod miastem akurat wtedy, gdy siły polskie znajdowały się tu w fatalnym położeniu, zaskoczone przybyciem wroga, rozczłonkowane po obu stronach Narwi. Wina za to spada oczywiście na naszego głównodowodzącego, który wysłał wprawdzie znaczne zgrupowania dla ubezpieczenia w różnych kierunkach, ale błyskawicznego uderzenia Dybicza od strony Siedlec pod uwagę nie wziął.

I tak 26 maja Skrzynecki dysponował 30 tys. żołnierzy, z których większość znalazła się na nisko położonej, płaskiej, odkrytej przestrzeni po prawej stronie Narwi, a miasta po lewej stronie rzeki broniła brygada pod dowództwem gen. Ludwika Bogusławskiego. Oczywiście obronić go nie mogła, mimo zażartej walki polskich oddziałów – a zwłaszcza 4. Pułku Piechoty Liniowej. Rosjanie zajęli miasto, a ich czołowe oddziały błyskawicznie przeszły przez most i utworzyły przedmoście.

Dybicz pod Ostrołęką dysponował 35 tys. żołnierzy, a więc siłami niewiele liczniejszymi od Polaków (pod Olszynką jego przewaga była o wiele większa, a mimo to nie dał nam rady). Szybki marsz, zajęcie dogodnej pozycji, wykorzystanie błędów przeciwnika i sprawne dowodzenie wspierał jeszcze jeden atut – potężna artyleria. Otóż Polacy mieli 74 działa, a Rosjanie – 148. Dokładnie dwa razy więcej! Przy tym ogień ich pozycyjnych armat dużego kalibru, prowadzony – jak na strzelnicy – do Polaków na odkrytej przestrzeni prawego brzegu rzeki był zabójczy. Po raz pierwszy w tej wojnie straciliśmy znacznie więcej ludzi niż przeciwnik: 6,5 tys. do 5,7 tys.

Piechurzy rosyjscy bez większego trudu spychali polskich tyralierów, rozszerzając zdobyte przedmoście. Tworzyli pole do rozwinięcia się kawalerii, zmasowanej w Ostrołęce. Jej szarża stanowiłaby dla polskich wojsk – przegrywających i skrwawionych, tracących ducha walki – cios ostateczny. I znów – jak pod Iganiami – w kulminacyjnym momencie wkracza Józef Bem (awansowany już do stopnia podpułkownika) ze swą znakomitą 4. baterią lekkokonną. Zatrzymał on bieg wydarzeń wiodących ku kompletnej katastrofie. Tak o tym pisał Jerzy Boguski („Przegląd Kawaleryjski" nr 61–62/1930 r.):

„[…] baterja rusza z miejsca naprzód, aby uderzyć ogniem w masy rosyjskie. Podpułkownik Bem wysunął się przed baterję, aby wybrać stanowisko. Przejechał własną linję, przejechał łańcuch tyraljerów rosyjskich, i z tyłu nich zatrzymując się dał znak baterji, aby za nim podążała. Baterja cwałem przejechała linję rosyjską, która załamała się i odskoczyła w tył. W szyku rozwiniętym, gnając na karkach Moskali, baterja dojeżdża do miejsca, gdzie stał ppłk Bem, odprzodkowuje i natychmiast rozpoczyna gwałtowny i celny ogień kartaczami. Rosjanie na chwilę wstrzymali swój ruch i ogień artylerji, oszołomieni tym wypadem. Niedługo to trwało, huragan skoncentrowanego ognia, mając bliski, doskonale widoczny cel, uderzył w baterję. Kurz i dym osłonił tylko jej stanowisko. Blisko godzinę trwał ten morderczy ogień, z baterji pozostały tylko dwa działa, reszta była strzaskana, większość obsługi wybita. Przy pomocy zapasowych przodkarów ppłk Bem i kpt. Jabłonowski własnoręcznie zaprzodkowali ocalałe działa i uwieźli w tył. W trakcie zaprzodkowywania ppłk. Bem został kontuzjowany".

Brawurowy atak 4. baterii walnie przyczynił się do w miarę uporządkowanego odwrotu, a więc ocalenia naszej armii. Łamiąc szeregi piechoty rosyjskiej i spychając ją na most, udaremnił Dybiczowi przeprawienie nim jazdy na drugi brzeg Narwi do druzgocącej szarży. „Skrwawione szczątki 4. lekkokonnej razem z całą armją, odeszły nocą z pola chwały ku Warszawie. Ludność stolicy witała baterję z entuzjazmem, obrzucając kwiatami…" – pisał Boguski. Podobną wdzięczność warszawiacy okazali swym „dzieciom" – 4. Pułkowi Piechoty Liniowej, który poniósł dotkliwe straty podczas bohaterskiej obrony Ostrołęki.

Ku przegranej

Potem morale w armii upadło, nadwątlone nie tyle nawet nadmiernymi stratami, ile utratą zaufania do własnych dowódców. Ale główny winowajca klęsk – dyktator Skrzynecki – jeszcze dwa miesiące dowodził wojskami. Później następcy kilkakrotnie się zmieniali, ale samobójcze kunktatorstwo trwało do samego końca. Za to dowodzenie nad armią rosyjską po zmarłym na cholerę Dybiczu przejął sprawny i zdeterminowany, wsławiony zwycięstwami na Zakaukaziu i na Bałkanach gen. Iwan Paskiewicz. Dysponował ciągle uzupełnianymi wojskami oraz licznymi działami. U nas coraz bardziej brakowało dobrze wyszkolonych i zahartowanych w bojach żołnierzy, zabitych i poranionych we wcześniejszych bitwach. Przygniatająca przewaga

eprasa.pl 0d139574de

wroga w artylerii przestała być choć w pewnym stopniu równoważona męstwem, karnością i wolą zwycięstwa, które dotąd przynosiły sukcesy polskiej armii.

Latem załamało się powstanie na Litwie, gdzie liczne oddziały partyzanckie zostały w maju wsparte wojskiem polskim prowadzonym przez generałów Antoniego Gielguda, Dezyderego Chłapowskiego oraz Henryka Dembińskiego. Wyjątkowo nieudolne dowodzenie Gielguda doprowadziło do klęsk w polu, odcięcia od Królestwa i wreszcie do internowania 15 tys. naszego w pełni uzbrojonego wojska w Prusach (po przejściu granicy generała zastrzelił jeden ze zrozpaczonych polskich oficerów). Jedynie gen. Dembińskiemu udało się przebić do Królestwa. Wśród pytań o powody klęski na Ziemiach Zabranych jedno powtarza się uparcie: Dlaczego do wyprawy na Litwę nie doszło pół roku wcześniej – gdy istniała szansa połączenia ze spolonizowanym korpusem litewskim?!

O ile na Litwie powstanie zyskało spore poparcie – także chłopstwa, nawet litewskiego – o tyle na Wołyniu i Podolu, poza częścią obywatelstwa, nie wywołało większego poruszenia. Znakomity żołnierz i dowódca, jakim był Józef Dwernicki, po kilku wygranych bitwach od Warki po Zamość, zwyciężył też pod wołyńskim Poryckiem. Musiał jednak ustąpić w drugiej połowie kwietnia pod Beresteczkiem i Boremlem po walce ze znacznie liczniejszym wojskiem rosyjskim prowadzonym przez gen. Fiodora Rydygiera.

Natomiast akcja dyplomatyczna rządu powstańczego, zmierzająca przede wszystkim do uznania nas przez Wielką Brytanię i Francję za stronę walczącą, też nie odniosła sukcesów. Mocarstwa zachodnie zadowoliły się brakiem sprzeciwu Rosji wobec ogłoszenia niepodległości Belgii, a za to sprawę polską uznały za wewnętrzną sprawę Imperium Rosyjskiego. Prusy i Austria formalnie ogłosiły neutralność, ale Berlin łamał ją, wspomagając Moskwę działaniami tzw. armii obserwacyjnej w Poznaniu, nie internując maruderów rosyjskich oraz regularnie dostarczając broń i żywność. Skandalem było zbudowanie przez Prusaków mostu w Osieku pod Toruniem, którym armia Paskiewicza przeszła na zachodnią stronę Wisły. Austria była

Orzeł z kaszkietu 4. Pułku Piechoty Liniowej

FOT. ARCHIWUM

bardziej powściągliwa, ale jednak internowała przebijający się z Wołynia korpus Dwernickiego.

Za Władysławem Zajewskim (S. Kieniewicz, A. Zahorski, W. Zajewski „Trzy powstania narodowe") przytoczę wypowiedź księcia Adama Czartoryskiego, który z goryczą pisał na emigracji o dwulicowości dyplomacji państw zachodnich: „Polegaliśmy na szlachetności i mądrości gabinetów, zaufaliśmy im, nie wyczerpaliśmy wszystkich środków, jakie otwierały się przed nami wewnątrz kraju i na zewnątrz. Aby pozyskać gabinety, pozyskać ich zaufanie i uzyskać ich pomoc, nie pozbyliśmy się półśrodków [...]. Mogliśmy zadać cios, który być może stałby się decydujący, lecz uważaliśmy, że należy zwlekać, niczego nie zdawać na przypadek i mamy dziś już pewność, że tylko przypadek mógł nas uratować".

Wygląda na to, że do tych „półśrodków" należało przede wszystkim zaniechanie likwidacji pańszczyzny i uwłaszczenia chłopów, ale też niewykorzystywanie możliwości, jakie do później wiosny 1831 r. dawał – dzięki polskiemu żołnierzowi – rozwój sytuacji militarnej.

Szturm stolicy

Paskiewicz przywiódł pod Warszawę ponad 70-tysięczną armię (w tym 54 tys. piechoty) i ogromną artylerię liczącą 360 luf. Wojsko polskie w Warszawie liczyło 37 tys. bagnetów i 3 tys. szabel, a także 200 dział, z czego jednak połowa była polowych. Siły te podzielono na dwa korpusy: gen. Jana Umińskiego oraz gen. Henryka Dembińskiego. Linię obrony najbliżej miasta stanowiły wały pokrywające się z linią rogatek (dowodził tu – dwa tygodnie wcześniej mianowany generałem – Józef Bem, mający w odwodzie 50 armat), a przed nią rozciągnięto linię redut i fortów. Węzłowa była reduta nr 56 na Woli, kryjąca ogniem wraz z sąsiednimi redutami i fortami znaczny obszar zachodniego przedpola Warszawy. Tu też przebiegała linia rozgraniczenia między obydwoma korpusami polskimi. Obroną reduty wolskiej dowodził gen. Józef Sowiński.

Nasuwa się pytanie, dlaczego Skrzynecki nie odważył się zaatakować sił Paskiewicza ani na wschodnim, ani na zachodnim brzegu Wisły, na którym ten znalazł się już 21 lipca, choć okazje po temu były. Zląkł się też wydania walnej bitwy nad Bzurą, na co nalegali niektórzy zdesperowani generałowie, z Prądzyńskim na czele. Cóż, 89 lat później, gdy śladem Paskiewicza chciał podążyć komandarm Tuchaczewski, polska armia miała Naczelnego Wodza z prawdziwego zdarzenia, który potrafił pogonić Rosjan znad Wisły daleko na wschód.

Dodajmy, że 23 sierpnia 1831 r. – wodzem naczelnym był zresztą akurat gen. Kazimierz Małachowski – wyszedł ze stolicy i podążał na wschód ponad 20-tysięczny, dobrze uzbrojony korpus gen. Hieronima Ramorina. Specjalna misja najemnego włoskiego generała polegała na wyprowadzeniu z Warszawy ks. Adama Czartoryskiego wraz ze współpracownikami. W okolicach Międzyrzeca Podlaskiego korpus stoczył 29 sierpnia taktycznie wygraną bitwę z operującym tu 15-tysięcznym korpusem gen. Grigorija Rosena, ale jakby celowo nie wykorzystał przewagi, nie rozbił rosyjskiego zgrupowania, a do stolicy zawrócił za późno.

Rosjanie do natarcia ruszyli wczesnym rankiem 6 września, atakując od razu (wbrew polskim przewidywaniom) w najsilniejszym miejscu polskiej obrony – na Woli. Uszykowany w dwie kolumny korpus gen. Piotra Pahlena przełamywał naszą obronę konsekwentnie i sprawnie, zdobywając kolejne forty i sąsiednie reduty po miażdżącym ostrzale armat, a następnie kierując ze zdobytych pozycji ogień artylerii i natarcia piechoty na kolejne cele. Przykra niespodzianka spo-

eprasa.pl 0d139574de

tkała ich tylko w forcie bronionym przez dwie kompanie z 1. Pułku Piechoty. Po zakłuciu bagnetami niemal wszystkich obrońców, gdy już fort był w ich rękach, nagle potworny wybuch rozerwał umocnienia i zabił aż 300 Rosjan. Adam Mickiewicz mylnie, choć pięknie przypisze rymem ten rzekomo samobójczy czyn Juliuszowi Ordonowi (został poparzony).

Z kolei Juliusz Słowacki w pięknym, prostym wierszu opisze śmierć generała Sowińskiego na wałach reduty wolskiej, przed kościółkiem św. Wawrzyńca, gdy wdarli się tam Rosjanie. O szczegółach różnie mówią świadectwa, ale śmierć pozostaje faktem. Z nieszczęsnej, krótkotrwałej obrony stolicy Królestwa Polskiego, która do reszty skompromitowała naszą generalicję, pozostał nam właśnie mit beznogiego (stracił nogę pod Borodino) obrońcy Woli.

Po przełamaniu linii fortów i redut Paskiewicz wstrzymał działania do następnego dnia. Rankiem 7 września znów zagrały rosyjskie armaty, a szturmy napastników przerywały układy. Do kapitulacji miasta parł gen. Jan Krukowiecki, pełniący wówczas funkcję prezesa rządu. Cały ten dzień 7 września pogorszył sytuację polską na szańcach Warszawy, ale nie wszystko było jeszcze stracone. Jak pisał 100 lat później Wacław Tokarz: „Polacy mogli zdecydować się na obronę stolicy do ostateczności, na walkę na ulicach nawet, byleby doczekać się nadejścia Ramorina, które zmieniało położenie całkowicie". O kapitulacji zadecydowały jednak presja generałów oraz magistrat Warszawy, o którym Jerzy Łojek napisał, że był „pozbawiony instynktu patriotycznego".

I tak 32-tysięczne wojsko z 91 działami opuściło bez dalszej walki stolicę, a rankiem 8 września Rosjanie wkroczyli do niej, nie napotykając oporu. Z większością żołnierzy gen. Maciej Rybiński przeszedł 5 października granicę pruską pod Brodnicą. Innych (jak Ramorina) internowały władze austriackie, jeszcze inni – np. załogi Modlina (8 października) i Zamościa (21 października) – szli do niewoli rosyjskiej. 11 tys. uczestników powstania przedostało się zachód. Z nich przede wszystkim powstała Wielka Emigracja, usiłująca „wśród potępieńczych swarów" wysnuć z narodowej klęski wnioski na przyszłość. Warto to przypomnieć dziś, 190 lat później.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Radosny chichot historii

Maciej Rosalak

Tuż po zakończeniu wojny komuniści ustanowili kwiecień „miesiącem pamięci narodowej". Kogo należało pamiętać? Otóż – po tej strasznej dla nas wojnie, rozpętanej przez Hitlera i Stalina – wyłącznie rodaków, którzy zginęli z rąk Niemców. O rodakach poległych i pomordowanych przez ich sojuszników na Wschodzie należało zapomnieć, a w każdym razie głośno o nich nie mówić. To sprzyjało jednoczeniu budującego socjalizm społeczeństwa, a zarazem pozwalało wpajać przekonanie o „wyzwoleniu" w kwietniu 1945 r. wszystkich ziem polskich przez Armię Czerwoną i „ludowe wojsko polskie" oraz o oswobodzeniu więźniów z wszystkich hitlerowskich obozów koncentracyjnych, czyli lagrów. O łagrach, w których zresztą nadal harowało, głodowało i zamarzało wielu Polaków, lepiej było zapomnieć. Przede wszystkim powinni zapomnieć wywłaszczeni z ojcowizny mieszkańcy Kresów, którzy z wielką radością i wdzięcznością w sercach wysiadali z bydlęcych wagonów na „ziemiach odzyskanych", mając w stosownych rubrykach dowodów osobistych wpisywane: „urodzony na terenie ZSRR". Byli też tacy, szczególnie wśród świeżego naboru do PPR, UB i MO, którzy naprawdę wierzyli, że zbrodnia katyńska obciąża Niemców, a nie panów ich sumień oraz wyobraźni – Sowietów…

Minęły lata… Kwiecień nadal jest miesiącem pamięci narodowej, ale pamięć ogarnia rozleglejsze obszary. Akurat tego miesiąca ruszyły w 1940 r. transporty z polskimi oficerami, policjantami i funkcjonariuszami: 3 kwietnia z Kozielska do Katynia, 4 kwietnia z Ostaszkowa do Kalinina, 5 kwietnia ze Starobielska do Charkowa. Strzał w tył głowy czekał ich w miejscu docelowym, zawsze w gościnie u NKWD: czy to w lesie, czy w piwnicy. Niemal jednocześnie – 13 i 14 kwietnia – NKWD porywało na terenach byłej Rzeczypospolitej – przyłączonych do jedynego na świecie Kraju Rad, „gdzie tak swobodnie oddycha człowiek" – ich rodziny i deportowało w potwornych warunkach na wschód, do łagru, w tajgę lub w bezludny step na poniewierkę i śmierć. Pamięć o tym wszystkim została przywrócona, w kwietniu odżywa wbrew intencjom pomysłodawców ustanowienia „miesiąca pamięci", a historia chichocze, czegoś zadowolona…

„Wraca dziś pamięć o tych, których nie ma…" – śpiewał w PRL z akompaniamentem Czerwonych Gitar Krzysztof Klenczon. Jego piosenka o białym krzyżu, który stoi w polu „i nie pamięta już, kto pod nim śpi", jest piękna, aczkolwiek niektórzy odbierali ją w końcu lat 60. jako utwór z popieranego przez ówczesne władze „nurtu partyzanckiego AL", czytaj: „moczarowskiego". Nic bardziej mylnego. Dziś wiemy, że ojciec Krzysztofa – Czesław Klenczon – był oficerem Armii Krajowej, potem Żołnierzem Wyklętym, któremu udało się ujść z łap bezpieki i 10 lat ukrywać się pod obcym nazwiskiem na Pomorzu. Dopiero po 1956 r. mógł się ujawnić i wrócić do rodziny w Szczytnie, nawiązując wspaniały kontakt z synem. Wyjaśnia się, dlaczego w 1968 r. piosenkarz po wygraniu tą piosenką konkursu w Opolu położył na scenie wiązankę białych róż… A historia zachichotała jakoś wyjątkowo radośnie. ©℗

eprasa.pl 0d139574de

Gwintówki nie dla wszystkich

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Sukcesy piechoty rewolucyjnej oraz napoleońskiej Francji sprawiły, że inni przejmowali szyk kolumnowo-tyralierski...

Do lat 90. XVIII w. w Europie niepodzielnie królowała taktyka linearna. Jej istotą było dążenie do maksymalnego wykorzystania ognia broni palnej, co wymagało dużej dyscypliny i długotrwałych ćwiczeń. Palmę pierwszeństwa dzierżyła piechota formowana zazwyczaj w trzyszeregową linię i strzelająca salwami na komendę. Na takie metodyczne prowadzenie walki nie mogła sobie pozwolić francuska armia doby rewolucji. Rząd I Republiki, prowadząc wojny na wielu frontach, musiał się oprzeć na powszechnym obowiązku służby wojskowej, co doprowadziło do powstania narodowej siły zbrojnej o liczebności wcześniej niespotykanej.

Liczna, tworzona w ogniu walki, nowa armia nie mogła wyszkolić w krótkim czasie setek tysięcy poborowych, wobec czego francuscy dowódcy zmuszeni byli zarzucić taktykę linearną i zgrupować żołnierzy w głęboki i zwarty batalionowy szyk kolumnowo-tyralierski. Zdecydowanie prymitywniejszy, był jednak łatwiejszy do sformowania i prostszy w kierowaniu, co umożliwiało znacznie szybsze podejście do nieprzyjaciela i przełamanie jego ugrupowania. Owszem, karabin skałkowy pozostał podstawowym orężem żołnierzy piechoty, a pojedynek ogniowy stanowił istotną część boju, przynosząc – procentowo – gros strat krwawych. Z drugiej jednak strony, z uwagi na techniczną niedoskonałość i niskie osiągi ówczesnej broni, a także brak czasu na odpowiednie szkolenie strzeleckie, atak na bagnety wydawał się nie tylko wskazany, lecz także konieczny.

Straty zadane bagnetem nie były duże, ale nie o to tak naprawdę chodziło. Śmiałe natarcie zdeterminowanych żołnierzy wystarczało często do przełamania nieprzyjacielskiego szyku, a reszty dopełniał pościg. Taki sposób wojowania, ugruntowany w dobie napoleońskiej i przyjęty przez inne państwa, z wyjątkiem Brytyjczyków, zdominował pola bitewne na wiele dziesięcioleci. Mimo stopniowego doskonalenia szyku tyralierskiego uderzenie zwartej kolumny najeżonej bagnetami uważano jeszcze w drugiej połowie XIX w. za element rozstrzygający o zwycięstwie. Prowadziło to zazwyczaj do koszmarnych strat.

Takie zachowawcze poglądy znalazły swoje odbicie także w podejściu wielu wojskowych do udoskonaleń związanych z bronią palną strzelecką. W latach 40. XIX w. opracowano we Francji nową amunicję, dzięki czemu zlikwidowano problem kłopotliwego ładowania odprzodowych karabinów gwintowanych (pociski Minié). Pomimo wielokrotnie lepszych parametrów balistycznych w broń gwintowaną wyposażono jedynie oddziały elitarne, czyli walczących w rozproszeniu i intensywnie szkolonych strzelców pieszych (na zdjęciu: zbiory Muzeum Armii w Paryżu, fot. M. Mackiewicz), oraz żuawów, a atakującej w szyku kolumnowym piechocie liniowej pozostawiono karabiny gładkolufowe. Dopiero po wojnie krymskiej, o której wyniku zadecydowała w dużej mierze technologiczna przewaga Anglików – którzy jako pierwsi wyposażyli całą armię w broń gwintowaną i zapoczątkowali intensywne szkolenie strzeleckie wszystkich żołnierzy – i Francuzów nad Rosjanami, zdecydowano się wyposażyć całą armię francuską w gwintówki. Podobnie uczyniono zresztą w Rosji. ©℗

eprasa.pl 0d139574de

Mons Meg

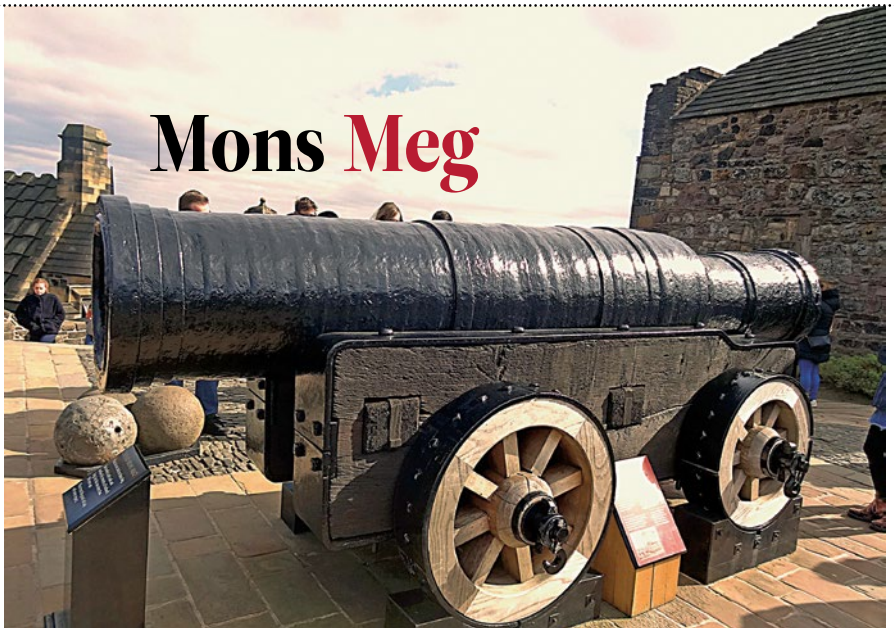

Eksponowana na edynburskim zamku bombarda oblężnicza należy do największych średniowiecznych dział zachowanych do naszych czasów. Mons Meg została wykuta w 1449 r. przez walońskiego mistrza Jehana Cambiera w Mons. Stanowiła prezent ślubny od burgundzkiego księcia Filipa Dobrego dla króla Szkocji Jakuba II, ożenionego z krewniaczką księcia Marią Geldryjską. Stanowiła mniejszą wersję nie mniej słynnej Dulle Griet (Szalonej Grety) zbudowanej przez Cambiera i także zachowanej do dzisiaj w belgijskim Ghent. Działo ze Szkocji ma kaliber 48 cm i masę 6 ton; zdolne było miotać kamienne pociski, z piaskowca lub granitu, na odległość 3 km.

Składało się z dwóch zasadniczych części: komory prochowej i lufy, odpowiednio wzmocnionych i następnie scalonych. Co najbardziej interesujące, ta olbrzymia bombarda została kilkakrotnie wykorzystana w działaniach bojowych (oblężniczych) podczas wojen angielsko-szkockich w drugiej połowie XV w. W kolejnym stuleciu jej przydatność na polu walki spadła niemal do zera i odtąd bombarda dawała salwy tylko podczas ważnych uroczystości. W trakcie jednej z ceremonii, w 1681 r., lufa uległa rozsadzeniu. W XVIII w. Mons Meg została zabrana przez Anglików i trafiła do londyńskiej Tower. Zwrócono ją Szkotom jako bezcenną narodową pamiątkę, w XIX stuleciu. ©℗

G-43 z MWP

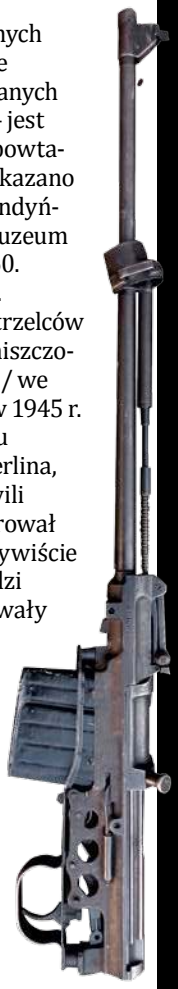

Spośród pamiątek związanych z 2. Korpusem Polskim we Włoszech – przechowywanych w Muzeum Wojska Polskiego – jest m.in. niemiecki karabin samopowtarzalny G-43 kal. 7,92 mm. Przekazano go do Warszawy ze zbiorów londyńskiego Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w latach 60. Z relacji zachowanej przez por. Józefa Trendotę, z 3. Dywizji Strzelców Karpackich, karabin został „zniszczony w walce wręcz pod Ossimo / we Włoszech, w akcji na Anconę w 1945 r. [sic!] / odebrany niemieckiemu sierżantowi Lewińskiemu z Berlina, który walczył do ostatniej chwili i został zabity". Trofeum podarował strzelec Łoziński z 3. DSK. Oczywiście data w relacji jest błędna, chodzi o rok 1944, a walki o Osimo trwały w dniach 5–6 lipca. Karabin wyprodukowano w 1944 r. w firmie Berlin-Lubeker, o czym informuje sygnatura z lewej strony komory zamkowej – duv 44. Zagadkę stanowi brak drewnianych łoża z kolbą i nakładki. Poza tym broń jest kompletna, ma także magazynek. Czy uszkodzono ją podczas walki, czy po niej? A może podczas transportu do Anglii? ©℗

Jagdpanzer IV

Niemcy okazali się pionierami nowoczesnej wojny pancernej, jednak ich sprzęt bojowy pozostawiał z początku wiele do życzenia. W latach 1939–1945 nieustannie modernizowali wozy bojowe, dostosowując je do własnych koncepcji taktycznych i reagując na kolejne zagrożenia ze strony przeciwników. Ilustruje to szybki i wszechstronny rozwój artylerii samobieżnej, która osiągnęła stopień specjalizacji niespotykany w innych armiach. Z chwilą przejścia do obrony i w obliczu coraz liczniejszych, bardziej zaawansowanych czołgów alianckich pierwszorzędne znaczenie niszczycielom czołgów (Jagdpanzer). Sprawdzały się tu działa szturmowe Sturmgeschütz, budowane na podwoziach czołgów Panzer III oraz Panzer IV i wyposażone w armatę kal. 75 mm. Jagdpanzer IV, opracowany w zakładach Vomag i produkowany seryjnie od stycznia 1944 r., odziedziczył po swoim pierwowzorze podwozie czołgu Panzer IV i niską sylwetkę (1,85 m), ale wyposażono go w inną armatę kal. 75 mm – przeznaczoną do zwalczania broni pancernej – a płyty pancerza ustawiono pod lepszym kątem, zapewniając dodatkową ochronę przed pociskami.

Pierwsze Jagdpanzer IV weszły do walki w marcu 1944 r. we Włoszech. Pododdziały niszczycieli czołgów wyposażone w te wozy kierowano do dywizji pancernych. Biły się na froncie wschodnim i w Normandii, dowodząc dużej wartości bojowej. Wyprodukowano niespełna 800 sztuk, zastępując je pojazdami z jeszcze potężniejszą armatą (wóz Jagdpanzer IV/70). ©℗

eprasa.pl 0d139574de

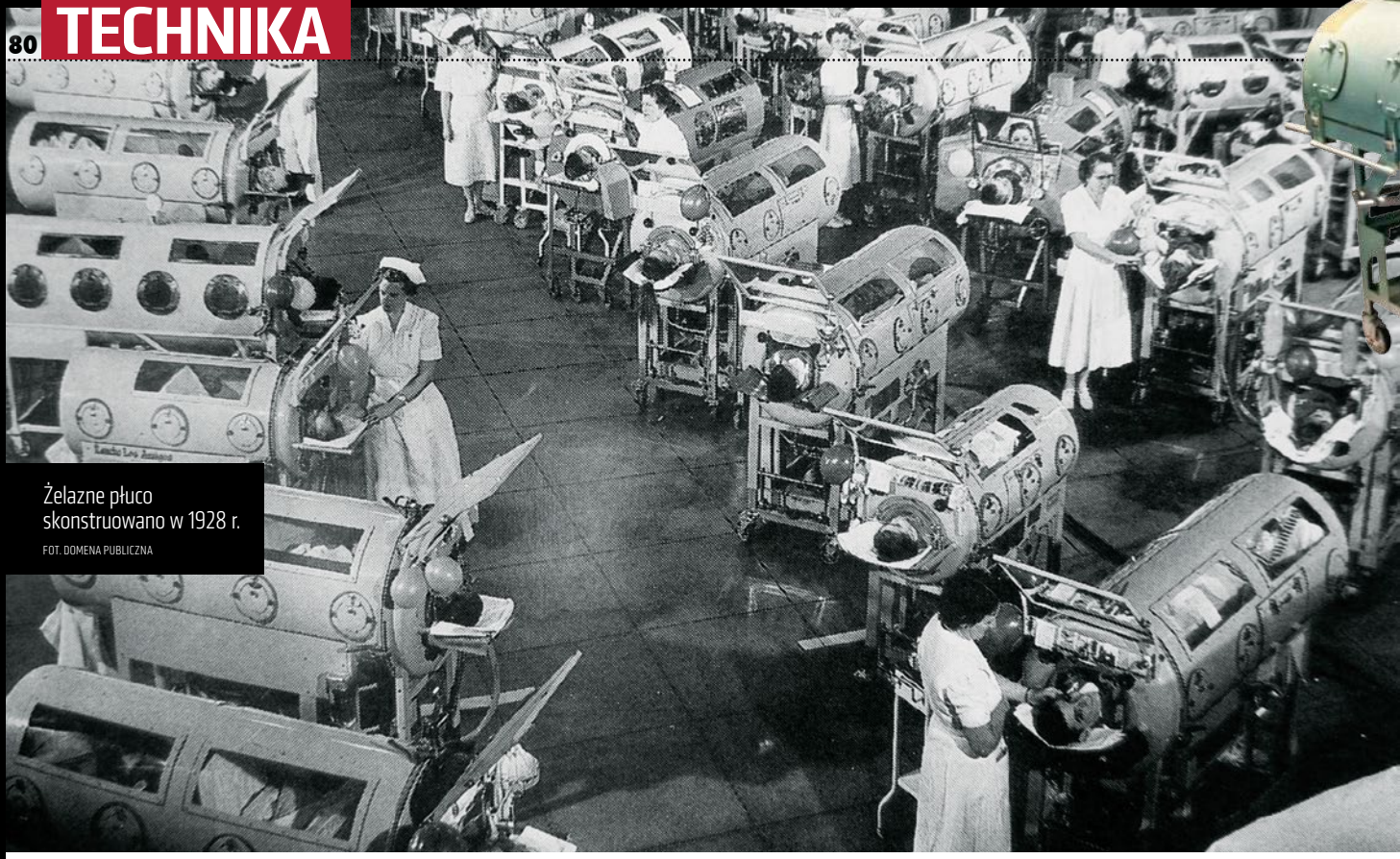

Żelazne płuco skonstruowano w 1928 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wynalazki medyczne / Młot na wirusy

Żelazne płuca

Tymoteusz Pawłowski

Choroba polio – dziś niemal nieistniejąca – stała się impulsem do stworzenia współczesnych respiratorów

Wirus nie jest żywy: nie ma struktury komórkowej ani układów metabolicznych odpowiadających za dostarczanie energii. Jednocześnie ma geny potrafiące się reprodukować oraz zmieniać – ewoluować czy mutować. Wirus jest pasożytem atakującym komórki. Zgodnie ze swoją nazwą – pochodzącą z łaciny – jest jadem zatruwającym życie. Bakterię można zabić antybiotykiem i w ten sposób wyleczyć chorego. Wirusa nie można niczym zabić, trudno więc mówić o leczeniu chorób wirusowych. Trzeba je przetrwać.

Na przełomie wieków XIX i XX zauważono, że niektóre czynniki chorobotwórcze nie są zatrzymywane przez filtry antybakteryjne. Nazwano je wirusami, ale badania nad nimi prowadzono – niemal dosłownie – na oślep. Dopiero pod koniec lat 30. XX w. – dzięki mikroskopom elektronowym – udało się wirusy zaobserwować. Skoro wiadomo było, kim – a raczej: czym – jest wróg, to można było znaleźć stosowną broń. Nie lekarstwo, ale szczepionkę. Dużo szczepionek, na różne choroby wirusowe.

Najważniejsze znaczenie miała szczepionka na polio – chorobę opisaną przez Jakoba Heinego i Karla Oskara Medina. Heine uczynił to w roku 1840, Medin – zupełnie niezależnie – w 1890. Przepływ informacji w XIX w. był powolny, a polio było dość rzadką chorobą. Bardzo szybko stała się jednak chorobą bardzo częstą, a w początkach XX w. wybuchła jej pandemia.

Powszechnie wiadomo, że choroby biorą się z brudu i ubóstwa. Nieco inaczej było z polio. Jest ona jedną z chorób

eprasa.pl 0d139574de

Żelazne płuco w Fort Sam

FOT. WIKIPEDIA

„brudnych rąk", ale dopóki brud był niemal wszędzie, dopóty dzieci napotykały wirusy polio i stopniowo nabywały odporności, bawiąc się w ulicznych rynsztokach. Pod koniec XIX w. – gdy dowiedziano się o istnieniu bakterii – zapanowała jednak moda na higienę, w domach szorowano wszystko, co można było wyszorować, a dzieciom nie pozwalano bawić się w rynsztokach. Ich pierwsze spotkanie z poliowirusami prowadziło do tragedii – zachorowania na chorobę Heinego-Medina. Jej skutkiem może być paraliż mięśni.

W pierwszej połowie XX w. polio było powszechne. Zachorowali na nie chociażby Heinrich Himmler – dlatego powłóczył nogą – oraz Franklin Delano Roosevelt – część życia musiał spędzić na wózku. Medycy nie są pewni, czy rzeczywiście byli oni ofiarami polio – gdy zachorowali, nie było możliwości precyzyjnej diagnozy.

Higiena i poprawność polityczna

Jeszcze nie tak dawno temu o Himmlerze oraz Roosevelcie pisano, że byli kalekami. Później – że byli niepełnosprawni. Dzisiaj używa się określenia: osoba z niepełnosprawnością. Te zmiany językowe nie wynikają bynajmniej z poprawności politycznej, pokazują bowiem rzeczywiste przemiany społeczne i obyczajowe, a także rozwój techniki.

Do początków XX w. kalectwo dotykało niemal wyłącznie osób z niższych sfer. Za brak ręki lub nogi odpowiadały wypadek w tartaku albo rana na wojnie. Osoba okaleczona była pozostawiona sama sobie, spotykał ją ostracyzm społeczny i spychano ją na margines. (Jeszcze w 1980 r. z Moskwy wywieziono większość inwalidów wojennych, aby żebrząc na ulicach, nie szpecili krajobrazu rosyjskiej stolicy w czasach igrzysk olimpijskich).

Postrzeganie osób niepełnosprawnych zmieniła pandemia Hainego-Medina. Na polio chorowały bowiem przede wszystkim dzieci z dobrych domów, z takich, w których dbano o higienę. Rodziny nie mogły pozwolić na to, by ich dzieci trafiły na margines społeczeństwa. Zainicjowano więc nowoczesny ruch rehabilitacyjny oraz produkowano do niego sprzęt. Jednym ze skutków było opracowanie nowoczesnych i lekkich wózków inwalidzkich. Rozpoczęto również starania mające przekonać społeczeństwo, że niepełnosprawność nie jest karą Bożą, tylko efektem choroby. Prowadzono m.in. afirmacyjne kampanie w mediach oraz masowe zbiórki pieniędzy na pomoc poszkodowanym. Miały one nie tyle poprawić sytuację finansową, ile sprawić, aby zdrowi zaangażowali się emocjonalnie w problemy chorych i widzieli w nich osoby z niepełnosprawnościami, a nie anonimowe kaleki.

W pierwszej połowie XX w. pandemia polio opanowała świat. Wirus zakaził miliardy i chociaż większość zakażonych – ponad 99 proc. – przeszła infekcję bezobjawowo, to rocznie umierały miliony ludzi, a minimalnie tylko mniejsza liczba miała trwale osłabione mięśnie. Niektórzy z nich mieli problemy z chodzeniem, inni – z oddychaniem. Ich los był najsmutniejszy, czekała ich bowiem powolna agonia.

W szczycie pandemii

W 1928 r. opracowano urządzenie pozwalające przeżyć tym, którzy nie mogli oddychać samodzielnie. Nazwane zostało żelaznym płucem, dziś nazywane jest respiratorem generującym nadciśnienie. Było to dość proste urządzenie – żelazna tuba, do której wsuwano człowieka tak, żeby wystawała tylko jego głowa. Całość uszczelniano i następnie zwiększano i zmniejszano ciśnienie wewnątrz tuby – początkowo używano do tego pomp od odkurzaczy. Zmiany ciśnienia wymuszały ruch klatki piersiowej i pracę płuc. Człowiek mógł oddychać.

Żelazne płuca ważyły ok. 700 kg i musiały mieć zagwarantowany dopływ prądu. Niektóre z nich wciąż działają i wciąż podtrzymują życie: wciąż są tacy, którzy korzystają z żelaznych płuc dostarczonych im w latach 50. XX w.: skończyli studia, założyli rodziny, doczekali się dzieci – żelazne płuca można czasem opuścić.

W 1952 r. nastąpił szczyt pandemii polio. Zabrakło żelaznych płuc, w Danii opracowano więc ich namiastkę – worki samorozprężalne obsługiwane przez studentów medycyny. Dzisiaj – znane jako resuscytatory albo worki AMBU (od nazwy firmy) – stanowią podstawowe wyposażenie karetek pogotowia. Worki samorozprężale stały się impulsem do opracowania respiratorów generujących ciśnienie dodatnie, czyli wdmuchujących powietrze w płuca pacjenta. Stały się one powszechnie dostępne w latach 60.

Kolejnym krokiem ułatwiającym oddychanie – a właściwie wyłączającym płuca pacjenta – było wprowadzenie krążenia pozaustrojowego, maszyny zwanej ECMO (extracorporeal membrane oxygenation). Krew oczyszcza się z dwutlenku węgla i natlenia na zewnątrz ciała pacjenta. Jeszcze bardziej skomplikowanym urządzeniem jest płucoserce, pozwalające wyłączyć nie tylko płuca, lecz także serce pacjenta – na przykład podczas operacji serca.

Wspomniane wyżej maszyny zrewolucjonizowały medycynę, pozwoliły na przeprowadzanie operacji chirurgicznych bez troski o to, jak utleniona jest krew chorego. Nie miały większego wpływu na osoby chore na polio, choroba ta została bowiem wyeliminowana.

Wirusa nie można zabić, bo jest martwy. Bez nosiciela jest niegroźny. Najlepszą bronią przeciwko chorobom wirusowym są szczepienia. Szczepionkę przeciwko chorobie Hainego-Medina opracował w Stach Zjednoczonych Hilary Koprowski, który w 1939 r. opuścił Polskę. Szczepionka powstała już w 1950 r., ale na masową skalę zastosowano ją dopiero w roku 1959. W tym samym roku – dzięki staraniom prof. Koprowskiego – do Polski dotarło 9 mln dawek. Szczepienia trwały osiem miesięcy. W 1958 r. zanotowano w Polsce 6 tys. zachorowań, a w 1963 r. – 30. Liczba zgonów spadła natomiast z kilkuset rocznie do dwóch.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0d139574de

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

W MARCU 2021 ROKU INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ ZWRÓCIŁ SIĘ O POMOC W USTALENIU KIM JEST OSOBA UTRWALONA NA ARCHIWALNEJ FOTOGRAFII. POSZUKIWANIA PROWADZONE PRZEZ WIELU PASJONATÓW DOPROWADZIŁY DO SZYBKIEGO ODKRYCIA NIEZWYKLE CIEKAWEJ HISTORII.

MARIA CHŁUSEWICZ URODZIŁA SIĘ W 1923 ROKU W GRODNIE. BYŁA CÓRKĄ PUŁKOWNIKA BENEDYKTA CHŁUSEWICZA. WE WRZEŚNIU 1939 ROKU WRAZ Z RODZINĄ PRZEDOSTAŁA SIĘ DO FRANCJI. GDY TEN KRAJ ZAJMOWALI NIEMCY, RODZINA CHŁUSIEWICZÓW WRAZ Z INNYMI UCIEKINIERAMI EWAKUOWAŁA SIĘ STATKIEM MS SOBIESKI DO ANGLII. NA POKŁADZIE MARIA POZNAŁA ANGIELSKIEGO PILOTA PHILIPA REXA BARRA, KTÓREGO RODZINA MIAŁA POLSKIE KORZENIE – JEGO PRADZIAD NAZYWAŁ SIĘ BARCIŃSKI.

ZESTRZELILI MÓJ SAMOLOT NAD FRANCJĄ. TRAFIŁEM DO SZPITALA, ALE UDAŁO MI SIĘ W OSTATNIEJ CHWILI Z NIEGO UCIEC. NIESTETY POD DUNKIERKĄ SPÓŹNIŁEM SIĘ NA EWAKUACJĘ. DLATEGO MUSIAŁEM POSZUKAĆ INNEGO SPOSOBU, ŻEBY WRÓCIĆ DO OJCZYZNY...

TO NIEZWYKLE CIEKAWE, PANIE BARR.

PROSZĘ, MI MÓWIĆ REX.

MARIA CHŁUSEWICZ I REX BARR POBRALI SIĘ W GRUDNIU 1941 R. W GLASGOW. JEDNAK ICH SZCZĘŚCIE NIE TRWAŁO DŁUGO.

7 LISTOPADA 1942 ROKU REX BARR, BĘDĄCY WÓWCZAS DOWÓDCĄ 107. DYWIZJONU RAF, ZGINĄŁ W TRAKCIE WYKONYWANIA MISJI. JEGO SAMOLOT ZOSTAŁ PRAWDOPODOBNIE ZESTRZELONY NAD BELGIĄ. POŚMIERTNIE ZOSTAŁ UHONOROWANY ODZNACZENIEM DISTINGUISHED FLYING CROSS. GDY MARIA ODBIERAŁA JE Z RĄK KRÓLA JERZEGO VI W CZERWCU 1943 ROKU, NADAL MIAŁA NADZIEJĘ, ŻE JEJ MĄŻ MÓGŁ PRZEŻYĆ. WSPOMINA O TYM W TEKŚCIE ZAMIESZCZONYM W „DZIENNIKU POLSKIM" Z DNIA 11 CZERWCA 1943 ROKU: „JESZCZE CIĄGLE WIERZĘ, ŻE MĄŻ MÓJ WRÓCI, ŻE POZNA POLSKĘ, Z KTÓREJ WYWODZI SIĘ."
TAK SIĘ JEDNAK NIE STAŁO.

W CZASIE WOJNY MARIA BARR PRACOWAŁA W POLSKIM CZERWONYM KRZYŻU W EDYNBURGU, ZAJMUJĄC SIĘ PRZETACZANIEM KRWI.

W KWIETNIU 1947 ROKU WYSZŁA PONOWNIE ZA MĄŻ. JEJ WYBRANKIEM ZOSTAŁ KAPITAN BRONI PANCERNEJ STANISŁAW GRABOWSKI SŁUŻĄCY W CZASIE WOJNY W 1 DYWIZJI PANCERNEJ, KTÓRA WYZWALAŁA FRANCJĘ, BELGIĘ I HOLANDIĘ. PO WOJNIE GRABOWSKI UKOŃCZYŁ ARCHITEKTURĘ NA UNIWERSYTECIE CAMBRIDGE I WRAZ Z DWOMA INNYMI ARCHITEKTAMI ZAŁOŻYŁ FIRMĘ DLG ARCHITECTS.

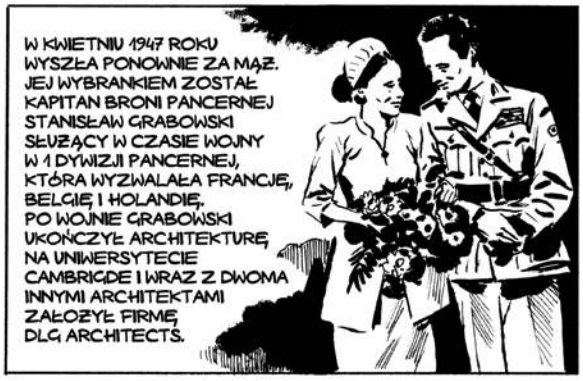

MARIA GRABOWSKA ZMARŁA WE WRZEŚNIU 2018 ROKU W CHICHESTER W ANGLII, GDZIE MIESZKAŁA. JEJ MĄŻ ODSZEDŁ 14 LAT WCZEŚNIEJ.

eprasa.pl 0d139574de

/ Felieton

Sławomir Cenckiewicz

Alianci

Wielki Carl Schmitt miał kiedyś powiedzieć, że wielkie narody popełniają też wielkie zbrodnie. Ta święta prawda polityki i historii stała się osnową najnowszych esejów Piotra Zychowicza pomieszczonych w „Aliantach" (Poznań 2021). I choć myli się już we wstępie, powołując się na Erika von Kuehnelta-Leddihna i pisząc, że zbrodnie są zawsze jedynie indywidualne, a nie narodowe, to i tak na kartach swojej książki dowodzi przede wszystkim prawdziwości słów Schmitta.

Kiedy więc Piotr Zychowicz opisuje wyszukane metody bombardowań i unicestwiania przez aliantów niemieckich miast, tysiącletniej kultury materialnej Europy i ich mieszkańców, pisze – i słusznie – o siłach powietrznych brytyjskich, amerykańskich, polskich… ale pisze też o Brytyjczykach, Amerykanach, Polakach… Bo nawet kiedy za sterami bombowców siedział Smith, Kelly czy Kowalski, to swoje odwetowe i niszczycielskie dzieło przeprowadzał w imieniu narodów i państw, które „na śmierć i życie" starły się z Niemcami w zapasach drugiej wojny światowej.

Opis nalotów na Hamburg, Drezno, Stuttgart, Monachium, Norymbergę, Hanower… oraz ogrom cierpień ludności cywilnej budzi – i u każdego humanisty musi budzić – grozę. Tak! Alianckie naloty z lat 1943–1945 na niemieckie miasta były fragmentem wojny totalnej, która stała się cechą całej drugiej wojny światowej i wszystkich stron tego globalnego konfliktu.

Jednak ani statystyka liczby ton bomb zrzuconych przez RAF na Niemcy, ani nawet liczba zabitych cywilów z rozkazu obłąkanego zemstą Arthura Harrisa nie mogą przesłonić nam prawdy o tym, kto tę wojnę wywołał i kto pierwszy sięgnął po metody wojny totalnej. A odpowiedź na pytanie „kto był pierwszy", i znajomość sekwencji wydarzeń w tym wypadku, począwszy od nalotów Luftwaffe na polskich cywilów i nasze miasta we wrześniu 1939 r., poprzez niemiecki „blitz" i naloty na Londyn, Manchester czy Southampton, a skończywszy na czystkach etnicznych i zbrodni na rozległych terenach Związku Sowieckiego, jest tutaj kluczowa. To także nie były jedynie zbrodnie Müllerów, Fischerów czy nawet Hitlera. To były zbrodnie Niemców. „Walczymy nie tylko z Hitlerem. Walczymy z narodem niemieckim, którego Hitler jest wyobrazicielem" – pisał w 1942 r. Ignacy Matuszewski.

> **Statystyka liczby ton bomb zrzuconych przez RAF na Niemcy nie może przesłonić nam prawdy o tym, kto tę wojnę wywołał i kto pierwszy sięgnął po metody wojny totalnej**

I miał rację! I tej prawdy nie zmieni nawet moje pomstowanie na zbrodnie i kłamstwa aliantów, którzy połowę Europy i niemal całą Azję oddali w ręce bolszewików, wydali Kozaków na pewną śmierć Stalinowi, Niemcom przypisali zbrodnię katyńską i w niepamięć puścili wszystkie okrucieństwa Sowietów. Zychowicz nie tylko zna odpowiedź na to pytanie, lecz także zna sekwencję wydarzeń i całą okrutną logikę wojny od 1939 r., więc tym bardziej dziwią mnie jego moralizowanie wojny i próba oderwania jej od zemsty i odwetu, które są przecież integralną częścią wojny, mającą w dodatku wpływ na cały system zachowań żołnierzy. No właśnie, kiedy usuniemy z wojny zemstę i odwet, nie zrozumiemy furiackiego zachowania Amerykanów rozstrzeliwujących kilkunastu Niemców tworzących załogę obozu koncentracyjnego w Dachau. Prawem zwycięzców jest bowiem brązowić historię, ale też ustalać zasady zemsty i odwetu nawet wtedy, kiedy będą one podlegały wieloletniemu procesowi brązowienia.

Podobnie rzecz się ma z dehumanizacją przeciwnika. Gryzoniem był Żyd, sowiecki komisarz i japoński żołnierz Armii Cesarskiej z Iwo Jimy i Okinawy, a później także cywilny mieszkaniec Tokio, Nagasaki i Hiroszimy godzien atomowej zemsty, a nawet Japończyk obywatel amerykański osadzony w izolacji. To także należy do logiki wojny! Ale i tu pamiętać należy najpierw zarówno o zagładzie – bezprecedensowym planie wymordowania Żydów – jak i zbrodni nankińskiej – japońskiej rzezi Chińczyków ścinanych mieczami, gwałconych, topionych, rozstrzeliwanych, dźganych bagnetami, palonych żywcem… Wytłumaczyć ludobójstwo 300–400 tys. ludzi w Nankinie „wymknięciem się spod kontroli" japońskich żołnierzy to nieporozumienie!

Tak! Wszyscy popełnili w tej wojnie zbrodnie, ale nie wszyscy są za wywołanie tej wojny jednakowo odpowiedzialni i nie wszystkie zbrodnie tamtej straszliwej wojny znajdują swój aliancki odpowiednik. ©℗

eprasa.pl 0d139574de

WYDAWNICTWO IPN

HISTORIA
PAMIĘĆ
TOŻSAMOŚĆ

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Monografie

Biografie

Dokumenty

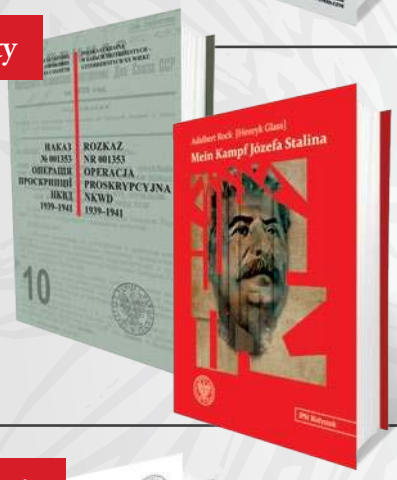

Słowniki

Wspomnienia

Albumy

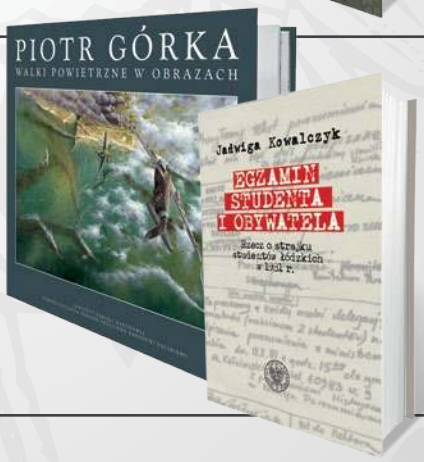

Zostań w domu i kup na **ipn.poczytaj.pl**

eprasa.pl 0d139574de